

Martha Kirkland

SEZON NA ŚLUBY

Rozdział pierwszy

Ethanie, na miły Bóg! - zawołał Durwin Harrison klepiąc się po tłustym kolanie: - Cieszę się, że wreszcie porzuciłeś posiadłości i interesy, nawet jeżeli tylko na chwilę. Po śmierci ojca zbyt serio podchodzisz do życia i już najwyższy czas, byś pojawił się w mieście. Co prawda jest dopiero połowa lata, lecz Londyn wrze. Wszyscy książęta nagle starają się prześcignąć, kto się lepiej ożeni i szybciej spłodzi potomka i dziedzica tronu. - Roześmiał się i jego okrągła twarz zmieniła się pod wpływem rozbawienia. - Najzabawniejszy z nich wszystkich jest książę Clarence. Połowa dowcipów krążących w klubach dotyczy właśnie jego. Po tym, jak oświadczył się tej wspaniałej panie Tyleneylong, potem panie Mercer Elphinstone i tej dziedzicze, panie Wykeham... i jak wszystkie trzy dały mu kosza... teraz zaręczył się z jakąś nikomu nie znaną niemiecką księżniczką.

Ethan Delacourt Bradford, szósty baron Raymond, oparłszy się o kominek i założywszy na piersi muskularne ramiona, wpatrywał się w jakiś odległy punkt po przeciwległej stronie biblioteki. Nie zwracał najmniejszej uwagi na radosną paplaninę przyjaciela. Równie dobrze mógłby być sam w pokoju.

- Mówię ci, Ethanie, u White'a już wszyscy się zakładają, kiedy księżniczka Adelaida, trzepocząc rzęsami i uśmiechając się słodko do narzeczonego, ucieknie z kraju. - Wybuch śmiechu zabrzmiał zbyt głośno w cichym pokoju. - Dałem dwadzieścia pięć funtów, że ucieknie trzeciego dnia po zaręczynach. Chciałem postawić na pierwszy wieczór, ale stary Coruthers mnie uprzedził. Wyłożył całe pół tysiąca.

Zauważywszy wreszcie, że przyjaciel nie śmieje się wraz z nim, Harrison zajął się kryształową karafką, którą tuż obok na stole postawił stary lokaj Ethana, Yardley. Napełnił kieliszek, powąchał z uznaniem

bukiet doskonałej brandy i pociągnął mały łyżeczek alkoholu.

Sadowiąc się wygodniej w obitym skórą fotelu i przerzucając niedbale pulchną nogę przez poręcz, przyglądał się świeżo upieczonym ciastkom stojącym na talerzu nieopodal. Wina z piwnicy przyjaciela, najlepsze w całym Londynie, były tylko jedną z zalet Raymond House. Niejedna gospodyni w stolicy chciałaby mieć takiego szefa kuchni jak kucharz Ethana.

- Wcale nie winię naszego księciunia regenta, że chce pożenić swych braci - kontynuował Harrison podnosząc ciasteczko do ust. - Kraj potrzebuje dziedzica tronu. Ale jak człowiek może spokojnie patrzeć na książąt w średnim wieku, bardziej niż obfitych kształtów, przetrząsających Europę w poszukiwaniu młodych księżniczek? - Kiedy lord Raymond nadal nie odpowiadał, Harrison odłożył ciasteczko na bok i zlizawszy ogromny okrusz z brody powiedział: - Jeżeli uważasz, że z mojego powodu nie możesz się położyć do łóżka, wystarczy powiedzieć. W mgnieniu oka zwinę się stąd i wrócę do siebie. Nie chciałbym sprawiać ci kłopotu.

- Przepraszam cię - odrzekł Ethan wracając wreszcie myślami do rzeczywistości. - Obawiam się, że zbyt się zamyśliłem. - W kącikach jego ust zagościł uśmiech rozjaśniając twarz. - Złóż to na karb mojego sędziwego wieku.

- Ależ oczywiście - powiedział Harrison uprzejmie, spoglądając tęsknie na doskonale skrojoną marynarkę przyjaciela i sposób, w jaki układała się na jego szerokich ramionach. - Zwałę winę na cokolwiek tylko sobie życzysz. Chociaż jak na sędziwego starca... masz już chyba ze trzydzieści lat, nieprawdaż...? trzymasz się zadziwiająco dobrze.

Ethan przestał się uśmiechać.

- Nadal jestem odpowiedzialny za mojego głupiego brata. Muszę trzymać formę.

- Mogłem się domyślić, że to ten kapuściany łeb cię martwi. Odkąd wyszedł ze szkoły, same z nim kłopoty. Czyżby znowu zabawiał się w to

co nie trzeba?

- Chciałbym, żeby to było takie proste.

- Jeśli dobrze pamiętam, obiecałeś solidnie wygarbować mu skórę, jeżeli jeszcze kiedykolwiek zajrzy do jakiejś speluny. Domyślam się więc, że to nie to doprowadza cię do rozpacz. - Harrison wyprostował się na krześle, strzepnął ostatnie okruchy ciastka ze srebrzystej marynarki i pociągnął łyżeczek brandy. - Jeżeli więc nie chodzi ani o bijatyki, ani o pijaństwo, zostaje tylko płęć piękna. - Zachichotał. - Nie mów mi tylko, że ten młodzik wziął przykład z książąt i się zaręczył.

- Szybko myślisz. Winny.

- Jezu, Ethanie, tylko się wygłupiałem. Przecież Reggie nie ma jeszcze osiemnastu lat. - Potrząsnął głową i natychmiast poprawił marchewkowy lok spadający mu na czoło. - On ma chyba nie po kolei pod sufitem.

- Nie. Reggie po prostu nie myśli. Najpierw działa, a potem się zastanawia nad konsekwencjami.

- Tylko że z niektórych spraw nie tak łatwo się wyplatać. Między innymi z małżeństwa.

Ethan zmarszczył z niezadowoleniem gęste ciemne brwi.

- No i, jak to ładnie powiedziałaś, jego się uczepiło.

- Oczywiście. Mogę się założyć, że w świetle dnia pułapka straciła czar, jaki miała przy świetle świec?

- Zawsze mogłem liczyć, że zrozumiesz mnie bez zbędnych słów, przyjacielu.

Harrison przewrócił oczyma.

- Jak się domyślam, teraz kochany braciszek oczekuje, że wybawisz go z kłopotów?

- Ano tak... i to jeszcze zanim matka dowie się o wszystkim. - Ethan podszedł do masywnego biurka zajmującego przeciwległy kąt pokoju. Z szuflady wyciągnął jakiś dokument i wrócił na swe miejsce przy pustym palenisku. - Oczywiście, nie ma mowy o legalności całej sprawy. Reggie

nie osiągnął jeszcze pełnoletności i zaręczyć może się dopiero za moją zgodą. - Uważnie przyglądając się złamanej pieczęci, dodał: - Niestety, jest jeszcze coś.

- Drogi chłopcze, jeżeli obawiasz się plotek, to mogę cię zapewnić, że nie potrważą dłużej niż tydzień. Nie wtedy gdy księżęta zabawiają Londyn dzień i noc. Przy ciągłych zmianach ich małżeńskich planów nikogo nie będą obchodziły zerwane zaręczyny zwykłego chłopaka.

- Obyś miał rację. Winny. Jednak naszą sprawę komplikuje co innego. - Ethan przeciągnął dłonią po kruczoczarnych włosach. - Z tego, co wiem, mój kochany braciszek przypieczętował zaręczyny rodzinnym pierścieniem.

- Wielkie nieba, Ethanie! - Harrison zakrztusił się brandy. - Brylantem Bradfordów!? Chyba nie mówisz poważnie! To świecidełko warte jest fortunę. - Ani słowem nie wspomniał, że prawowitym właścicielem pierścienia jest dziedzic Bradfordów - Ethan.

- Reggie doskonale zdaje sobie sprawę, że nie miał najmniejszego prawa rozporządzać pierścieniem - rzekł młody baron, jakby czytając w myślach przyjaciela. - Prosi mnie o wybaczenie.

Harrison miał na tyle rozsądku, by trzymać język za zębami i nic już nie mówić na temat zidiociałych młodzików o złych manierach. Przeprosił za wtrącanie się w nie swoje sprawy.

- Teraz chodzi jedynie o to. Winny, by odzyskać pierścień.

- Domyślam się. Ale co z tą młodą damą? Czy ona żywi jakieś uczucia dla twego brata? Jak myślisz?

- Nie mam pojęcia. - Ethan wzruszył ramionami.

- A znasz ją przynajmniej?

- Nie, i to także mnie martwi. Próbowałem dyskretnie popytać to tu, to tam, ale zdaje się, że nikt nie zna tej rodziny.

Rozważając nowe informacje, Harrison zapytał:

- Może chłopak zadał się z jakąś naciągaczką? Pannicą, która przybyła na jeden sezon do Londynu, by złapać bogatego męża? Może

przyciągnęła ją fortuna Bradfordów?

- To też możliwe. - Ethan spochmurniał. - Wszystko jest możliwe.

Nawet nie wiem, jak jej na imię.

- Ależ Reggie z pewnością...

- Wiem tylko, że nazywa się Sommes i pochodzi z wioski nieopodal Canterbury. - Rozwinął list, który cały czas trzymał na kolanach. - Nie mogę odczytać jej imienia.

Harrison przyglądał się kawałkowi papieru zniszczonemu przez ciągle składanie i rozkładanie.

- Czy mam rozumieć, że twój brat uciekł się do ostatniej deski ratunku i poinformował cię o wszystkim listownie?

Ethan kiwnął głową.

- Doręczono go dzisiaj do Raymond Park. Wyruszyłem do miasta w niecałą godzinę później, lecz Reggie i ta jego pannica już wyjechali. Nikt nie wie dokąd. - Podał przyjacielowi zmięty list. - Zobacz, może uda ci się odczytać imię tej kozy. Jest gdzieś tam, u dołu...

Durwin Harrison zbliżył kartkę do świec stojących na stole i usiłował odczytać niewyraźne pismo młodzieńca.

- Niech szlag trafi te gryzmoły - zamruczał po cichu. - Chłopak połowę słów albo przekreślił, albo zamazał. - Przysunął świecznik do stronicy. - Wygląda jak Gilly albo Milly. Nie, nie... chwilę... zdaje się, że Molly. Nie... - Oddał list Ethanowi. - Przepraszam, mój drogi, ale to może być każde imię.

Młodzieniec przytrzymał list nad świecą, aż żółto-błękitne płomienie zaczęły lizać papier. Gdy kartka już prawie spłonęła, wrzucił go do pustego kominka.

- Bez względu na to, jak ma na imię, muszę ją odszukać.

- Oczywiście, tylko jak?

- Skoro jedynym tropem jest Canterbury, pojedę właśnie tam.

Mieszka tam kuzynka matki, więc zatrzymam się u niej i popytam, czy może zna Sommesów. Kiedy już ich odnajdę, spłacę pannę Gilly-Milly-

Molly i zmuszę do oddania brylantu.

- A jeżeli nie ma żadnych Sommesów? Jeżeli pannica była zwykłą naciągaczką i już dawno uciekła na kontynent? Z procentów po sprzedaży tego pierścienia mogłaby żyć dostatnio do końca swoich dni.

Brązowe oczy Ethana pociemniały z gniewu. W jednej chwili stały się zimne i groźne.

- Jeżeli uciekła, odnajdę ją. A jeśli sprzedała pierścień, pożałuje dnia, w którym chciała oszukać Ethana Bradforda.

Rozdział drugi

A to szatan wcielony! Wstrętny czarny szatan! - Panna Columbina Sommes zatrzasnęła oszklone drzwi prowadzące z ogrodu do saloniku i oparła szczupłe, zgrabne plecy o chłodną tafłę szyby. Oddychała ciężko, a w jej szarozielonych oczach płonął gniew.

W dłoni trzymała niegdyś wytworny szary kapelusik, którego złamane zielone pióro zwisało teraz żałośnie. Spódnica jej szarej amazonki była w równie opłakanym stanie, a gdy fałdy opadły aż do ziemi, wyraźnie widać było szerokie rozdarcie. Jasnokasztanowe włosy, które zazwyczaj nosiła luźno związane nad karkiem, opadały w nieładzie na ramiona i plecy.

- Tego konia powinno się zastrzelić! - rzuciła gniewnie w stronę starszej damy siedzącej spokojnie na obitej żółtym jedwabiem kanapce obok okna. - Znowu uciekł z boksu i napadł na Pannę Essex, właśnie wtedy, gdy koniuszy wsadzał mnie na jej grzbiet. Na szczęście chłopiec zachował zimną krew i wy dostał mnie w ostatniej chwili spod kopyt ogiera. W przeciwnym razie koń byłby mnie zabił!

Panna Petunia Montrose, pulchna dama w wieku około sześćdziesięciu lat, podbiegła do siostrzenicy.

- Colly, kochanie, czy nic ci się nie stało?

Na widok przejęcia na twarzy ciotki gniew dziewczyny zelżał.

- Właściwie nic, ciociu Pet, ale tylko dlatego, że koniuszy pokrzyżował plany nowego ogiera papy.

Starszej pani wyraźnie ulżyło.

- Ten potwór... ogier rzecz jasna, nie twój drogi papa... powinien jak najszybciej zostać usunięty ze stajni. Powiem o tym sir Wilfredowi, gdy tylko wróci z tego swojego spotkania kolegów z pułku. To doprawdy cud, że nic ci się nie stało.

Colly poklepała ciotkę po dłoni i rzuciła zmięty kapelusik na

skórzany fotel stojący pod oknem.

- Popatrz tylko na moją amazonkę, ciociu. Jest zupełnie zniszczona!

- I dobrze - odrzekła panna Montrose, zadowolona, że temat, który już od dawna chciała poruszyć z siostrzenicą, sam się nasunął.

Zmarszczyła brwi patrząc na skromny strój Colly i machinalnie przesunęła palcami po swej nowej sukni, której zielone paseczki - pistacjowe, jak podkreślała krawcowa - idealnie pasowały do koloru bucików.

- Żałoba po naszej ukochanej księżniczce Charlocie już się skończyła, możesz, więc przestać nosić te okropne szare stroje. - Panna Montrose raz jeszcze wygładziła pistacjową suknię. - Kwieciste suknie doskonale wpływają na samopoczucie.

- Bo przecież jesteśmy kwiatami, nieprawdaż, ciociu Petunio? - Colly uśmiechnęła się.

Starsza pani kiwnęła głową. Montrose'owie rzeczywiście mieli dziwny zwyczaj nadawania córkom imion kwiatów.

- Drażnij się ze mną, ile chcesz, kochanie, ale kolory są modne. A ten, jak by powiedział twój ojciec, jest ostatnim krzykiem mody. - Colly usiłowała zachować poważną minę. Ciocia Petunia rzadko używała określeń rodem ze stolicy. - Wiem, że starasz powstrzymać się od śmiechu, lecz zapewniam cię, że w stanie twojej garderoby nie ma nic zabawnego. Jest wyjątkowo oplakany i potrzebuje natychmiastowej interwencji. Żałuję, że odrzuciłaś pomysł wyjazdu razem z matką i siostrą do Londynu. Może przed sezonem udałoby się dopasować ci kilka sukien.

- To debiut towarzyski mojej siostry, a nie mój, ciociu. Nikt nie będzie się spodziewał mojej obecności na więcej niż kilku przyjęciach. Nie ma, więc nic złego w tym, że stroje uszyję sobie tutaj.

- W Canterbury? - zapytała z nadzieją panna Montrose. - Moja krawcowa ma sporo nowych, bardzo pięknych wykrojów.

Starsza dama podeszła do sofy i wzięła gazetę, którą czytała przed wejściem siostrzenicy. Dając ją Colly, powiedziała:

- Przeczytaj. Tu jest napisane, że księżniczka Adelaida z Saxe-Meiningen i jej matka, księżna, za kilka dni przyjadą do Canterbury. Ich statek przybije w Deal, a potem dyliżansem przyjadą do Canterbury na noc. Następnego dnia rano wyruszą do Londynu. - Stara panna westchnęła. - Gdybyśmy mieszkały w Canterbury, zobaczyłybyśmy księżniczkę. A może nawet udałoby się nam spotkać księcia Clarence'a eskortującego narzeczoną do Londynu. Pomyśl tylko, Colly... piękna księżniczka i jej cudowny książe z bajki.

Dziewczyna oddała ciotce gazetę.

- Przykro mi, że pozbawiam cię romantycznych złudzeń, ciociu Pet, ale nawet jeśli ta niemiecka księżniczka jest piękna, to zapewniam cię, że książe Clarence w niczym nie przypomina księcia z bajki. Podczas mojego debiutu na dworze często go widywałam i z tego, co wiem, siedem lat, które upłynęło od tego czasu, wcale nie wyszło mu na dobre. - Widząc jednak zawód na twarzy ciotki, dodała: - Masz jednak rację, że przydałoby mi się kilka nowych sukien. Jeżeli więc chciałabyś przyłączyć się do tłumu gapiów, nie mam nic przeciwko wyprawie do Canterbury. Nareszcie będziemy miały wakacje. Gdy już obejdziemy wszystkie sklepy, zmieszamy się z tłumem i będziemy obserwować nic nie podejrzewającą księżęcą parę ile dusza zapagnie. - Wyswobodziwszy się z radosnego uścisku ciotki, dziewczyna podeszła do drzwi prowadzących do głównego holu. - Kiedy się będę przebierała w jedną z tych okropnie szarych sukni, każ Wexlerowi wysłać któregoś z chłopców do Canterbury, by zamówił nam miejsce w gospodzie, zanim wszystkie zostaną zajęte przez...

Przerwała gwałtownie, gdyż omal się nie zderzyła z lokajem stojącym tuż za drzwiami z ręką uniesioną do pukania.

- Bardzo przepraszam, panno Colly.

- I ja ciebie, Wexler. - Kiedy nie odsunął się na bok, by mogła przejść, zapytała: - Czy coś się stało?

- Przyjechał jakiś gość, panienko. Zaprowadziłem go do saloniku. - Stary lokaj wysunął przed siebie srebrną tacę, na której leżaka śnieżnobiała

wizytówka. - To lord Raymond - dodał, zanim dziewczyna zdążyła przeczytać bilecik.

Zakładając, że gość jest jednym ze znajomych ojca, Colly obojętnie przyjęła wiadomość.

- Czy poinformowałeś jego lordowską mość, że papy nie ma w domu?

Lokaj przymknął oczy ze zrezygnowaną miną starego służącego, któremu osóбка znana od kołyski zadaje idiotyczne pytania.

- Jego lordowską mość nie pytał o sir Wilfreda, lecz o panią, panno Colly.

- Ależ ja nie znam lorda Raymond.

- Czy mam oznajmić jego lordowskiej mości, że pani nie ma w domu?

- Ależ nie, Wexler. - Z cichym westchnieniem Colly odgarnęła gęste włosy. - Przyjmę go, lecz nie w takim stroju. Powiedz, proszę, temu panu, że zaraz do niego zejdę.

Zanim lokaj poszedł wypełnić jej życzenie, Colly z przerażeniem zobaczyła, że lord Raymond przygląda się jej stojąc w holu. Z pewnością był tam już od jakiegoś czasu. Nie okazując cienia zakłopotania z powodu niezręczności sytuacji, uniósł brwi w ironicznym uśmiechu i uklonił się.

- Proszę się nie przebierać z mojego powodu - rzekł. - To nie jest wizyta towarzyska.

Z początku Colly starała się wytrzymać spojrzenie jego ciemnobrązowych oczu, lecz po chwili zarumieniła się i spuściła wzrok. Przyglądał się jej niczym koniowi na targu, lustrując ją od stóp do głowy, dłużej zatrzymując się na pełnych piersiach i krągłych biodrach.

To był on. On. Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Stał tuż przed nią. W jej własnym domu. Przez chwilę nie mogła oddychać, a gdy się wreszcie odezwała, głos jej drżał.

- Chciał się pan ze mną widzieć, panie Br... ehm... lordzie Raymond?

- Jeżeli to pani jest panną Sommes.

Colly zmusiła się do zachowania spokoju.

- Tak.

Ethan poczuł, że to ona, że to jej Reggie dał brylant Bradfordów, już w chwili gdy lokaj zwrócił się do niej per „panno Colly”. A więc to takie imię nabazgrał brat w liście. Nie Molly, lecz Colly.

Ethan wiedział, że gapi się na nią, jednak nic nie mógł na to poradzić. Boże, to ona była prawdziwym drogocennym kamieniem! W niczym nie przypominała niesfornej pannicy, którą oczekiwał tu zastać. Była kobietą, piękną, żywiołową kobietą. Gęste brwi i klasyczny nos dodawały jej powagi, lecz pełne usta i tajemnicze spojrzenie zdradzało namiętność kryjącą się za chłodną fasadą. Patrząc na wspaniałe loki spadające na plecy dziewczyny już wyobrażał sobie, co to byłaby za przyjemność zanurzyć w nich twarz.

Biedny Reggie. Chłopiec nie miał najmniejszej szansy. Kobieta tak wyglądająca mogła dostać od mężczyzny wszystko, czego chciała; młodzik byłby bezsilny w jej dłoniach.

- Witam, lordzie Raymond? - powiedziała starsza dama, przywołując Ethana do porządku. - Proszę, niech pan wejdzie. Jestem Petunia Montrose, krewna lady Sommes. No i ciotka Colly, rzecz jasna, gdyż jest ona córką Violet... to znaczy lady Sommes.

Pochylił się nad jej dłonią, przypominając sobie o dobrych manierach, o których zapomniał w obecności jej siostrzenicy.

- Pani sługa, panno Montrose.

- Wexler - rzekła starsza dama. - Poproś kucharkę, by przygotowała tacę z herbatą. - Spojrzała na Ethana. - A może woli pan coś mocniejszego?

- Nie, dziękuję pani. W rzeczy samej chciałbym porozmawiać z panną Sommes o pewnym interesie.

Colly wreszcie ocknęła się z szoku, który przeżyła na widok Ethana Bradforda na swoim progu.

- Interes? Ze mną? Zdaje się, że wie pan więcej niż ja. Cóż to może być za sprawa?

Ethan podziwiał szczere zaskoczenie w jej głosie. Prawie uwierzył, że mówi prawdę. Prawie.

Pomimo iż miał ochotę porozmawiać z nią na osobności, poszedł za paniami do saloniku. Dziewczyna usiadła na kanapce obok ciotki i złożywszy ręce na kolanach patrzyła na niego w skupieniu. Podziwiał ją. Chociaż spódnica jej amazonki była okropnie podarta, włosy w nieładzie i choć z pewnością wiedziała, że przyszedł odzyskać brylant Bradfordów, była spokojna i nieporuszona. Postronnemu obserwatorowi mogłoby się zdawać, że dziewczyna nie podejrzewa grożącego jej niebezpieczeństwa. Wielkie nieba, cóż to za twarda sztuka.

Postanowił od razu przejść do rzeczy.

- Przyjechałem po pierścień.

Damy wymieniły zaskoczone spojrzenia.

- Pierścień? - powtórzyła panna Sommes.

A więc chciała udawać, że o niczym nie ma pojęcia. To jej się nie uda. W mgnieniu oka przekona się, że znalazła w nim godnego przeciwnika. Nie był już uczniakiem, który da się nabrać na ładną buzię i doskonałą figurę.

Na zaproszenie panny Montrose Ethan usiadł w obitym skórą fotelu. Obok stał trójnogi stoliczek z ogromną wazą, na której namalowana była scena ze średniowiecznej bitwy. Mając nadzieję, że to nie zła wróżba, przeciągnął nonszalancko palcem po blacie stolika.

- Panno Sommes - rzekł obierając nową taktykę. - Jeśli się nie mylę, zna pani mojego brata.

- Nie wydaje mi się. - Colly potrząsnęła głową.

Ethan nie mógł powstrzymać uśmiechu cisnącego mu się na wargi. Ślicznotka byłaby doskonałą brydżystką... nie sposób było jej nie uwierzyć.

- Bardzo panią proszę. Tą drogą donikąd nie dojdziemy...

- Wielkie nieba! - wykrzyknęła nagle panna Montrose. Wstała z kanapy wpatrując się w okno. - Wrócił!

Gwałtownie łapiąc oddech panna Sommes odsunęła firanę.

- A to szatan! I teraz goni... - Z niepokojem na twarzy odwróciła się do Ethana. - Lordzie Raymond, czy... czy pan przyjechał konno? - Zanim zdążył jej odpowiedzieć, pospieszyła do drzwi wiodących do ogrodu i zawołała przez ramię: - Tak mi przykro! Ogier mojego ojca właśnie atakuje pańskiego konia!

Ethan usłyszał bojowe rzenie, dobiegł do drzwi i odepchnął pannę Sommes. Starając się zapobiec nieszczęściu, biegł co sił w nogach w stronę zwierząt. Za tarasem znajdował się zamknięty żywopłotem ogród, lecz przed domem był tylko park z trawnikiem. Ogier przepędził konia Ethana ze stajni przez park i teraz uwięził go pomiędzy wysokim płotem a sporym malowniczym jeziorkiem. Biedne zwierzę nie miało już dokąd uciekać.

Dwóch stajennych dotarło do koni przed Ethanem, ale chociaż starali się odstraszyć ogiera pokrzykując i machając rękami, na potężnym zwierzęciu nie robiło to żadnego wrażenia. Nie śmieli podejść zbyt blisko, gdyż żaden nie miał ochoty spotkać się ze śmiercionośnymi kopytami araba.

Zbliżając się do kąta między płotem a stawem, Ethan błyskawicznie ocenił sytuację i zrozumiał, że chłopcy nie dadzą sobie rady z rozszalałym zwierzęciem. Krzyknął do nich, by pobiegli do domu po strzelbę, lecz właśnie w tej chwili ogier się odwrócił.

Rozwścieczone zwierzę popatrzyło podejrzliwie na Ethana. Parskając i wierzgając, arab szybko przebył odległość dzielącą go od nowego celu. Choć Ethan machał rękoma i pokrzykiwał głośno, by odstraszyć ogiera, koń zatrzymał się tuż przed nim, wznosząc wysoko kopyta. Na szczęście młody mężczyzna uskoczył w porę; złapał zwierzę za szyję i wczepiając palce w gęstą grzywę wskoczył mu na grzbiet.

Ogier potężnie wierzgnął, lecz dzięki wielu latom praktyki Ethan zdołał utrzymać się na jego grzbiecie. Arab spróbował stanąć dęba, lecz i to nie przyniosło żadnego rezultatu. Zdesperowane zwierzę odwróciło się w końcu i pobiegło w stronę lasu ciągnącego się za parkiem.

Zdając sobie sprawę z grożącego niebezpieczeństwa, Ethan usiłował

znaleźć odpowiednie miejsce, by zeskoczyć z grzbietu czworonożnego szatana. Nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności właśnie, gdy już zobaczył równy kawałek murawy i puścił grzywę rozszalałego zwierzęcia, koń wierzgnął raz jeszcze. Ostatnią rzeczą, jaką Ethan zapamiętał, był nagły upadek.

Rozdział trzeci

Dzięki Bogu! - rzekła Colly. Jej głos zabrzmiał nienaturalnie głośno w nocnej ciszy. - Wreszcie odzyskał pan przytomność.

Przez ostatnie dwie godziny siedziała w sypialni na niewygodnym krześle i czekała, aż lord Raymond otworzy oczy. Już niedługo świt zacznie malować niebo szarością i różem, lecz teraz było jeszcze ciemno, a pokój rozświetlała tylko świeczka postawiona na trójnogim stoliku po prawej ręce dziewczyny. Powieki jej ciążyły i musiała je pewnie na moment zamknąć, gdyż tomik poezji, który czytała, upadł na podłogę z głuchym łoskotem. Schylając się, by podnieść książkę, Colly spojrzała w głąb pokoju na rzeźbione łóżko, na którym leżał ranny mężczyzna.

Jego oczy były otwarte. Obserwował ją.

Odłożywszy tomik na stoliczek, dziewczyna pospieszyła do łóża. Stała tuż obok ozdobnych kolumnienek i spojrzała na mężczyznę. Wciągając głęboko powietrze, przypomniała sobie, jak przerażająco wyglądał, kiedy znaleźli go w lesie. Był śmiertelnie blady, a jego kubrak przesiąkł krwią. Z początku, gdy leżał bez ruchu na ziemi, dziewczyna wystraszyła się, że może...

To było zbyt okropne, by ciągle o tym myśleć. Siłąc się na spokój Colly położyła dłoń na czole rannego mężczyzny. Jego skóra była gorąca, lecz już nie tak bardzo jak wieczorem.

- Ma pan gorączkę, sir, i stąd pana złe samopoczucie. Jednak z radością mogę powiedzieć, że oprócz kilku zadrapań i stłuczeń, no i paskudnie wykręconego ramienia, nic poważnego się panu nie stało. Doktor zapewnił nas, że wydobrzeje pan w mgnieniu oka.

Kiedy zdejmowała dłoń z jego czoła, lord Raymond nagle chwycił jej rękę i przyłożył sobie do rozpalonej twarzy.

- Mmm... - zamruczał, pocierając policzkiem o jej dłoń. - Jak miło...

Dziewczyna poczuła, że na jej twarz wypływa gorąca fala, równie gorąca jak czoło lorda Raymonda. Być może przejęcie czuwania przy

chorym nie było najlepszym pomysłem? Ciocia Pet i gospodyni powiedziały, że będą się nim opiekować, ale Colly nalegała, że nad ranem zmieni ciotkę. W ten sposób starsza pani zdrzemnie się choć kilka godzin. Lecz kiedy lord Raymond przytulił policzek do jej dłoni, dziewczyna przypomniała sobie, że pacjent jest przede wszystkim mężczyzną - i to mężczyzną mającym reputację uwodziciela.

Jednak te rozważania okazały się zupełnie czcze, gdyż Ethan prawie natychmiast zamknął oczy i z powrotem zasnął. Nadal trzymał jej dłoń przyciśniętą do twarzy i Colly nie miała serca jej cofnąć. Powiedziała sobie, że nie chce przerywać snu choremu człowiekowi, lecz w końcu uczciwie przyznała, że dotyk jego nie ogolonego policzka na dłoni jest wyjątkowo przyjemny.

Wpatrywała się w niego z uwagą. Siedem lat temu uważała go za najprzystojniejszego mężczyznę, jaki kiedykolwiek stąpał po ziemi, i musiała przyznać, że nadal jest piękny. Jednak jego twarz zmieniła się nieco od czasu ich ostatniego spotkania. Czas wyrzezał drobne, niemal niewidoczne linie dokoła oczu i ust. Życie, a może obowiązki, ociosały twarz nadając jej bardziej zdecydowany, zdeterminowany i władczy wyraz.

Gdy pierwszy raz zobaczyła Ethana, miał dwadzieścia trzy lata i był odziany w oszałamiający mundur huzara. Spotkali się na balu u jakiejś młodej dziewczyny, która podobnie jak Colly debiutowała w towarzystwie. Wszystkie panie obecne na sali nie mogły oderwać oczu od młodego oficera. Jego ojciec niedawno odziedziczył tytuł i majątek po kuzynie, więc z dnia na dzień młody Ethan stał się bardzo atrakcyjną partią. Sama jego obecność na balu decydowała o świetności przyjęcia.

Kiedy poprosił Colly do walca, dziewczyna dosłownie nie wiedziała, co powiedzieć. Nikt, nawet ona, nie wiedział, dlaczego Ethan poprosił właśnie ją. Może dlatego, że w odróżnieniu od innych dam nie starała się zwrócić na siebie jego uwagi. Jednak cokolwiek powodowało młodym oficerem, nadal pamiętała ten taniec.

Przypominała sobie teraz, co czuła, gdy położył dłoń w rękawicze

na jej plecach - była tak bardzo zawstydzona i podniecona zarazem. Nigdy wcześniej nie tańczyła z mężczyzną. W pamięci nadal miała piękną muzykę wypełniającą zatłoczoną salę balową i żar ogarniający jej ciało, gdy krążyła po parkiecie w mocnych objęciach Ethana.

Niestety, radość wkrótce przerodziła się w koszmar. Nieśmiała, oczarowana siedemnastoletnia Colly nie była w stanie wykrztusić ani słowa do oszałamiającego partnera. I choć starał się zabawiać ją uprzejmą rozmową, a po tańcu grzecznie podziękował, wiedziała, że jest znudzony. I choć bardzo raniło to jej dziewczęce serduszko, czuła, że zanim odprowadził ją do matki, już dawno zapomniał, jak ma na imię. Ale ona nigdy go nie zapomniała. Wtedy nazywał się Ethan Bradford.

Wczoraj, gdy Wexler zaanonsował go jako lorda Raymond, minęła chwila, zanim rozpoznała w nim partnera z balu. Nie zdziwił jej też fakt, że jej nie poznał.

Teraz, kiedy tak wpatrywała się w jego twarz, poruszył się, wyswobadzając jej dłoń. Niemal natychmiast zaczął się rzucać, jakby szukając chłodnego miejsca na poduszce. Colly po raz kolejny zmoczyła chusteczkę w misce z wodą, którą wieczorem Wexler postawił na komodzie, i położyła ją na czole rannego mężczyzny. Zdawało się, że chłód go uspokaja, więc przykładała mu chłodne kompresy, aż znowu leżał spokojnie.

Myślała, że śpi, więc zaskoczył ją, prosząc o coś do picia.

- Oczywiście - odrzekła. - Doktor zostawił jakąś miksturę, a ciocia Pet przyrządziła świeżą lemoniadę.

Uśmiechnął się do niej tak czarującym, nieprzytomnym uśmiechem, że dziewczyna straciła na moment poczucie rzeczywistości.

- Proszę o lemoniadę.

Colly odwróciła się pospiesznie, by nie zauważył jej zakłopotania, i powtarzając sobie, że jest idiotką, podeszła do komody, na której stał dzbanek. Nalała trochę napoju do szklanki i przyniosła do łóżka chorego.

- Bardzo proszę, lordzie Raymond. Może to trochę panu pomoże.

Od razu przekonała się, że podanie lemoniady pacjentowi wcale nie będzie taką łatwą sprawą. Jego prawy bark i ręka były ciasno zabandażowane i usztywnione. Miało to zapobiegać ewentualnym urazom, gdyby chory zbyt się w nocy wiercił. Zawinięty w ten sposób, Ethan bardziej przypominał mumię niż żywego człowieka.

- Może zrobimy tak - zaproponowała Colly. - Spróbuję podłożyć ramię pod pana głowę i unieść ją trochę. Jeżeli to nie będzie za bardzo bolało, może uda się panu trochę napić.

Łatwiej było powiedzieć niż zrobić. Colly musiała się nieźle natrudzić, by podnieść jego głowę choćby o centymetr. Jednak ugaszenie pragnienia, to już była całkiem inna sprawa. Jak na złość, gdy tylko rozpalone usta chorego dotknęły szklanki, jego oczy natychmiast się zamknęły i opadł nieprzytomny na poduszki.

Szklanka wraz z zawartością spadła z brzękiem na podłogę po drugiej stronie łóżka, a anioł miłosierdzia wylądował jak długi na piersi mężczyzny.

Pozbawiona na chwilę oddechu i bardzo zawstydzona dziewczyna upomniała się w duchu, że nie ma się czym przejmować. Żeby się wyswobodzić, potrzebowała tylko wyjąć ramię spod karku Ethana. Okazało się jednak, że nawet to nie jest takie proste, jak by się można spodziewać. Żeby wysunąć ramię, musiała nieco unieść głowę, a to już było niemożliwe. Długie włosy, luźno związane nad karkiem, zaplątały się w spinki podtrzymujące bandaż na piersi rannego.

Zaskoczona dziewczyna, nie poddając się, sięgnęła do włosów i usiłowała się wyswobodzić. Ciągnęła. Szarpała. Wszystko na nic. Nie była w stanie uwolnić loków, a nawet zaplątała je jeszcze bardziej. Zirytowana szarpnęła głową z całej siły. To idiotyczne posunięcie zostało nagrodzone okropnym bólem, który uświadomił jej, że musi być jakiś lepszy sposób.

Piętnaście minut później, po bezskutecznych wysiłkach, Colly w pełni zdała sobie sprawę z sytuacji, w jakiej się znalazła. Czuła się niczym zwierzę w potrzasku i nie miała najmniejszych szans na wyswobodzenie.

Pokój rannego znajdował się w rzadko używanym skrzydle gościnnym, więc wołanie ciotki nie miało sensu - i tak by nie usłyszała. Od niewygodnej pozycji zaczęły ją boleć plecy. Colly wdrapała się więc na łóżko i wyciągnęła się obok śpiącego Ethana. Łzy zakłopotania i ulgi popłynęły jej po policzkach, lecz szybko otarła je gniewnym ruchem wolnej dłoni. Była wściekła na siebie, że znalazła się w tak idiotycznej i krępującej sytuacji.

- Wszystko, czego mi teraz potrzeba, to żeby weszła tu jedna z pokojówek i znalazła mnie leżącą przy Ethanie, obejmującą go jedną ręką za szyję i opierającą mu głowę na piersi.

Być wyswobodzonym czy nie, oto jest pytanie. Te ponure myśli zostały przerwane, gdy Ethan znowu niespokojnie poruszył się na materacu, omal nie skręcając jej karku.

Ku wielkiemu zdziwieniu dziewczyny świt zaczął szarzeć za oknem, a przytłumione światło poranka prześwitywało przez ciężkie zasłony. Już niedługo pokojówki zaczną krążyć po domu i prędzej czy później jedna z nich znajdzie ich w tej krępującej sytuacji i skompromituje ją już do cna.

Colly poddała się. Nie miała innego wyjścia.

Przysięgła sobie jednak, że cokolwiek by się stało, nie da się wmanewrować w małżeństwo z przymusu. W chwilę później usłyszała odgłos otwieranych drzwi i cichy okrzyk:

- Colly!

- Ciocia Pet! - Dziewczyna poczuła, że kamień spadł jej z serca. -

Dzięki Bogu, że to ty.

- Co to wszystko znaczy? Moja droga, czyżbyś postradała resztki...

- Cicho... Jeżeli jest z tobą pokojówka, to natychmiast ją odeślij.

Przyrzekam, że później wszystko ci wytłumaczę, ale teraz liczy się każda minuta. Potrzebuję twojej pomocy.

Ciotka podeszła ostrożnie do łóżka.

- Co mam...

- Przejdź na drugą stronę łóżka i zobacz, czy możesz mnie

wyswobodzić. Włosy zaczepiły mi się o zapięcie bandaża.

Starsza dama postąpiła zgodnie ze wskazówkami siostrzenicy.

- Już widzę, w czym rzecz - rzekła po chwili. - Nie mogę ci jednak pomóc bez nożyczek. Poczekaj jeszcze chwilę. Zaraz wrócę.

Po kilku minutach stara panna pojawiła się w drzwiach. Musiała chyba biec, gdyż w ciszy pokoju wyraźnie słychać było jej przyspieszony oddech. Colly błagała ją, by nie traciła czasu na zbyteczne ostrożności, więc ciotka bez skrupułów cięła gęste loki.

- Gotowe - szepnęła, gdy ucięła już zaplątane pukle.

Wreszcie wyswobodzona Colly pospiesznie wyciągnęła rękę spod pleców Ethana i odsunęła się jak najdalej w głąb pokoju. Chwyciła się za ramię, gdy powracające czucie przeszło ją tysiącem lodowych szpileczek. Ciocia Pet ostrożnie wyjrzała na korytarz.

- Nadal nikogo nie ma - rzekła cicho. - Jeżeli się pospieszysz, zdążysz jeszcze do swego pokoju, zanim przyjdzie pokojówka z poranną czekoladą.

Uściskawszy szybko swą wybawicielkę, Colly powiedziała:

- Dziękuję, ciociu. Byłam już zupełnie zrozpaczona. Nie wiedziałam, co zrobić, jeżeli...

- Cicho, dziecino. Mamy dużo czasu na rozmowę. Teraz musisz się pospieszyć. Jeżeli uda ci się wrócić pod kołdrę, zanim przyjdzie pokojówka, nikt nawet nie będzie wiedział, że opuściłaś pokój.

Colly pobiegła korytarzem do swej sypialni. Mając w pamięci rady ciotki, szybko zrzuciła suknię i ubrała się w nocną koszulę i narzutkę. Dziesięć minut później, gdy pokojówka weszła do pokoju, zastała swą panią siedzącą na łóżku i czekającą na nią.

Lord Raymond budził się powoli. Otworzył oczy i natychmiast zamknął je ponownie, gdyż ostre promienie porannego słońca raziły jego źrenice i posyłały fale bólu do mózgu. Gorączka już opadła, lecz głowa bolała go tak, jakby ktoś użył jej zamiast piłki do krykieta. Bolało go

właściwie całe ciało, więc brak gorączki nie był aż takim błogosławieństwem. Leżał spokojnie. Niewiele więcej mógł zrobić, tak sztywno był zabandażowany.

Starał się skoncentrować, lecz umysł nie był skłonny do współpracy. Pamiętał, że zrzucił go ogier, lecz co było potem... Wydawało mu się, że raz w ciągu nocy obudził się i zobaczył pannę Sommes siedzącą na krześle w rogu pokoju.

Ethan przypomniał sobie, że pytała go, czy chciałby się czegoś napić, ale może tylko mu się przywidziało. Zdawało mu się sporo innych dziwnych rzeczy... na przykład pamiętał, że mnóstwo małych, podobnych do krasnali stworków szturchało go niemiłosiernie i naśmiewało się z niego wyglądając spod łóżka i zza zasłon. W pewnej chwili, kiedy wydawało mu się, że się obudził, poczuł, że panna Sommes ułożyła się przy nim na łóżku, objęła go ramieniem za szyję i położyła mu głowę na piersi.

Tego samego poranka Colly wróciła do pokoju Ethana wraz z pokojówką niosącą na tacy gorącą czekoladę i tosty. Ponowne wejście do jego pokoju, kiedy wiedziała, że chory już nie śpi i że nie ma gorączki, kosztowało ją więcej odwagi, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać. Nie miała pojęcia, jak zareaguje. A jeżeli wiedział, że poprzedniej nocy była w jego łóżku? A jeżeli pomyśli, że posłużyła się jego chorobą, by wymóc na nim małżeństwo?

Takie posądzenie byłoby nawet zrozumiałe. Patrząc na całą sytuację z towarzyskiego punktu widzenia, lord Raymond był doskonałą partią, najlepszą, jaką można by sobie wyobrazić. Był przystojny, bogaty, pochodził ze starej i świetnej rodziny, podczas gdy panna Columbina Sommes była nikiem. Ponadto już trochę podstarzałym nikiem.

Nawet nie chodziło o to, że nie było kandydatów do jej ręki. Całkiem niedawno był tu taki jeden. Trudno jednak spodziewać się, że świat uwierzy, iż nie wyszła dotychczas za mąż z własnego wyboru. Tym bardziej nikt nie uwierzyłby, że wolała staropanieństwo niż małżeństwo

bez miłości.

Colly nie chciała takiego małżeństwa. Żeby przekonać się o skutkach tego typu związku, wystarczył przykład jej rodziców. Sir Wilfred, rubaszny, lecz w głębi serca bardzo dobry człowiek, czcił swą piękną i znacznie młodszą żonę, lecz ona nie odwzajemniała jego uczuć. Nawet nie chodziło o to, że matka Colly nie szanowała czy nie lubiła męża. Na tym właśnie polegał problem - namiętność i uwielbienie były odwzajemniane zwykłą sympatią. A to było powodem nieustającego cierpienia tego, kto naprawdę kochał.

Colly wolałaby być starą panną do końca swych dni.

Kiedy weszła do pokoju Ethana, zastała go siedzącego na łóżku, opartego o stos poduszek. Powierzono go doświadczonym dłoniom kamerdynera, który ogolił rannego, uczesał i ubrał w jeden ze szlafroków sir Wilfreda. Nie był to najszcześniejszy wybór, gdyż na szlafroku pyszniły się purpurowe ptaki na tle złotych promieni słońca. Całość sprawiała dość upiorne wrażenie. Jego lordowska mość przeżył jakoś starania Wexlera i siedział teraz na łóżku, nadal bardzo blady, lecz z wyrazem zdecydowania na twarzy.

Colly wyczuła jego determinację już w progu pokoju i miała ochotę odwrócić się na pięcie i uciec jak najdalej. Widziała, że obserwuje ją, i zastanawiała się, czy pamięta, jak w nocy leżała obok niego. Najwyraźniej i pokojówka czuła się onieśmielona, bo gdy tylko postawiła tacę na stole, dygnęła szybko i uciekła z pokoju.

- Czy to zapach czekolady? - zapytał Ethan zatrzymując Colly w pół kroku. - Jeżeli tak, to proszę już dłużej nie zwlekać. Proszę nalać mi filiżankę, panno Sommes. Czuję się, jakbym nie jadł od tygodnia.

Prosił ją o jedzenie.

Colly odczuła ulgę. Najwyraźniej wcale nie wiedział, że tej nocy była gościem w jego łóżku, gdyż w przeciwnym razie nie domagałby się czekolady, lecz swego konia i prawnika.

Wciągnąwszy głęboko powietrze, by się uspokoić, dziewczyna

podeszła do tacy zostawionej przez pokojówkę. Dotknęła ostrożnie dzbanka, by sprawdzić, jaką ma temperaturę. Była zadowolona, że nie musi patrzeć mu w oczy. Kiedy już naląła czekolady do przezroczystej filiżanki, podała ją Ethanowi uśmiechając się promiennie i mając nadzieję, że nie domyśli się jej zdenerwowania.

- Powracający apetyt jest drugim znakiem powracającego zdrowia - powiedziała i ponownie zmusiła się do uśmiechu.

- Drugim? - zapytał podnosząc filiżankę z gorącym płynem do ust. Przyglądał się jej natarczywie, a dziewczyna miała wrażenie, że lada moment jej opanowanie legnie w gruzach. - A jaki jest pierwszy objaw, proszę pani?

Colly poczuła, że się rumieni.

- Spokojny sen - rzekła ganiać się w myśli za to, że poruszyła ten niebezpieczny temat.

- A czy ja spałem spokojnie?

Kiwnęła głową, po czym odwróciła wzrok; nie chciała rozmawiać ani o śnie, ani o łózkach.

Ethan obserwował ją bacznie. Panna Sommes wyglądała na lekko zawstydzoną, jakby rozmowa o śnie mężczyzny wprawiała ją w zakłopotanie. Gdyby nie wiedział, że jest a zwykłą awanturnicą i że zwodziła nieopierzonego młodzika, uwierzyłby w jej niewinność.

Omijając jego wzrok, Colly podeszła do krzesła stojącego w rogu pokoju i usiadła. Kiedy się poruszyła, poczuł delikatny zapach werbeny i nagle przypomniał mu się sen, w którym panna Sommes była w jego ramionach. Pamiętał, że we śnie była taka delikatna, ciepła i cudowna...

Ethan odpędził te niepokojące myśli i powiedział sobie, że nie da się oczarować tej kobiecie. W końcu to przecież jej wdzięk uwiódł Reggiego. Poza tym był bardzo bogatym kawalerem i znał już wszystkie damskie sztuczki.

Oczywiście, nigdy dotąd nie widział oczu o takim kolorze - nie całkiem zielonych i nie całkiem szarych. Podobał mu się także sposób, w

jaki czesała włosy. Były związane w klasyczny kok nad karkiem, a delikatne loczki wysmykiwały się na policzki dziewczyny. Ponadto była w niej jakaś spokojna dostojność. Jak na awanturnicę panna Sommes była niezaprzeczalnie dystyngowaną kobietą.

Ethan właśnie powtarzał sobie w myślach, o co podejrzewa Colly, gdy do pokoju weszła znowu ta nieśmiała pokojóweczka i poinformowała swą panią, że przyjechał doktor Beckman.

W szarzielonych oczach dziewczyny pojawiła się ulga, obowiązek dobiegł już końca. Zerwała się szybko i powiedziała:

- W takim razie powierzę pana opiece doktora, lordzie Raymond.

Ethan uśmiechnął się z przymusem. Jeżeli ta pannica myślała, że już z nią skończył, to bardzo się myliła. Jeszcze nawet nie zaczął. Może i był wdzięczny, że zajęła się nim ubiegłej nocy, ale nie aż tak, by pozwolić jej na zachowanie brylantu Bradfordów.

- Przyjdzie pani jeszcze, prawda, panno Sommes? Oboje wiemy, że mamy ze sobą ważną rzecz do omówienia.

Oczy dziewczyny rozszerzyły się ze zdumienia - i... tak, chyba strachu - momentalnie przypominając mu zapędzonego w kozi róg elfa.

- Proszę mi uwierzyć, że nie ma powodu... - Przerwała gwałtownie i powitała mężczyznę stojącego w progu.

Doktor wymienił z nią zdawkowe grzeczności, po czym zamknął drzwi i podszedł do łóżka chorego. Jego czarne ubranie było wymięte, a niegdyś biała koszula - sfatygowana. Oczy miał zaczerwienione z braku snu, a zmęczenie wyryło głębokie zmarszczki dokoła jego ust.

- Łóżko nie widziało mnie od dwóch dni, więc wybaczy pan, jeżeli będę nieco szorstki. - Postawił skórzaną torbę obok łóżka. - Za pańskim pozwoleniem, milordzie.

Uzyskawszy zgodę Ethana, doktor pomógł mu wyciągnąć poduszkę spod pleców i zdjąć oszłamiający szlafrok pożyczony z garderoby sir Wilfreda.

- Podejrzewam, że będzie panu wygodniej bez tych więzów,

milordzie. - Ethan zamruczał coś, a lekarz zaczął wyjmować spinki przytrzymujące bandażę. Nagle zatrzymał się oglądając zaplątany w nie lok. Mruknął: - Dziwne. Ciekawe, skąd to się tu wzięło. - Nie wdając się w dalsze komentarze, odłożył kosmyk włosów na stolik przy łóżku i zaczął odwijać opatrunek.

Stary lekarz pracował szybko i sprawnie. Sprawdził nadwreżone ramię i z zadowoleniem oznajmił, że już się goi, po czym założył Ethanowi temblak, radząc, by oszczędzał się jeszcze przez kilka dni.

- Proszę uważać na to ramię, milordzie. I nie nabijać sobie więcej guzów. No i trzeba zostać w łóżku co najmniej jeszcze jeden dzień - zakończył pośpiesznie. - To rozkaz!

Gdy tylko drzwi zamknęły się za lekarzem, Ethan przesunął się na krawędź łóżka, wolno, gdyż każdy szybszy ruch wywoływał nowe fale bólu. Delikatnie wyswobodził ramię z temblaka i wyciągnął rękę w stronę nocnego stolika, gdzie leżał długi lok włosów zakręcony dokoła spinki. Nie będąc do końca pewnym, dlaczego to takie ważne, odkręcił zaplątany kosmyk i położył go sobie na dłoni, by przyjrzeć mu się uważnie.

Lok, długi na jakieś piętnaście centymetrów, był jasnokasztanowy z przebłyskującymi złotymi pasemkami. Końce były nierówno, jakby w pośpiechu, ucięte. Mnąc go między palcami poczuł delikatny zapach werbeny i natychmiast przypomniał sobie szalony sen o panie Sommes, która spała przytulona do jego piersi.

Gdy wreszcie zrozumiał, co się stało, poczuł wściekłość skierowaną zarówno do niej, jak i do siebie.

- Do wszystkich diabłów! - Opadł na poduszki trzęsąc się z wściekłości. - Najstarsza sztuczka świata!

Minęło kilka minut, zanim zdołał się uspokoić i uporządkować myśli. Była niewątpliwie szczwaną osobką, lecz będzie potrzebować o wiele więcej sprytu, by zagonić Ethana Bradforda w kozi róg!

Zaśmiał się głośno, lecz w tym śmiechu nie było nic wesołego. Śmiał się z własnej naiwności. Przybył do Sommes Grange, by uratować

młodszeo brata z rąk tej harpii, tylko po to, by samemu dać się sprowadzić na manowce. Jakimż był głupcem! Po tym, jak po śmierci ojca i odziedziczeniu tytułu musiał bronić się przed swatkami z całego Londynu, mógł się spodziewać podobnego podstępu. Żadna awanturnica nie zadowolilaby się młodszym bratem, gdy sam dziedzic był wystarczająco głupi, by pchać się w jej ręce.

Ethan oparł się o poduszki i starał się zebrać myśli. Może jeszcze znajdzie się jakiś sposób wybrnięcia z tej sytuacji, lecz aby go wymyślić, będzie musiał dokładnie i z każdej strony rozważyć wydarzenia poprzedniej nocy. Pamiętał, że obudził się o jakiejś bardzo wczesnej porze, tuż przed świtem, czując miękkie, ciepłe ciało spoczywające obok niego. To była panna Sommes. Teraz był już tego pewien. Położyła się przy nim, a jej ręka spoczywała pod jego barkami.

- Kosmyk włosów musiał zaplątać się w spinę, kiedy to dziewczusko oparło głowę na mojej piersi - rzekł sam do siebie z odrazą w głosie. - Niech ją diabli wraz z jej nieśmiałymi uśmiechami i dziewiczym zachowaniem. Ta kobieta jest gorsza niż sama pani Siddons!

Leżał na łóżku, raz po raz odgrywając tę scenę w myślach. Jedno wydawało mu się dziwne - nie przypominał sobie, by jakakolwiek inna kobieta tak dziwnie go obejmowała. Musiało jej być diabelnie niewygodnie, kiedy tak trzymała ramię pod jego barkami, a głowę na jego piersi. Uśmiechnął się niewesoło. Trochę więcej takiego przytulania, a i ona miałyby zwichnięty bark.

Zaraz po tym nadbiegło kolejne wspomnienie. Przez chwilę zastanawiał się.

- Lemoniada! - rzekł w końcu, jakby to wszystko wyjaśniało. Podtrzymała go ramieniem, by mógł napić się lemoniady. Nie pamiętał, co się później działo. - Pewno znowu zemdlałem i opadłem na poduszki. No i pociągnąłem za sobą pannę Sommes.

Musiał przyznać, że to było najbardziej prawdopodobne. Panna nie zaczepiła się kosmykiem włosów o spinki, gdy kładła się obok niego, lecz

musiała się położyć, bo włosy wplątały się w opatrunek. I pewno jeszcze musiała czekać w tej pozycji, aż ktoś przyjdzie jej na ratunek.

Jeszcze raz dokładnie przyjrzał się lokowi.

- A najprawdopodobniej wybawicielką panny Sommes była nieoceniona panna Montrose, która, jak się domyślam, szybko ucięła włosy uwalniając siostrzenicę, zanim ja się obudzę i znajdę ją w swoim łóżku.

Po chwili zachichotał radośnie. Choć nie było mu to w smak, musiał przyznać, że rola najlepszej partii od kilku sezonów zmieniła go w starego podejrzliwca. Panna Sommes nie tylko nie chciała go skompromitować, ale też dołożyła wszelkich starań, by nikt nie odkrył jej kompromitującego położenia.

Do głowy przyszła mu jeszcze jedna myśl. Jeżeli tak bardzo pomylił się w tej sprawie, może też mylił się w innych? Skoro najwyraźniej nie chodziło jej o poślubienie dziedzica tytułu i majątku, może naprawdę chciała poślubić jego młodszego brata? Może wcale nie była awanturnicą, za jaką ją miał, lecz naprawdę pokochała młodszego od siebie mężczyznę? Reggie potrafił być czarujący, jeżeli chciał, w szczególności starsze damy łatwo ulegały jego urokowi. Nie chodziło o to, że panna Sommes to starsza dama, lecz przecież jest o ładnych parę lat starsza od Reggiego. Z jakiegoś dziwnego powodu, którego Ethan nie miał ochoty roztrząsać, myśli, że panna Sommes może naprawdę kochać jego głupiego brata, o wiele bardziej go martwiła niż podejrzenie, że goni tylko za ich majątkiem.

Te rozważania przerwało nagle pukanie do drzwi. Ethan wcisnął kosmyk włosów pod poduszkę i zawołał, by gość wszedł. Okazało się, że to właścicielka loczka. Tym razem nie miał najmniejszych wątpliwości co do szczerego skrupowania panny Sommes, choć starała się trzymać głowę tak wysoko jak sama królowa.

- Prosił pan, żebym wróciła, abyśmy mogli... - tu zawahała się na moment - ...porozmawiać o jakiejś bardzo ważnej sprawie.

- Zgadza się, proszę pani.

Podeszła do krzesła i usiadła na nim sztywno wyprostowana, z

dłońmi złożonymi na kolanach. Była prawie tak blada jak koronki wykańczające rękawy jej lawendowej sukni, a Ethan nie mógł nie podziwiać jej opanowania. Spojrzała mu prosto w oczy.

- Lordzie Raymond, pozwoli pan, że będę mówić pierwsza. Jeśli dobrze się domyślam, przypomniał pan sobie incydent, o którym ja wolałabym zapomnieć.

Dziewczynie nie brakowało odwagi - to musiał jej przyznać. Nie zaczynała płakać ani skarżyć się na migrenę; przechodziła od razu do rzeczy.

- Jeżeli obawia się pan, że mnie skompromitował, to na szczęście nic takiego się nie stało. To było nieuniknione i zupełnie przypadkowe. Nie widzę powodu, dla jakiego którekolwiek z nas miałyby martwić się tym lub płacić za to do końca życia. Ponadto nie jestem już głupiotką panienką, której szanse na przyszłość zależą od... ehm... jednej nocy spędzonej z dżentelmenem. Niedługo skończę dwadzieścia pięć lat i... jak to się brzydko mówi, jestem już właściwie w odstawce... więc niech mi pan wierzy, nie szukam męża.

Ethan wyobrażał sobie, jak wiele musiało ją kosztować to wyznanie.

- Poza tym - dodała jakby po namyśle - moje uczucia są już zaangażowane gdzie indziej.

Rozdział czwarty

A niech to wszyscy diabli! Więc jednak naprawdę kochała tego idiotę Reggiego!

Ale się wszystko skomplikowało! Panna Sommes uważała, że jest zaręczona, podczas gdy Reggie buszował po kraju uważając się za wolnego człowieka. A on, odwdzięczając się dziewczynie za gościnę i pomoc, musiał ją poinformować o zdradzie Reggiego.

Aż do tej pory Ethan nawet nie rozważał możliwości, iż panna Sommes może naprawdę kochać jego brata i być zraniona, a nawet zdruzgotana wiadomością, że ten nie odwzajemnia jej uczucia. Ethan chciał mieć teraz przed sobą tego bezmyślnego młodzika - z przyjemnością skreśliłby mu kark.

Niestety, chłopca nie było w pobliżu i to on musiał poinformować dziewczynę, że zaręczyny są odwołane. Ale postanowił, że jeszcze nie teraz. Nie w chwili, gdy tak odważnie oświadczyła, że nie zamierza wciągać go w małżeństwo. Nie mógł, nie potrafiłby odpłacić jej przynosząc przykre i bolesne wieści.

Oczywiście nie było na to żadnej rady. Nic nie złagodzi jej bólu. Dziś czy jutro, katastrofa będzie dla niej tak samo wielka, lecz może zdoła wymyślić jakiś sposób, by zaoszczędzić jej wstydu. Może jeżeli polubi jego towarzystwo, jeżeli będą ze sobą swobodnie rozmawiać, może wtedy spróbuje złagodzić perfidię Reggiego. Mając na celu jedynie jej dobro, Ethan postanowił zaprzyjaźnić się z panną Sommes.

Uśmiechnął się do niej tak ciepło i z taką sympatią, że serce Colly zabiło mocniej. Bezwiednie odwzajemniła jego uśmiech.

- A więc widzi pan, że nie ma się czego obawiać - rzekła łagodnie. - Ja i tak jestem już zaręczona.

Colly była zadowolona, że jej małe kłamstewko odniosło sukces,

tym bardziej że było zmyślane naprędce. Wolałaby co prawda wiedzieć, dlaczego oczy lorda Raymond tak bardzo się zachmurzyły, gdy wspomniała, że kocha innego. Na razie jednak musiała na tym poprzestać.

- Lordzie Raymond - powiedziała przyglądając mu się bacznie. - Zdaje mi się, że nadal coś pana dręczy. Czy chciałby mnie pan o coś zapytać?

- Och, skądże znowu, proszę pani - odrzekł nonszalancko. - To nic takiego. Zapewniam. To znaczy, nic naprawdę ważnego. Poza tym, że...

Nie przekonał ją beztroski ton jego głosu, a ponieważ Ethan odwrócił wzrok, nie mogła już nic z niego wyczytać. Obserwowała, jak wyciąga przed siebie lewe ramię i obraca je, jakby podziwiał grę promieni słonecznych na kolorowych ptakach zdobiących szlafrok.

Ona także popatrzyła na tęczowe barwy, po czym spojrzała na Ethana.

- Poza tym, że...? - powtórzyła.

Zrobił urażoną minę.

- Zastanawiam się tylko, jak mogła pani oprzeć się pokusie wykorzystania okazji po tym, jak miała pani możliwość obejrzenia mnie w pełnej krasie. Tym bardziej że ma pani już swoje lata i... to pani słowa, jest już w odstawce. No a ja, jeżeli wybaczy pani bezpośredniość, jestem niczym kogut w sam raz do oskubania.

Przez chwilę Colly nie wiedziała, co odpowiedzieć. Potem zauważyła, że twarz Ethana się rozjaśnia. Zapanowawszy nad sobą resztką woli, nie odwzajemniła jego uśmiechu, tylko rzekła poważnym tonem:

- Zgadzam się, lordzie Raymond, że widok kawalera tak doskonale odzianego może wprawić w drżenie każde niewieście serce... tym bardziej tak leciwe jak moje... lecz zapewniam pana, że tym razem moje staropanieńskie serce pozostało niewzruszone.

- Uff! Mam w takim razie ogromne szczęście. Któż może wiedzieć, jakie niewypowiedziane okropności mogłaby popełnić mniej odporna panna z moim Bogu ducha winnym ciałem.

- W rzeczy samej, któż może wiedzieć? Czy mówiąc o niewypowiedzianych okropieństwach... miał pan na myśli zabójstwo?

- Nie, proszę pani. - Zwiesił głowę udając zakłopotanie. - Obawiam się, że myślałem o całkiem innych niewypowiedzianych rzeczach.

Colly miała wielką ochotę wybuchnąć śmiechem, lecz opanowała się.

- Milordzie. Mam nadzieję, że niewypowiedziane okropieństwa nie zostaną wypowiedziane. Tymczasem pozostawię pana jego smutnym rozmyślaniami.

- Ależ proszę pani... Z pewnością pozwoli mi pani...

Zasłoniła uszy, by przekonać go, że naprawdę nie jest ciekawa słów tego mężczyzny. Podeszła do drzwi i otworzyła je. Odwróciła się jeszcze i dodała:

- Z pewnością ucieszy pana wiadomość, iż Wexler był tak dobry i posiał kogoś do Canterbury, by powiadomił pana rodzinę, iż nic poważnego panu nie grozi, i przywiózł dla pana jakieś ubrania. Jutro, jeżeli odzyska pan siły, będzie mógł się pan pozbyć tych pożyczonych kogucich piórek.

- Niechże mi wolno będzie pani przypomnieć, że nawet najpiękniejsza szata... - rzekł, gdy odjęła dłonie od uszu, lecz dziewczyna pospiesznie zamknęła za sobą drzwi.

W holu Colly przymknęła oczy i odetchnęła z ulgą. Wszystko było w porządku. Ethan gładko przełknął jej kłamstewko, że kocha innego, a jego nienaganne maniery pomogły w poruszeniu tematu, który przyprawiał ją o takie zawstydzenie.

Colly pospieszyła korytarzem do głównych schodów i weszła do jadalni, gdzie czekała na nią ciotka, z którą miała zjeść obiad. Po drodze przypomniawszy sobie, że Ethan zawsze cieszył się opinią miłego i łatwego w kontakcie rozmówcy.

- I ani trochę się nie zmienił - powiedziała cicho do siebie.

Nawet jeżeli panna Montrose zauważyła, że podczas posiłku

siostrzenica myśli o czymś i uśmiecha się do siebie, była zbyt rozsądna, by zadawać jakiegokolwiek pytania. W końcu po co pytać, jeśli odpowiedzi same się znajdują?

Ethan spał dłużej, niż się spodziewał. Kiedy wreszcie się obudził, w pokoju, który przed południem ogrzewały promienie słońca, było zimno. Po drzemce czuł się bardziej rześki i mocniejszy. Ból głowy zniknął bez śladu i tylko chwilowe rwanie w barku przypominało mu o kontuzji.

Nie mając nic lepszego do roboty, leżał wpatrując się w sufit i rozmyślając o tym, co zdarzyło się od czasu, gdy cztery dni temu otrzymał list od Reggiego. Jednak to mu się szybko znudziło i poczuł się zapomniany przez cały świat.

- Taak - mrucał do siebie z rozgoryczeniem. - Człowiek może przeżyć upadek z konia i rany, a potem umrzeć tu z nudów.

Po kolejnych dziesięciu minutach liczenia srebrnych paseczków na tapecie Ethan wyprostował się na łóżku i przerzucił muskularne nogi nad jego krawędzią.

- Niech mnie wszyscy diabli, jeżeli będę tak tu leżał jak jakiś kaleka. Mam tylko trochę nadwerżone ramię. Nic innego mi nie dolega.

Odrzucił pierzynę i wstał bez najmniejszego wysiłku. Jednak nie przeszedł nawet dziesięciu kroków, kiedy stwierdził, że jest o wiele słabszy, niż mu się zdawało. Kolana nagle się pod nim ugięły i musiał chwycić się stolika. Zdołał zachować równowagę, ale nie mógł uratować lampy - z głośnym brzękiem spadła na podłogę.

Po chwili do pokoju wpadła panna Sommes.

- Proszę, proszę - rzekł z krzywym uśmiechem. - Gdybym wiedział, że tak łatwo można tu zwrócić czyjąś uwagę, zrzuciłbym tę lampę już pół godziny temu.

Pomimo brawurowych słów, mocno trzymał się stolika. Wąska strużka potu pojawiła się nad jego górną wargą.

Colly przyglądała mu się, niepewna, co ma zrobić. Stał przed nią

odziany tylko w szlafrok sir Wilfreda, który był na niego o wiele za mały, dzięki czemu można było podziwiać jego zgrabne łydki i muskularną pierś młodego mężczyzny. Widok każdego dżentelmena na pół ubranego byłby dla niej krępujący, a ten był wyjątkowo przystojny. Dziewczyna czuła się więc podwójnie onieśmielona. Oczywiście nie chciały jej słuchać. Choć bardzo tego chciała, nie mogła oderwać od niego wzroku.

Wahała się tylko przez chwilę. Nie komentując ani słowem niemądrego zachowania Ethana, podeszła do niego i objęła go w pasie.

- Niech się pan na mnie oprze, milordzie. Może w ten sposób uda się nam dojść do łóżka, nie niszcząc więcej mebli, niż jest to konieczne.

Ethan posłuchał jej bez słowa sprzeciwu. Trzymając rękę na ramieniu dziewczyny, dał się poprowadzić. Kiedy już z powrotem leżał pod pierzyną, a kolor jego twarzy wrócił do normy, Colly uśmiechnęła się.

- Zdziwiałam się pan, milordzie. Spodziewałam się jakiegoś sprzeciwu.

Ethan uśmiechnął się do niej łobuzersko.

- Madame, nigdy nie sprzeczą się z kobietą, która proponuje, bym ją objął.

Colly poczuła, że się rumieni.

- Lordzie Raymond - mówiła z taką godnością, na jaką było ją stać - zaczynam podejrzewać, że jest pan wytrawnym flirciarzem.

- Ależ skąd, proszę pani. - Był najwyraźniej poruszony. - Wcale nie jestem doświadczony... raczej zielony niż młoda trawa na wiosnę. Doświadczony flirciarz wyłudziłby co najmniej całusa.

Colly usiłowała zachować powagę, lecz było to ponad jej siły.

- Jest pan doprawdy nieznośny, Ethanie!

- Wiem o tym, madame - przyznał z komicznie zatroskaną miną. - Czy widzi pani dla mnie jakąś nadzieję?

- Żadnej! - W jej głosie zabrzmiała stanowczość. - A teraz, jeżeli przez chwilę będzie pan poważny... przyszedłam do tego pokoju w określonym celu.

- Panno Sommes! - zawołał udając zdziwienie. - Jak może pani jednym tchem nazywać mnie nieznośnym i jednocześnie dawać mi taką nadzieję!?

- Lordzie Raymond - rzekła powoli dziewczyna. - Czy ktoś kiedyś powiedział panu, że jest pan nie do wytrzymania?

- Tak, proszę pani. Nawet wiele razy. - Na jego twarzy zagościł udawany smutek. - Ale nigdy do tej pory tak mnie to nie zabolalo.

Dziewczyna niemal zakrztusiła się tłumiąc wybuch śmiechu.

- Za dziesięć sekund wyjdę z tego pokoju - postraszyła go. - Jeżeli chce się pan napić herbaty, a o to przyszłam zapytać, to lepiej, żeby mi pan to teraz powiedział.

- Z wielką przyjemnością napiję się herbaty. - Uśmiechnął się tak ciepło, że serce jej załomotało. - Zwłaszcza jeżeli zlituje się pani nad cierpiącym człowiekiem i napije się ze mną.

Słyszac łagodnie wypowiedziane zaproszenie i widzac jego uśmiech, dziewczyna wstrzymała oddech. Nie mogąc wydobyć z siebie głosu, kiwnęła głową i wyszła z pokoju mając nadzieję, że nie było po niej widać zakłopotania.

Kiedy drzwi zamknęły się za Colly, Ethan opadł na poduszki podpierając się zdrowym ramieniem. Z niecierpliwością oczekiwał filiżanki mocnej herbaty, lecz z jeszcze większą - powrotu panny Sommes. Z przyjemnością zauważył, że dziewczyna ma cięty język, a jej naturalność bardzo mu się spodobała.

Jego brat był kompletnym idiotą! Po tym, jak udało mu się zdobyć tak wspaniałą kobietę jak panna Sommes, chciał wszystko odwołać! Był pewien, że Bradfordowie powitaliby ją z otwartymi ramionami. Na tę myśl uśmiech zamarł mu na ustach. Z jakiegoś powodu, którego nie chciał bliżej poznawać, bardzo nie spodobała mu się wizja panny Sommes jako szwagierki.

Dwadzieścia minut później odzyskał dobry humor, gdy wróciła do pokoju. Za dziewczyną szła pokojówka niosąc tacę z obiecaną herbatą i

Wexler z drewnianą lakierowaną szachownicą.

- Alleluja! Szachy. Tego właśnie było nam potrzeba!

Szachownica była właściwie małym przenośnym stoliczkiem o składanych nóżkach i maleńkich szufladkach na figurki. Pokojówka nalewała parującą herbatę do filiżanek i stawiała maślane ciasteczka na stole, a Wexler tymczasem przysposobił stolik do gry i postawił go jak najbliżej łóżka.

- Kiedy będzie pan pił herbatę, rozstawię figury - rzekła Colly. - A jeżeli już przy tym jesteśmy, lepiej niech pan zje kilka ciasteczek. Będzie pan potrzebował trochę więcej siły - dodała złośliwie. - Podobno jestem całkiem niezłą szachistką.

Posłusznie zjadając maślane ciasteczko, Ethan przyglądał się jej uważnie.

- Więc jest pani niezłą szachistką, tak? - Oblizał wargi i sięgnął po filiżankę z herbatą. - Zobaczymy.

- Oj, nie powinnam się chwalić, naprawdę nie powinnam.

- Czyżby? Może więc zechciałaby pani poprzeć ten brak przechwałek małym zakładem?

Przez chwilę Colly była zaskoczona jego bezpośredniością, lecz po krótkim zastanowieniu doszła do wniosku, że bardziej jej to odpowiada niż konwencjonalna rozmowa polecana w towarzystwie kobiecie i mężczyźnie, którzy dopiero co się poznali. W końcu, wedle reguł obowiązującego *savoir-vivre*'u, nie powinna nawet przebywać z nim sam na sam w jednym pokoju - pomimo iż był ranny, a drzwi szeroko otwarte.

Postanowiła zignorować zasady etykiety. Ethan nie zabawi już tu zbyt długo i byłoby głupotą przez idiotyczne konwenanse pozbawić się towarzystwa uroczego i interesującego człowieka. Poza tym Colly nie była już młodziutką panią na wydaniu, która potrzebowałaby przyzwotki na każdym kroku.

Postanawiając cieszyć się chwilą, przechyliła głowę i spojrzała ironicznie na Ethana.

- Zakład, powiada pan. Niestety, nie przyniosłam ze sobą sakiewki.

Czy wystarczy panu na razie moje słowo?

Ethan uprzejmie skinął głową.

- Oczywiście, proszę pani. W końcu wszyscy jesteśmy tu dżentelmenami, jeśli wolno mi tak powiedzieć.

Gra, której stawką był jeden szyling, trwała aż godzinę. Już po pięciu minutach Ethan przekonał się, że ma przeciwko sobie godnego szacunku przeciwnika. Posunięcia dziewczyny były doskonale przemyślane i pewne zarazem, musiał więc bardzo wyteżać uwagę, by obronić swego króla.

Mimo to przegrał pierwszą partię.

- Pokonałam pana, milordzie, tak jak obiecywałam! - zawołała radośnie, po czym wyciągnęła do niego otwartą dłoń. - Niech pan płaci, milordzie! Należy mi się szyling!

Ethan sięgnął do jej ręki i przez chwilę trzymał ją w swej dużej dłoni.

- Jakież to niesportowy gest, moja pani. Dżentelmenowi należy się szansa odegrania.

Spoglądając na nią dostrzegł nagle, że srebrne nitki szala podkreślają szarość jej oczu. Dopiero gdy delikatnie uwolniła dłoń, zdał sobie sprawę, że przytrzymał ją za długo.

- I jeszcze coś - dodał pospiesznie, zanim dziewczyna się cofnęła. - Prawdziwy dżentelmen wygrywając okazałby nieco pokory. Nie przechwalałby się tak nieprzystojnie, jak pani przed chwilą.

Panna zawstydziała się nieco.

- Wcale nie zachowałam się nieprzystojnie.

- Obawiam się, że prawda w oczy kole, droga pani. - Zaczął od nowa ustawiać figury na szachownicy. - Czyżby ojciec nie nauczył pani, jak wygrywać z honorem?

Uniosła dumnie podbródek.

- Jestem kobietą, lordzie Raymond; a dżentelmen... nawet jeżeli jest to kochający ojciec... nigdy nie oczekuje, że kobieta z nim wygra. Dlatego

też nikt, kto uczy młode dziewczęta, nie traci czasu, aby powiedzieć im, jak wygrywać skromnie i z honorem. Mogę jednak pana zapewnić, że przegrywać potrafię znakomicie. To zostało we mnie wpojone na równi z haftem i trzepotaniem rzęsami.

Jakby dla potwierdzenia swych słów pomachała dłonią niby wachlarzem i zatrzepotała rzęsami.

- Lordzie Raymond - pisnęła cieniutko. - Zupełnie nie mogę pojąć, jak taki ptasi mózdzek jak ja zdołał wygrać z tak wspaniałym, mądrym i bystrym mężczyzną. Mam nadzieję, że nie ma mi pan tego za złe.

- Za późno - odrzekł grobowym głosem.

Przestała wachlować się dłonią i zasłoniła usta, by stłumić chichot. Obserwując końce jej palców przyciśnięte do warg, Ethan poczuł nagle ochotę, by ją pocałować.

Już miał spełnić swą zachciankę, gdy panna Sommes trzeźwym głosem przywołała go do porządku przypominając, że powinien wykonać pierwszy ruch. Postąpił zgodnie z jej poleceniem i po godzinie, podczas której oboje wytężali siły, wreszcie mógł powiedzieć:

- Szach i mat.

Colly przyglądała się szachownicy przez chwilę, zanim przewróciła swego króla na znak kapitulacji.

- Tym razem muszę przyznać, że pokonałeś mnie, Eth... lordzie Raymond.

- Dziękuję pani uprzejmie. I proszę, będzie mi bardzo miło, jeżeli będzie mi pani mówić po imieniu.

Spuściła wzrok, poświęcając o wiele za dużo uwagi wkładaniu figurek szachowych do szufladek stolika.

- Nie śmiałabym, milordzie.

- Ależ dlaczego? - zapytał obserwując jej smukłą szyję i przypominając sobie, jak wyglądała, kiedy pierwszy raz ją zobaczył: z tymi wspaniałymi włosami opadającymi w nieładzie aż na plecy.

- Dlatego, milordzie, że nie byłoby to stosowne.

- Ha! Po tym małym przedstawieniu z trzepotaniem rzęsami i popiskiwaniami godnym panienki na wydaniu, zdawało mi się, że nie zna pani wyrazu „stosowne”. Poza tym - dodał - już raz użyła pani mojego imienia.

- Nigdy!

- Nie śmiałym sprzeciwiać się damie, ale nie ma pani racji.

Zdarzyło się to po tym, jak nazwała mnie pani doświadczonym flirciarzem, a przed tym, jak powiedziała pani, że jestem nie do wytrzymania. Jest pan doprawdy nieznośny, Ethanie! Dobrze to pamiętam.

Dziewczyna miała ochotę zaprzeczyć, lecz nie mogła.

- Nie rozumiem, dlaczego miałaby pani przestać mówić mi po imieniu, kiedy mamy za sobą tak dobry początek?

Colly wstała i zaczęła chować składane nóżki stolika. Kiedy już złożyła ostatnią, Ethan przytrzymał jej rękę. Jego silne palce oplotły delikatnie dłoń dziewczyny.

- Proszę - rzekł cicho. - Wszyscy przyjaciele mówią mi po imieniu.

Przez chwilę przyglądała się dłoni lekko trzymającej jej rękę. Potem przeniosła wzrok na twarz. W brązowych oczach nie zobaczyła ani śladu przekory - były tak ciepłe i przyjazne - więc uznała, że nietaktem byłoby odmówić.

- Jak sobie życzysz, Ethanie - odrzekła wreszcie. - Ale od razu cię uprzedzam, że nie odpowiadam na „Columbinę”.

Ethan przyciągnął jej uwieczoną dłoń do ust i delikatnie pocałował.

- Dziękuję, panno Colly.

Na chwilę dziewczyna prawie straciła oddech, a potem pospiesznie wyrwała rękę.

- Muszę już iść i przebrać się do obiadu. - Starła się ukryć zmieszanie. - Zaraz zabrzmie gong i ciocia Pet będzie na mnie czekać.

Przy drzwiach zatrzymała się i odwróciła. Powodowana wyrzutami sumienia zapytała, czy może chciałby, żeby przysłała mu kilka książek z biblioteki.

- Nie - oparł patetycznym tonem, patrząc na nią z wyrazem twarzy przypominającym do złudzenia minę wygłodzonego psiaka. - Nie przysłała. Przyniosła.

Colly znowu zabrakło tchu, lecz kiedy się odezwała, mówiła spokojnym tonem.

- Drogi panie, zbyt szybko stajesz się rozpieszczonym pacjentem.

Przybrał jeszcze bardziej patetyczny wyraz twarzy.

- Wiem, proszę pani. Wstyd mi z tego powodu.

- Bzdury! - krzyknęła impulsywnie.

Zamykając za sobą drzwi, nadal słyszała jego śmiech.

Rozdział piąty

Następnego ranka lord Raymond obudził się z doskonałym samopoczuciem i oznajmił całemu światu, że nie zamierza już dłużej leżeć w łóżku. Po tym, jak został ogolony i ubrany we własne granatowe ubranie przywiezione przez służącego z Canterbury, Ethan włożył rękę z powrotem na temblak i powiedział, że czuje się gotowy, by dołączyć do dam.

Ponieważ dom był spory, lecz nie ogromny, nie miał większych trudności z odnalezieniem drogi z gościnnego skrzydła do salonu. Zszedł szerokimi, krętymi schodami na parter, po czym olbrzymim korytarzem przeszedł do salonu, w którym siedziały obie damy, gdy po raz pierwszy zjawił się w ich domu. Ponieważ w pobliżu nie było żadnego służącego, zapukał do drzwi.

Panna Petunia Montrose kazała mu wejść, lecz najwyraźniej była bardzo zdziwiona. Poprawiwszy pospiesznie skromny czepek, starannie dobrany kolorem do koronek ozdabiających jej różową suknię, starsza dama wyciągnęła dłoń.

Bardzo proszę, niech pan wejdzie, lordzie Raymond. Nie wiedziałam, że już dziś miał pan wstać z łóżka. Mam nadzieję, że czuje się pan dobrze.

Ethan pochylił się nad jej dłonią, lecz nie mógł się powstrzymać przed rozglądaniem się po pokoju. Poza panną Montrose nie było w nim nikogo.

- Gdzie są wszyscy? - zapytał, zanim zdążył się powstrzymać.

- Wszyscy, lordzie Raymond? - Starsza dama przyjrzała mu się bacznie. - Czy ma pan na myśli wszystkich ogólnie, czy też kogoś szczególnego?

Ethan przeklął swą głupotę. Odpierał ataki już zbyt wielu swatek, by nie rozpoznać błysku w oczach panny Montrose. Uśmiechając się

uprzejmie, starsza pani poprosiła Ethana, by spoczął koło niej.

- Dziękuję pani.

Zanim zdążył wyciągnąć przed siebie długie nogi, szklane drzwi wychodzące na ogród otworzyły się i Colly weszła do pokoju. Chociaż Ethan wstał grzecznie na jej powitanie, z początku w ogóle nie zwróciła na niego uwagi. To dało mu odrobinę czasu, by się jej przyjrzeć.

Miała na sobie prostą zieloną sukienkę z wąską żałobną wstążeczką i mały słomiany kapelusik zawiązany czarnymi wstążkami. Choć ubranie nosiło znamiona żałoby, dziewczyna przypominała Ethanowi dziki kwiat. Uśmiechnął się bezwiednie, gdy zauważył, że po spacerze jej policzki się zarumieniły. Poczł zapach czystego lipcowego powietrza unoszący się wokół dziewczyny.

- A więc wreszcie jesteś - odezwała się panna Montrose. - Właśnie zastanawialiśmy się z lordem Raymond, gdzie się podziewasz.

Colly spojrzała na nią pytająco, lecz starsza dama w tej właśnie chwili dostrzegła pyłek na mankiecie sukni i bacznie mu się przyglądała. Nie otrzymawszy od ciotki żadnego wyjaśnienia, Colly odwróciła się do Ethana; ten ukłonił się jej uprzejmie.

- Dziwi mnie pański widok tutaj. Czy na pewno jest pan już wystarczająco silny?

- Czyżbym wyglądał aż tak fatalnie, proszę pani?

- Ależ skądże znowu, milordzie - odrzekła niewinnie. - Chodzi mi tylko o to, że w tym pokoju jest bardzo dużo lamp. Nie wiedziałabym, którą łapać, gdyby zaczął pan nagle mdleć.

W oczach Ethana błysnęło rozbawienie, lecz odpowiedział poważnie:

- Jestem pewien, że pomyliła mnie pani z jakimś innym gościem.

- Nie, milordzie. Nigdy się nie mylę, jeżeli chodzi o...

- Ale nic się nie stało - kontynuował spokojnie, jakby dziewczyna nic nie powiedziała. - Obiecuję, że nikomu nie wspomnę o tym nawet słowem. Myślę jednak, że znam powód pani omyłki. Zbyt dużo świeżego powietrza

szkodzi umysłom młodych panienek.

- To było najpodlejsze...

- A jeżeli chodzi o lampy, to najprostsze rozwiązanie zależy od pani.

Za pozwoleniem panny Montrose, mogłaby mnie pani oprowadzić po ogrodzie. Mam już szczerze dość siedzenia w domu.

Colly nie widziała nic złego w tej propozycji, a sądząc z zachwyconej miny ciotki, ta też nie miała obiekcji. Zanim starsza pani dała dojść do głosu ukrytym romantycznym myślom, które były wyraźnie wymalowane na jej twarzy, Colly wetknęła dłoń pod zdrowe ramię Ethana i pociągnęła go za sobą na taras.

Ogromny, doskonale utrzymany ogród miał kształt czworokąta opasanego z trzech stron żywopłotem wysokim na dwa metry i niemal tak samo szerokim. Jako że kogoś przebywającego tam można było dostrzec tylko z tarasu, a wysoki żywopłot osłaniał teren od wiatrów, było to ulubione miejsce wszystkich mieszkańców Sommes Grange.

Ethan rozejrzał się. Zacisze ogrodu sprzyjało jego zamiarom - w nocy postanowił, że nie będzie odkładać sprawy, z którą tu przyjechał. Przesłano po niego powóz i nie mógł już dłużej korzystać z gościnności tego domu. Jeszcze dziś powinien wrócić do Canterbury. Przed wyjazdem jednak chciał porozmawiać z Colly o Reggieem... i, oczywiście, zamierzał poprosić ją o zwrot brylantu Bradfordów.

Czując, że obowiązek, jaki przyszło mu spełnić, jest trudniejszy teraz, gdy bliżej poznał Colly, niż wtedy, kiedy znał ją tylko z listu brata, skupił się na podziwianiu ogrodu.

- Te małe różowe kwiatuszki pięknie pachną - rzekł idąc po żwirowej ścieżce. - Czy wie pani, jak się nazywają?

- To *Silone acaulis* - odparła natychmiast dziewczyna. - Czyli kampanula mchowa, jak się ją u nas nazywa.

Na jego prośbę nazywała po kolei każdą mijaną roślinkę, podając zarówno nazwy łacińskie, jak i zwyczajowe.

- Pani łacina jest doprawdy imponująca, panno Colly. W pani ustach

brzmi jak prawdziwy język, a nie nudne wywody, przez które musiałem przedzierać się w Eton.

- Lubię uczyć się języków.

- Języków? - Uniósł brwi udając zdumienie. - Czyżby pod tą zieloną sukienką kryła się sawantka?

Colly potrząsnęła głową.

- Mówię po niemiecku i francusku, ale to jeszcze nie czyni ze mnie sawantki.

- Co takiego? I nie mówi pani po hiszpańsku? Ani nawet po włosku?

- Rozumiem sporo po hiszpańsku i odrobinę po włosku, lecz zanim posądzi mnie pan o najgorsze, chciałabym pana zapewnić, że moja znajomość geografii jest fatalna, liczby śmiertelnie mnie nudzą i nie potrafiłabym nazwać żadnego wiatru, nawet gdyby zwałił mnie z nóg. Ponadto przepadam za sentymentalną poezją i uwielbiam tanie romanse... im głupsze, tym lepsze.

Głośny śmiech Ethana przestraszył drozda siedzącego na kamiennej ławeczce.

- Cofam wszystko, co powiedziałem, panno Colly. Choć sawantka może i przyznałaby się do czytania sentymentalnej poezji, podejrzewam, że nigdy nie wzięłaby do rąk głupiego romansu. - Wskazał na ławkę opuszczoną przez drozda. - Może zechce pani spocząć na chwilę i zabawić runie scenami z owych tanich powieścideł?

- Czyżbyś się zmęczył, Ethanie? Usiądźmy, oczywiście! Nie powinienes tak się forsować pierwszego dnia po chorobie.

- Zapewniam panią, że czuję się doskonale - rzekł, po czym dodał przewrotnie: - Myślałem, że może pani ma ochotę odpocząć.

- Ja? Niby dlaczego? To nie ja byłem ranna.

- Wiem, wiem... Ale przypomniałem sobie o pani awansowanym wieku. Ma pani już prawie dwadzieścia pięć lat... czyż nie?

Dziewczyna nie miała ochoty odpowiadać na tę absurdalną uwagę, lecz już po chwili roześmiała się.

- Jest pan okropnym łobuzem! Jak może pan wykorzystywać przeciwko mnie każde moje słowo?

- Ma pani świętą rację. I miałbym za swoje, gdyby pani już nigdy więcej nie założyła tej sukienki.

- A to niby co ma do rzeczy?

Ethan poczekał z odpowiedzią, aż dziewczyna spocznie na ławeczce, po czym usiadł obok. Przyglądając się jej, doszedł do wniosku, że jest bardzo piękna.

- Czy zdaje pani sobie sprawę, jak kolor tej sukni działa na pani oczy?

Potrząsnęła głową. Nawet nie tyle zwrot rozmowy na tak osobisty temat, co cicho wypowiedane słowa pozbawiły ją oddechu.

- Kiedy przechodziliśmy z pełnego słońca do cienia, a potem z powrotem na słońce, pod wpływem zieleni sukni pani oczy zmieniły kolor. Najpierw były jasnozielone i błyszczące, potem stały się delikatnie i tajemniczo szare, po czym znowu zrobiły się zielone. - Następne słowa wypowiedział nieomal szeptem: - Doprawdy cudowne i niespotykane zjawisko.

Colly poczuła, że puls jej przyspiesza. Czyżby Ethan zaczynał z nią flirtować? Nie mając odpowiedzi na to pytanie i nie chcąc zachować się nieodpowiednio, złożyła dłonie na kolanach i przyglądała się swym palcom.

Przez chwilę żadne z nich nie odezwało się ani słowem. Ciszę przerywały tylko wysokie tony śpiewu drozda. Ethan wyciągnął rękę z temblaka i ujął obie dłonie dziewczyny.

- Jeszcze dziś chcę wracać do Canterbury, panno Colly, ale zanim odjadę, muszę o czymś pani powiedzieć. Obawiam się, że nie mogę już dłużej tego odwlekać.

Nie wiedząc, jak ma na to odpowiedzieć, dziewczyna spojrzała mu w oczy. Z wielkim zdziwieniem zauważyła, wesołe iskry, zazwyczaj rozjaśniające jego źrenice, zniknęły. Jego wzrok był nadzwyczaj poważny.

- Słucham cię, Ethanie.

- To, co mam do powiedzenia, dotyczy twoich planów na przyszłość.

Jakaś ostrzegawcza nutka zadźwięczała w umyśle dziewczyny. Jej przyszłość? Chyba nie miał na myśli... Wciągnęła głęboko powietrze usiłując uspokoić dziko bijące serce.

- Panno Colly, choć znamy się bardzo krótko, mam wrażenie, że zdążyliśmy się zaprzyjaźnić. Podziwiam panią i z całego serca chciałbym zaoszczędzić pani smutku. Pragnąłbym, by było w mojej mocy...

Zaoszczędzić jej smutku? Colly nie miała pojęcia, o co mu chodzi. Czyżby Ethan Bradford rzeczywiście chciał się jej oświadczyć? Usiłowała skupić się na jego słowach, lecz przeszkadzał jej w tym delikatny, niepokojący uścisk jego rąk.

- ...a potem, wczoraj, kiedy powiedziałaś, że twoje uczucia już należą do innego, wiedziałem... - Cokolwiek Ethan wiedział, pozostało dla niej tajemnicą, gdyż przerwał im odgłos czyichś kroków na żwirowej ścieżce.

- Ethanie! - zawołał pulchny rudy mężczyzna, którego Colly widziała po raz pierwszy w życiu. - Czy nic ci się nie stało, drogi chłopcze?

- Winny! A cóż ty, u licha, tu robisz?

Minęło ponad pół godziny, zanim Ethan otrzymał odpowiedź na swoje pytanie. Najpierw przedstawił Harrisona panie Colly, a potem grzeczność nakazywała przejść do domu i pogawędzić chwilę z panną Montrose. Dopiero po tych konwencjonalnych uprzejmościach Ethan mógł prosić o chwilę rozmowy z przyjacielem na osobności.

- Bardzo ładna panna - zauważył Winny, gdy tylko drzwi się za nimi zamknęły. - Zdaje się, że także bardzo inteligentna. Aż dziw bierze, że mogłaby mieć cokolwiek wspólnego z twoim braciszkiem. - Nie oczekując odpowiedzi, Harrison usadowił się na jednym z wygodnych foteli obok kominka i przeszedł od razu do rzeczy. - Jak widzę, jesteś w dobrych stosunkach z panną Sommes, wnioskuje zatem, że przyjęła wieści o perfidii Reggiego raczej spokojnie. Czy równie spokojnie oddała ci brylant

Bradfordów?

- Tu nie chodzi o pierścień, Winny. Chciałbym jednak wiedzieć, jaki diabeł cię tu przyznał.

- Właściwie to przyjechałem na wynajętym wierzchowcu... najpaskudniejszym worku kości, na jakim zdarzyło mi się kiedykolwiek jechać. A jeżeli chodzi o podróż do Canterbury, przyjechałem dylizanssem.

- Chodzi mi o to, dlaczego tu przyjechałeś? Cóż cię opętało, by opuszczać miasto?

- Nie co, drogi chłopcze, lecz kto... Lady Raymond.

- A co niby moja matka ma wspólnego z...

- Jest obecnie w Raymond House i pewno nie zgadniesz, co ją ugryzło.

Ethan opadł na fotel naprzeciwko przyjaciela.

- Czyżby dowiedziała się o zaręczynach Reggiego?

- Nie. Choć biorąc pod uwagę okoliczności, byłoby lepiej, gdyby się dowiedziała. Uważam jednak, że nie mam prawa mieszać się do spraw twojej rodziny, trzymałem więc język za zębami. Tak czy inaczej, ani razu nie padło imię Reggiego.

- Dlaczego więc przyjechała do miasta?

- Z tego, co wiem, twoja matka kazała oddać część biżuterii do czyszczenia przed rozpoczęciem sezonu i zauważyła brak brylantu Bradfordów. Oczywiście założyła, że to ty go wzięłeś.

- No oczywiście. Nie rozumiem jednak, dlaczego miałaby z tego powodu przyjeżdżać do miasta.

- Szukała ciebie, drogi chłopcze. Przycisnęła mnie do muru i zanim się obejrzałem, już wyciągnęła ze mnie, że pojechałeś do Canterbury.

- No i?

- Chciała wyjechać z miasta dziś rano, więc wsiałem wczoraj do ostatniego dylizansu, żeby być tu przed nią. Uważałem, że powinienem cię uprzedzić. Byłem ci to winny, po tym, jak za dawnych czasów wyciągałeś mnie z kłopotów. Co prawda do tej pory nie wiem, dlaczego ci wszyscy

osiłkowie zawsze się mnie czepiali, ale...

- Przestań już. Winny! Przed czym chciałeś mnie ostrzec?

- Już ci powiedziałem, że lady Raymond coś ugryzło. Dodała dwa do dwóch i wyszło jej pięć. Twoja matka, drogi chłopcze, przyjeżdża do Canterbury, by poznać przyszłą baronową. Chce zaznajomić się z twoją narzeczoną.

Bardzo to uprzejme ze strony pani ciotki, że zaprosiła nas na obiad, panno Sommes, i bardzo mi przykro, że już wkrótce musimy jechać. Chciałbym mieć czas, by lepiej panią poznać.

Colly patrzyła na gości w osłupieniu. Choć na pierwszy rzut oka wydawał się bardzo przyjaźnie nastawiony do świata, była zaskoczona sympatią brzmiącą w głosie człowieka, którego poznała zaledwie przed godziną.

Czekali we dwoje w saloniku na Ethana i pannę Montrose. Durwin Harrison siedząc w głębokim fotelu popijał sherry, a Colly usadowiła się na żółtej kanapie, z której miała doskonały widok na drzwi do pokoju. Udając spokój, czekała, aż pojawi się Ethan. Miała nadzieję, że podejmie niespodziewaną, lecz nader przyjemną rozmowę, którą wcześniej przerwało im przybycie Harrisona.

- Być może już wkrótce się spotkamy. Moja siostra debiutuje na dworze w tym roku i z pewnością pojawię się na jej balu. Poproszę matkę, by przysłała zaproszenia zarówno panu, jak i lordowi Raymond. - Nagle zdała sobie sprawę, że do czasu balu może już być jego narzeczoną, i głos lekko jej zadrżał.

- Bardzo miło, że chce nas pani zaprosić. Proszę zarezerwować dla mnie taniec.

- Ależ oczywiście.

Harrison postawił swój kieliszek na okapie kominka, po czym podszedł bliżej i usiadł w fotelu naprzeciw dziewczyny.

- Proszę pani, Ethan i ja przyjaźnimy się od wielu lat i nie mógłbym

stąd odjechać nie mówiąc pani, że podziwiam sposób, w jaki załatwiła pani całą sprawę. Muszę przyznać, że jest pani niesamowitą kobietą.

Colly poczuła gorący rumieniec wypływający na policzki. Chyba nie miał na myśli opieki na Ethanem po tym, jak został ranny... Czyżby uważał, że mogłyby wsadzić rannego człowieka na konia i odesłać go do Canterbury?

- Przecenia mnie pan. W takiej sytuacji każdy stara się jak może najlepiej.

- Jestem przekonany, że każda rodzina byłaby dumna mogąc panią przyjąć. Zapewniam panią, że to nie tylko moje zdanie, ale i Ethana.

Colly ponownie się zarumieniła. Czyżby Ethan powiedział temu człowiekowi, że chce się jej oświadczyć?

- Rzecz jasna, chłopiec jest jeszcze bardzo młody ciągnął pan Harrison. - Zbyt młody, by być dobrym partnerem na całe życie.

Zbyt młody?! Czy ten człowiek z niej kpił? Ethan miał trzydzieści lat, a to idealny wiek do małżeństwa...

- Tak czy inaczej, ten młody głupiec nie miał prawa zabierać brylantu Bradfordów. Pierścień prawnie należy się Ethanowi.

Colly spojrzała na butelkę sherry, by sprawdzić, czy Harrison nie wypił przypadkiem więcej, niż się jej zdawało, lecz coś w jego słowach pobudziło jej pamięć. Mówił o pierścieniu. Ethan też o nim wspomniał pierwszego dnia swojego pobytu w Sommes Grange. Wtedy była zbyt poruszona jego widokiem, by zwracać uwagę na słowa, a nim minęło parę minut, przerwało im nagle pojawienie się ogiera papy.

Kiedy Harrison kontynuował, Colly usiłowała sobie przypomnieć słowa Ethana sprzed tych kilku dni. Powiedział, że chce z nią porozmawiać o pewnej bardzo ważnej sprawie; teraz to sobie przypomniwała. A potem bez wyraźnego powodu wspomniał coś o pierścieniu. Przypomniwała sobie również, że pytał, czy zna jego młodszego brata. Nie, nie pytał... oskarżał. Jeśli dobrze pamiętała, mówił to bardzo wrogim tonem.

Harrison zachichotał wyrywając Colly z zamyślenia.

- Więc kiedy Reggie przysłał list, w którym pisał o swoich zaręczynach z panią, Ethan postanowił, że będzie najlepiej, jeżeli tu przyjedzie i wszystko wyjaśni.

Colly gwałtownie złapała powietrze. Zaręczynach?! O czym on mówił?

Winny uśmiechnął się do niej z sympatią.

- Niech się pani tak nie przejmuj. Ethan natychmiast spalił ten list, więc nikt inny go nie widział. Oczywiście, drogi chłopiec nie miał najmniejszego pojęcia, kiedy wyprawił się do Canterbury, że zastanie tu tak miłą osóbkę jak pani.

Colly miała wrażenie, że śpi i śni się jej coś naprawdę złego. Dlaczego ten jakiś tam Reggie - ktoś, kogo nigdy w życiu nie spotkała - mówił o jej zaręczynach? I właściwie jaką kobietę Ethan spodziewał się zastać w Sommes Grange?

- Niech pani sobie wyobrazi, panno Sommes, że nie znaleźliśmy nawet pani imienia. Wszystko, czym Ethan dysponował, to było pani nazwisko. Ten jego braciszek bazgrze tak nieczytelnie, że obaj mieliśmy wrażenie, że zaręczył się z jakąś Milly czy może Gilly.

Gilly! Colly poczuła, że brak jej tchu. Gilly. Oczywiście. Powinna się spodziewać, że ta wariatka wpakuje ich w kłopoty, gdy tylko wyrwie się z domu. Ale przecież nawet Gilly nie byłaby na tyle bezmyślna, by marnować swe szanse na przyszłe szczęście przyjmując oświadczyzny kogoś nie ze swojej sfery?

Oczywiście, że była! Jej siostra zawsze robiła to, co tylko przyszło jej do ślicznej główki, zabawiając się miłośkami to do jednego chłopca, to do drugiego. Młodzieńcy zaczęli się kochać w Gilly, zanim jeszcze skończyła naukę na pensji.

Ale co też matka sobie myślała, nie pilnując tej smarkuli? Czyżby nie zdawała sobie sprawy, jak podobny skandal może zaszkodzić młodej dziewczynie?

Colly przymknęła oczy i zarumieniła się z zażenowania. Mama i

Gilly być może nie zdawały sobie sprawy z konsekwencji potencjalnego skandalu, ale Ethan Bradford, szósty baron Raymond, zdawał sobie sprawę aż za dobrze.

Teraz już wszystko rozumiała. Wszystko miało sens. Nagłe przybycie Ethana. Jego gniew. Przyjechał do Sommes Grange, by ukrócić narzeczeństwo brata z panną wątpliwego pochodzenia, i przez pomyłkę - a właściwie przez brzydki charakter pisma - ją wziął za obiekt uczuć młodzika.

Colly zacisnęła pięści usiłując zachować spokój. Nigdy nie zastanawiała się nad tym, dlaczego Ethan się tu pojawił. Gdyby była szczerą wobec siebie, przyznałaby, że zbyt cieszyła się tym faktem, by zadawać jakiegokolwiek pytania. Teraz myśli kotłowały się w jej głowie: dlaczego był dla niej tak miły? Dlaczego udawał przyjaźń? Czy chciał ją tylko ułagodzić? Czy w ten sposób chciał uniknąć skandalu, który mógłby zrujnować jego rodzinę?

Zamarła z wściekłości. Jakże łatwą ofiarą była dla jego podstępnego wdzięku! Jakże zaślepiona musiała się wydawać, kiedy godzinę temu byli w ogrodzie! Jak jakaś wysuszona, złakniona miłości stara panna dała się omamić słodkimi słówkami na temat koloru oczu. Nawet wmawiała sobie, że chce się oświadczyć, podczas gdy naprawdę chodziło mu jedynie o zerwanie zaręczyn młodszego brata.

Jakaż była głupia! Chciała zapaść się pod ziemię. Lordowie Raymond nie żenili się z córkami rubasznych wiejskich szlachciców. Nie pozwalali też na to swym młodszym braciom. Colly wiedziała o tym od dawna, a jednak uwierzyła, że oczarowała go w tym samym stopniu, co on ją.

Poczuła nagłe dławienie w gardle, a przykre ściskanie w żołądku nie miało nic wspólnego ze spóźnionym obiadem.

- Proszę, wybaczenie mi spóźnienie - rzekła w tej chwili ciocia Pet wchodząc do saloniku oparta o ramię Ethana.

- I mnie również - dodał Ethan uśmiechając się. W jego oczach

błyszczało ciepło, które kiedyś Colly odczytywała jako skierowane tylko do niej.

Kiedy Ethan odmówił szklaneczki sherry, Colly pozwoliła Harrisonowi poprowadzić się do jadalni. Podczas gdy panowie zabawiali ciocię Pet opowieściami o książkach i ich narzeczonych oraz najnowszymi ploteczkami z dworu, dziewczyna aż gotowała się z wściekłości. Nie brała udziału w rozmowie, siedziała spokojnie ze wzrokiem wlepionym w talerz.

W pewnym momencie rozmowa zeszła na rodzinę Montrose i zwyczaj nadawania imion.

- A tak - rzekła ciocia Pet. - Wszystkie kobiety w naszej rodzinie nazywane są imionami kwiatów. Matka mojego ojca miała na imię Róża, a jego siostra Columbina. Colly nosi to imię po niej.

Ciocia Pet uśmiechnęła się do dziewczyny, podobnie jak dwaj panowie. Colly nie odwzajemniła ich uśmiechów. Nie mogła znieść towarzystwa Ethana, gdy dowiedziała się, że ją oszukał. Modliła się, by posiłek skończył się jak najszybciej i by Ethan Bradford opuścił Sommes Grange i nigdy już nie wracał.

- Mój brat podtrzymał tradycję nazywając matkę Colly Violet, czyli fiołek. No a moje siostrzenice mają na imię Columbina i... auu!

Spojrząwszy przelotnie na Colly starsza dama opanowała się i nie dała po sobie poznać, że przed chwilą została kopnięta w kostkę. Dostrzegła wyraz przerażenia w oczach siostrzenicy i skierowała rozmowę na kwiaty w ogrodach posiadłości.

Colly odetchnęła z ulgą. Nie chciała, by Ethan poznał tożsamość narzeczonej swego brata. W każdym razie zanim nie porozmawia z tą kozą i sprowadzi ją na właściwą drogę. Ethanowi zależało na zachowaniu dobrego imienia swych bliskich i choć nie podejrzewała go o chęć zaszkodzenia jej rodzinie, nie była pewna, czy dowiedziawszy się prawdy, nie popędziłby do Londynu i nie zastosował podobnych sztuczek z Gilly.

Musiała ostrzec siostrę. Gilly nie była tak zrównoważona jak ona. Urodziwa twarz Ethana i jego maniery mogłyby ją oczarować... podobnie

jak sposób, w jaki patrzył kobietom w oczy - jakby zaglądał do samego dna ich dusz. Colly poczuła dziwny ciężar w sercu.

Posiłek wreszcie dobiegł końca, a kiedy posłano po konia Ethana, powóz dla jego przyjaciela oraz po szkapę, na której przyjechał Harrison, Ethan poprosił dziewczynę i chwilę rozmowy na osobności.

Tym razem nie miała żadnych złudzeń co do jej tematu. Z wysoko podniesioną głową, nie zdradzając targających nią emocji, Colly poprowadziła gościa do sąsiedniego pomieszczenia. Zamknąwszy za sobą drzwi, stanęła na środku pokoju, tym samym nie pozwalając mu usiąść.

- Panno Colly, muszę o czymś pani powiedzieć, zanim wyjadę. Wolałbym tego nie mówić, gdyż bardzo nie chcę sprawiać pani bólu...

- Proszę to powiedzieć, lordzie Raymond. Miejmy to już za sobą.

Ethan popatrzył na nią uważnie, zdziwiony chłodem brzmiącym w jej głosie. Gdyby nie to, że niecałą godzinę temu rozstali się jak przyjaciele, mógłby pomyśleć, że jest na niego wściekła. Powiedział sobie, że musiał się przestyszeć.

Jednak kiedy usiłował ująć jej dłoń, odsunęła się za biurko. Chciał spojrzeć jej w oczy, by się przekonać, czy się z nim nie drażni, lecz ona odwróciła się i przyglądała z uwagą starej plamie różowego atramentu dawno temu rozlanego na biurku.

- Panno Colly? - zapytał ostrożnie. - Czyżbym obraził panią w jakikolwiek sposób? Jeżeli tak, zapewniam panią...

- Zdaje się, że słyszę już pański powóz, lordzie Raymond. Jeżeli chce mi pan coś powiedzieć, proszę nie zwlekać.

Tym razem Ethan nie mógł pomylić zimnego tonu jej głosu z przyjacielskim przekomarzaniem w ogrodzie jeszcze godzinę temu.

- Panno Colly... Colly, proszę, powiedz mi, co...

- Milordzie, jeżeli chce mi pan coś powiedzieć, proszę zrobić to teraz, gdyż dokładnie za minutę wychodzę z pokoju.

Ethan znał ją już wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że nie żartuje. Wciągnął więc głęboko powietrze i wypowiedział słowa, których obawiał

się przez ostatnie dwa dni.

- Przykro mi, że to ja przynoszę pani niezbyt szczęśliwe nowiny.

Mój brat prosił, by zwolniła go pani z wszelkich obietnic.

- Jak pan sobie życzy - odparła dziewczyna nadal obserwując plamę atramentu. - Zwalniam pańskiego brata z wszelkich obietnic. A teraz, lordzie Raymond, skoro już spełnił pan misję, z którą przybył pan do Sommes Grange, pański powóz czeka...

Wiele razy Ethan wyobrażał sobie tę scenę. Za każdym razem myślał, że Colly albo się rozplacze, albo zniesie nowinę w grobowej ciszy. Nie spodziewał się wściekłości i martwiło go to bardziej, niż sam chciał przed sobą przyznać.

- Colly - powiedział łagodnie. - Wiem, że te nowiny są dla ciebie przykre, lecz jeżeli pozwolisz mi wyjaśnić, jak...

- Moje uczucia nie powinny pana obchodzić, lordzie Raymond, podobnie, jak mnie nie obchodzą pańskie wyjaśnienia.

Ethan sięgnął przez biurko i pieszczotliwie pociągnął ją za kosmyk włosów wiszący przy policzku.

- Colly, proszę, nie zabijaj posłańca. Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi.

- Nie powinno się oszukiwać samego siebie, milordzie. Złapała niesforny kosmyk i bezlitośnie wsunęła go za ucho. - A teraz, lordzie Raymond, skoro nie mamy już o czym rozmawiać, niech pan odejdzie. I niech się pan nie trudzi żegnaniem się z ciocią Pet. Nie wierzył własnym uszom. Colly nakazywała mu odejść, jakby był zwykłym służącym. Nie przypuszczał, że zachowa się tak prostacko! Przecież dla niego było to równie przykre jak i dla niej; chyba zdawała sobie z tego sprawę? Wciąż nie odrywała wzroku od plamy na biurku, a w jej oczach palił się gniew. Ethan poczuł, że i jego nerwy zaczynają ponosić.

- Przykro mi, że nie mogę jeszcze odejść - rzekł. Musimy porozmawiać jeszcze o jednej rzeczy. O pierścieniu zaręczynowym.

Colly poderwała wzrok tak nagle, że niemal uwierzył, iż dziewczyna

nie wie, o czym on mówi.

- Pierścieniu zaręczynowym?

- Gdyby nie to, że to klejnot rodowy, jestem przekonany, że Reggie chciałby, byś go zatrzymała. Ale w tych okolicznościach... - Pozwolił sobie na niedokończenie zdania, starając się jak najmniej ją urazić.

Klejnot rodowy! Colly poczuła, że miękną jej kolana. Jeszcze chwila i zemdleje! Usiłowała zachować spokój. Klejnot rodowy! Niech diabli porwą brata Ethana, że dał go Gilly, i niech diabli porwą jej głupią siostrę, że go przyjęła! No oczywiście, Ethan spodziewał się zwrotu rodzowego pierścienia. Usiłowała wymyślić jakąś rozsądnie brzmiącą wymówkę, lecz nic nie przychodziło jej do głowy.

Cisza między nimi przeciągała się. Wiedziała doskonale, Ethan stara się opanować wściekłość.

- Skoro najwyraźniej nie odpowiada pani moje dalsze towarzystwo, panno Sommes, niech mi pani przyśle pierścień przez służącego. A teraz żegnam panią.

Colly zrozumiała, że jedynym wyjściem z sytuacji jest kłamstwo, wyprostowawszy więc ramiona, powiedziała bezczelnie:

- Nie mam tego pierścienia, milordzie.

- Co to znaczy, że go pani nie ma? W takim razie gdzie on jest?

Dziewczyna lekko wzruszyła ramionami.

- Tego nie jestem pewna. Być może zostawiłam go w mieście. Wyślę list do matki i poproszę ją, by go poszukała. Jeżeli go odnajdzie, prześle go panu natychmiast do domu w Londynie.

- Jeżeli? Jeżeli go znajdzie? Moja pani, mówimy w tej chwili o brylancie Bradfordów!

- W takim razie miejmy nadzieję, że go znajdzie!

Oczy Ethana dziwnie się zaszklily.

- W rzeczy samej. Miejmy nadzieję!

Colly przełknęła ślinę. Chciała znaleźć się jak najdalej od tego pokoju i od słów, które wypowiadała wbrew własnej woli, tylko głębiej się

pograżając.

- Byłoby bardzo nie na miejscu, gdybym musiał wnieść do sądu sprawę o oddanie mi pierścienia - rzekł Ethan stalowym głosem.

- Do sądu! - Colly poczuła, że nerwy ją ponoszą. Tego było już za wiele. - Czyżby mnie pan straszył? Niech się pan pilnuje, lordzie Raymond. Zastanawiam się, jak bardzo zdziwiłaby się pańska rodzina, gdybym to ja zaskarżyła pańskiego brata o zerwanie zaręczyn.

Rozdział szósty

Ciociu Pet, czy widziałaś kiedyś brylant Bradfordów?

- O, tak. To znaczy, nie w rzeczywistości, ale widziałam jego rysunek w książce dotyczącej historycznej biżuterii. Wspaniały klejnot. Jeśli dobrze pamiętam, został przywieziony do Anglii za czasów pierwszej wyprawy krzyżowej.

Colly odsunęła ciężkie zasłony i wyjrzała na zatłoczony podjazd gospody. Budynek znajdował się tuż przy głównej drodze prowadzącej do Canterbury, nigdy więc nie brakowało w nim gości. Pomimo wszelkich starań nie potrafiła przestać myśleć o nieprzyjemnej rozmowie, jaką odbyła z Ethanem tuż przed jego wyjazdem z Sommes Grange. Jakże był wściekły, gdy wybiegał z biblioteki!

Oczywiście, ona też była wściekła. I zraniona.

Rzecz jasna, z własnej winy. Po długich przemyśleniach przyznała, że przypisywała zbyt duże znaczenie stosunkom panującym między nią a Ethanem podczas jego rekonwalescencji.

Doszła do wniosku, że pierwszy błąd popełniła pozwalając mu na ominięcie zwyczajowego dystansu. Pewien stopień zażyłości między nimi spowodował, że odżyły jej dziewczęce marzenia. Stare, niemożliwe do spełnienia marzenia, które odłożyła na bok siedem lat temu wraz z pierwszą suknią balową. Z bolesną szczerością musiała przyznać, że w zachowaniu Ethana nie było ani cienia sugestii, iż chciałby przywołać te marzenia.

Colly potrząsnęła głową dziwiąc się sobie. Jak mogła być tak naiwna?! Jak mogła pozwolić na to, by już po dwóch dniach żartobliwych utarczek słownych uważać, że Ethan Bradford chce się jej oświadczyć?! Przecież zachowała się tak jak niepoprawna romantyczka, ciocia Pet!

Te ponure myśli przerwała jej panna Montrose; nie cierpiąc z

powodu złamanego serca, z zadowoleniem spożywała posiłek.

- Zaczynam podejrzewać, że służąca, którą prosiłaś o herbatę, zupełnie o niej zapomniała. Czy na pewno nie masz ochoty na kawałek szynki? Jest wyśmienita, możesz mi wierzyć. - Nakładając sobie na talerz następny cieniutki plasterek, starsza dama kontynuowała: - Za godzinę będzie tu dyliżans, a gospodyni zapewniła mnie, że gdy już do niego wsiądziemy, do Londynu nie zobaczymy przyzwoitego jedzenia. I choć zgadzam się z tobą, że musimy jak najszybciej dostać się do miasta, nie rozumiem, dlaczego nie miałybyśmy się spieszyć z pełnymi żołądkami.

Colly przeszła kilka kroków po wytartym starym dywanie pokrywającym podłogę małego gościnnego pokoiku zajazdu i usiadła ponownie na wysokim krześle, które przed chwilą opuściła. Gdy ciotka nałożyła jej na talerz kawałek szynki, dziewczyna wzięła do ręki widelec, lecz ani razu nie podniosła go do ust.

- Jest bardzo piękny, prawda?

- Co takiego? Dyliżans? - zapytała zaskoczona dama.

- Brylant Bradfordów.

- Aaa... brylant. Przypuszczam, że musi być piękny. Pomyśl tylko o jego wartości... i historii. Chociaż, jeżeli mam być szczerą, to na pierwszy rzut oka przypominał mi ogromną szklaną gałkę. Pomyśl tylko, jak uciążliwe musi być noszenie podobnego klejnotu. Pewno zahacza się o szale i pończochy... nie wspominając już o tym, że mając go na ręce trudno nosić rękawiczki. - Dłoń starszej damy zawisła na chwilę pomiędzy talerzem a półmiskiem ze świeżą sałatką z cebuli. Rozbawiony wyraz zagościł na jej pokrytej zmarszczkami twarzy. - Podejrzewam jednak, że wszelkie niedogodności związane z noszeniem takiego klejnotu zniknęłyby, gdyby znajdował się na palcu młodej dziewczyny zakochanej w jego właścicielu.

Głębokie westchnienie, które wyrwało się chwilę później starszej damie, przypomniało Colly, że obiecała romantycznej ciotce, która koniecznie chciała zobaczyć niemiecką księżniczkę i jej podstarzałego

narzeczonego - księcia Clarence'a - pojechać do Canterbury. Oczywiście teraz nie mogło być mowy o oglądaniu koronowanych głów - Colly musiała odnaleźć lekkomyślną siostrę, zanim Gilly ogłosi swe zaręczyny całemu światu. Wyjeżdżając wieczorem dyliżansem, mogły mieć nadzieję, że dojadą do Londynu następnego dnia o świcie.

Colly poklepała ciotkę po pulchnej dłoni.

- Przepraszam, że popsułam twoje plany.

- Nic się nie stało, moja droga. Przecież nie mogłam pozwolić, żebyś sama jechała do Londynu. Poza tym...

W tej chwili otworzyły się drzwi i do środka wpadła mała pokojówka z twarzą zaczerwienioną z podniecenia.

- Bardzo panienkę przepraszam za spóźnienie. - Postawiła tacę z herbatą tuż przy talerzu Colly. - Ale przez tę niemiecką księżniczkę cała gospoda stoi na głowie. Pan Gaines krzyczy od samego rana i co chwila wymyśla coś nowego, a jego żona grozi, że dostanie waporów, bo nigdy dotąd nie gotowała dla książąt.

Oczy panny Montrose rozbłysły.

- Nie mów mi, że księżniczka Adelaida zatrzymała się w tej gospodzie!

- O, psze pani! Właśnie tu jest. Przyjechali zaraz po tym, jak przyniosłam paniom obiad. Jest z nią jej ma... to znaczy księżna, jak nazywają ją towarzyszący im panowie... i dwie służące. To znaczy, nikt do końca nie jest pewien, co one za jedne. Żadna nie mówi po angielsku - dodała z urazą.

- Bo ich rodzinnym językiem jest niemiecki - wyjaśniła łagodnie Colly. - Czy mamy nimi pogardzać tylko z tego powodu, że mówią ojczystym językiem?

- Znowu Niemcy - rzekła dziewczyna przewracając oczami. - Najpierw nasza umiłowana księżniczka Charlotta... niech spoczywa w pokoju... a teraz jej wujowie. Czy oni nie mogą poszukać sobie narzeczonych we własnym kraju?

Ciocia Pet, chcąc zmienić temat rozmowy na obecność księżniczki w zajeździe, zapytała:

- Jeżeli nikt z nich nie mówi po angielsku, to jak składali zamówienia?

- Ci dwaj panowie, co im towarzyszą, załatwili wszystko. Nawet polecieli, by napalić w pokojach pań, a przecież jest już lipiec. Panie poszły prosto do swych pokoi. Pewno były zmęczone podróżą. A potem panowie pojechali do innego zajazdu.

- Tylko pomyśl, Colly. Księżniczka. W tej gospodzie. Jakież to podniecające! - Nie przejmując się, że plotkuje ze służącą, panna Montrose ponownie odwróciła się do dziewczyny. - Czy widziałaś samą księżniczkę? Czy jest bardzo piękna?

- O, psze pani, gdyby stary Gaines złapał mnie na gapieniu się na gości, już on złołby mi skórę. Ale Bess, po tym jak zaniósła im gorącą wodę do pokoi, mówiła, że księżniczka jest szczuplusieńka. Jasnowłosa pani. Trochę blada, z tego, co mówiła Bess, jakby wychudzona morską podróżą.

Nagle, usłyszawszy podniesiony głos pracodawcy po drugiej stronie drzwi, szybko dygnęła i prawie wybiegła z pokoju. Niestety, ciężkie drzwi nie zamknęły się. Colly i panna Montrose usłyszały podniesione głosy na korytarzu.

- Bardzo mi przykro, proszę pani, ale nie wiem, o co pani chodzi! - wrzeszczał Gaines tak głośno, że słyhać go było chyba w całym zajeździe.

Colly usłyszała tylko kilka słów z cichej odpowiedzi jego rozmówczyni, lecz wystarczyło jej to, by się domyślić, że kobieta mówi po niemiecku. Nie zastanawiając się długo, wstała od stołu i podeszła do drzwi.

- Czy mogę w czymś pomóc, panie Gaines?

Zrozpaczony gospodarz spojrzał na nią z wdzięcznością.

- Panno Sommes, bardzo przepraszam, że panią niepokoję, ale jeżeli zdoła mi pani pomóc, będę głęboko wdzięczny. Zdaje się, że ta pani

rozpaczliwie czegoś potrzebuje. Niestety, nie znam tego jej dziwnego języka i nie mam pojęcia, o co jej idzie. - Odwrócił się do kobiety i podnosząc głos, jakby to miało w czymś pomóc, dodał: - Ta pani zaraz nam pomoże.

Colly postąpiła o krok i uśmiechnęła się uprzejmie do ciemnowłosej kobiety stojącej w korytarzu.

- *Entschuldigen Sie. Bitte, kann ich Ihnen helfen?*

- *Danke schön* - odparła tamta z wyraźną ulgą. - *Danke schön, gnadige Frau.*

Ethanie, jesteś wyjątkowo nieznośny - rzekła lady Raymond przesuwając dłonią po przetykanych siwizną włosach. - Doprawdy nie życzę sobie takiego traktowania. Najpierw byłam zmuszona do podróży do Canterbury, potem musiałam wysłuchiwać narzekań kuzynki Theodozji na temat nieuczciwych służących, a teraz ty zachowujesz się zupełnie skandalicznie.

- Bardzo mi przykro, mamó, ale nie mogę przedstawić ci kobiety, która nie istnieje. Nikomu nie dałem tego pierścienia, o czym przekonasz się już wkrótce, gdy wróci on do skarbcza, oczyszczony i naprawiony.

- Mój drogi! Ty chyba mnie nie doceniasz!

- Mamó, bardzo proszę!

- Więc lepiej nie kpij ze mnie.

Lady Raymond odprawiła pokojówkę, która właśnie skończyła układać jej fryzurę, i zostawszy sam na sam z synem, spojrzała na niego uważnie.

- Ethanie, to już przekracza granice mojej cierpliwości. Zawsze sam załatwiałeś swoje sprawy, lecz tym razem nic ci to nie da. Przebyłam długą drogę, by poznać przyszłą synową, i nie odjadę, dopóki to się nie stanie.

- Mamó, przyrzekam ci na swój honor, że nie ma takiej osoby.

Po dłuższym milczeniu lady Raymond wyjęła z małej torebki koronkową chusteczkę i przyłożyła ją do oczu.

- Wiesz doskonale, jak bardzo zależy mi, byś znalazł sobie odpowiednią narzeczoną. A odpowiednią to wcale nie znaczy jakąś ładną głupiutką gąskę, która wypełni twój dom dziećmi, lecz dziewczynę, która będzie również droga twemu sercu. Dziewczynę, która... - Tu jej głos załamał się lekko i musiała przełknąć ślinę, zanim dokończyła: -

Dziewczynę, z którą będziesz równie szczęśliwy, jak ja z twoim ojcem.

Ethan podniósł pulchną dłoń matki do ust i ucałował końce jej palców.

- I jak on z tobą, kochana mamo.

Lady Raymond położyła na chwilę dłoń na szerokim ramieniu syna, po czym kazała mu wracać na krzesło i nie zawracać jej głowy starymi wspomnieniami.

- Tym mnie nie zwiedziesz. Chcę poznać i poznam pannę Sommes. Sama chcę się przekonać, czy jest odpowiednia dla ciebie. Nie chcę, byś poślubił kogoś z przymusu. Nie chcę takiego losu dla żadnego z moich synów.

Ethan zrozumiał, że jedynym pewnym sposobem przekonania matki, że nie jest zaręczony, byłoby poinformowanie jej o ostatnim wyczynie Reggiego. A tego robić nie chciał. Z męczącej sytuacji wyzwolił go gong wzywający domowników na obiad.

Wróciwszy do przydzielonego mu pokoju, opadł na stary bujany fotel i wyciągnął przed siebie długie nogi. Ze złością ściągnął krawat i cisnął go w kierunku pustego kominka w kącie pokoju.

- Kobiety! - zamruczał ze złością.

W tej chwili oddałby połowę majątku za karafkę czegoś mocniejszego. Niestety, jego kuzynka nie uważała, że zapewnienie gościom alkoholu leży w zakresie jej obowiązków jako gospodyni. Odchylił głowę do tyłu i z rezygnacją zamknął oczy.

Dwie nieprzyjemne rozmowy jednego dnia to doprawdy za wiele. Najpierw Colly, a teraz matka. I choć rozmowa z matką nie była tak trudna, jak się tego obawiał, to czuł się najlepiej, pozbawiając ją złudzeń.

A Colly... Nawet nie chciał o tym myśleć...

Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, wyjął z kieszeni jedwabną chusteczkę. Machinalnie rozłożył delikatną tkaninę na poręczy fotela, wygładzając zawinięty w nią kosmyk włosów. Poczł lekki zapach werbeny.

Od paru godzin starał się zapomnieć o Colly - o tym, jak bardzo go rozgniewała, jak bardzo chciał ją potrząsnąć i zmusić, by odwołała groźby o pozwanie Reggiego do sądu za złamanie przysięgi. Jednak teraz zdał sobie sprawę z bezsensowności swych wysiłków. Gdy delikatny zapach werbeny drażnił mu nozdrza, wrócił myślami nie do rozgniewanej kobiety w bibliotece, lecz do dziewczyny, którą znał przez ostatnie dwa dni.

Puszczając wodze wspomnieniom, Ethan przypomniał sobie jej inteligencję, cięty język, iskierki, które zapalały się w szarzielonych oczach na chwilę przed tym, jak wybuchała śmiechem. Myśli o oczach dziewczyny szybko zastąpiło wspomnienie jej ślicznej buzi i wspaniałych włosów, które tak bardzo chciał rozpleść, by wyglądały równie dziko, jak za pierwszym razem, gdy ją zobaczył.

Bezwiednie uniósł ciemny kosmyk do ust. Ponownie obudziło się w nim pożądanie, jak poprzedniego wieczoru - pragnienie, by dotknąć jej ust wargami. Choć teraz musiał sam przed sobą przyznać, że chce o wiele więcej. Pragnął zgnieść ją w ramionach, stopić jej drżące ciało z własnym, całować ją, dopóki nie błagałaby go, by przestał.

Ktoś zastukał cicho do drzwi przerywając marzenia Ethanowi. Nawet nie zastanawiając się, dlaczego to robi, ostrożnie zawinął kosmyk włosów z powrotem w chusteczkę, a dopiero potem poprosił, by nieoczekiwany gość wszedł do pokoju.

W drzwiach pojawiła się głowa mocno zaniepokojonego Harrisona.

- To tylko ja, drogi chłopcze. Przyszedłem cię przeprosić. To znaczy, jeśli w ogóle zechcesz mnie wysłuchać. Nie zdziwiłbym się wcale, gdybyś z miejsca mnie stąd wyrzucił. Naprawdę bym się nie zdziwił... mój Boże, ależ ja narozrabiałem, wygadawszy wszystko pannie Sommes. Nie potrafię

ci powiedzieć, jak bardzo jest mi przykro...

- Winny, ty idioto, wejdź tu natychmiast i zamknij drzwi.

Harrison wszedł do pokoju z wyrazem ulgi na twarzy.

- Słyszałem, jak wychodziłeś z pokoju matki. W jakim nastroju jest lady Raymond?

- Rozgniewana. I nic nie jest jej w stanie powstrzymać. Zdaje się, że pozostało mi tylko jak najszybciej wrócić do Londynu i mieć nadzieję, że matka Colly... to znaczy panny Sommes, odnajdzie pierścień. Zdaje się, że dopiero kiedy moja matka zobaczy brylant w sejfie, uwierzy, że nie jestem zaręczony. Kiedy wreszcie zwrócę pierścień, przestanie zadawać mi pytania i będę mógł o wszystkim zapomnieć raz na zawsze, a przede wszystkim, że kiedykolwiek spotkałem tę przekłątą kobietę.

Harrison nie miał najmniejszych wątpliwości, do kogo odnosiło się określenie „przekłeta”. Nie umknęło również jego uwagi drobne przejęzyczenie Ethana - z jakiegoś powodu nazwał pannę Sommes po imieniu, co było dość niezwykle. Jednak znając przyjaciela już wystarczająco długo, wiedział, że postąpi najrozsądniej trzymając język za zębami.

- Masz szczęście, że potrafisz tak szybko o wszystkim zapomnieć - rzekł obserwując uważnie Ethana. - Miejmy nadzieję, że i dziewczynie się to uda.

- O czym ty, u diabła, mówisz?

- Chcę wierzyć, że ten drobny epizod nie zaszkodzi zbyt pannie Sommes. Ale w końcu to bardzo piękna dziewczyna, więc nie mamy się o co martwić, prawda? Cały Londyn aż wrze i wszyscy panowie poszukują narzeczonych; z jej urodą na pewno ktoś ją zauważy. Z pewnością do końca sezonu będzie miała nowego narzeczonego.

Groźne błyski w oczach Ethana tylko potwierdziły podejrzenia przyjaciela, który jednak i tym razem był wystarczająco mądry, by pozostawić je dla siebie.

A niech cię wszyscy diabli! - wrzasnął poczmistrz w szkarłatnej liberii na woźnicę. - Aleśmy wpadli! Koło całkiem się połamało, ty beko sadła!

Colly słyszała gniewne wrzaski zagłuszone przerażonym rżeniem i tupaniem spłoszonych koni oraz miarowym bolesnym hukiem w głowie. Spała spokojnie, gdy konie pocztowe poniosły, ale zanim dyliżans zsunął się z drogi, zdążyła obić się o dach, drzwi, ciotkę i znowu dach. W końcu, lądując na drewnianych deskach podłogi powozu, uderzyła głową o metalową klamkę u drzwi.

- Colly, kochanie, czy nic ci nie jest?

- Nic, ciociu Pet. Trochę się tylko poobijałam. A czy ty nie zostałam ranna?

- Też tylko trochę się posiniaczyłam. Nie spałam jeszcze, kiedy konie poniosły, więc złapałam się za głowę i nie potłukłam się zbytnio. Poczekaj, kochanie, zaraz ci pomogę.

Odsuwając na bok małą torbę podróżną, dwa kapelusze i pogniecioną książkę - wszystko to leżało na Colly - panna Montrose wsunęła dłoń pod ramię siostrzenicy i pomogła jej wstać.

- Idioto! - wrzeszczał poczmistrz. - Każdy normalny człowiek zwolniłby na takim stoku, ale nie. Nie ty. Ty musiałeś gonić te głupie zwierzęta tak, że w końcu się rozbiliśmy! Ty przekłety kretynie! Widzisz, coś narobił!

Colly bardzo ostrożnie dotknęła obolałej potylicy i wyzuła szybko rosnący guz.

- Trochę mnie zamroczyło, ciociu. Co się stało?

- Zdaje się, że nasz woźnica przecenił swe kwalifikacje i konie poniosły. Tylne koło wpadło w dziurę na poboczu drogi i chyba pękło. Tak wnoszę z gniewnych okrzyków poczmistrza.

- Przestań ujadać jak wściekły pies, ty mądralo - odrzekł w tej samej chwili woźnica. - Zamknij jadaczkę i chodź tu pomóc mi z końmi. - Na chwilę odwrócił się do pobladłego poczmistrza nadal kurczowo

trzymającego się siedzenia na dachu dyliżansu. - A ty zejź na dół i pomóż wydostać się pasażerom.

Po chwili drzwi powozu zostały wyważone i do środka wsunęła się porośnięta kędzierzawymi jasnymi włosami głowa młodzieńca.

- Czy nic się nikomu nie stało?

- Ja się tylko wystraszyłam - odparła panna Montrose. - Ale moja siostrzenica uderzyła się w głowę. Proszę pomóc nam wydostać się na zewnątrz, gdyż przechył tego powozu nam nie służy.

Nie było mowy o naprawie koła, więc gdy godzinę później niebo zaczęło blednąć na wschodzie, poczmistrz przytroczył torby z pocztą do uprząży jednego z koni i wskoczywszy na jego grzbiet, pogalopował do Londynu. Najważniejszym jego zadaniem było dostarczenie poczty na czas, obiecał jednak, że z najbliższego miasta przyśle pomoc oczekującym na poboczu drogi podróżnym.

Wkrótce po jego odjeździe Colly doszła do wniosku, że wolałaby siedzieć w okropnie przekrzywionym powozie niż na zimnej ziemi, którą zaczynała pokrywać poranna rosa. Była przemoczona od stóp do głowy. Ciocia Pet zgodziła się bardzo ochoczo na powrót do dyliżansu, gdzie owinęły się płaszczem, mając nadzieję, że wraz ze świtem nadejdzie wyczekiwana pomoc.

Niestety, wybawienie nadeszło dopiero przed południem. Zarówno Colly, jak i panna Montrose bardzo się ucieszyły na widok zbliżającego się powozu, jednak wybawicielem okazał się ostatni człowiek, jakiego Colly chciałyby prosić o pomoc.

Słońce stało już całkiem wysoko na niebie i zarówno rosa, jak i ból głowy Colly już prawie całkiem zniknęły. Z nadzieją, że świeże powietrze wygoni resztki zamroczenia, dziewczyna wybrała się na małą przechadzkę po łące.

Jej jasnozielony kapelusz i tak bardzo ucierpiał podczas nocy spędzonej w dyliżansie, nie przejmowała się więc tym, że przechadzka po mokrej łące może zaszkodzić podróżnej sukni czy bucikom. Pożałowała

swej nieuwagi dopiero, gdy wracając na drogę przedzierała się przez gąszcz maków i bławatków.

Na poboczu stał piękny powóz zaprzęzony w czwórkę koni, który najwyraźniej zatrzymał się, by zaoferować pomoc. Obok pojazdu stał wysoki mężczyzna odziany w pięknie skrojony brązowy płaszcz, doskonale dopasowane beżowe spodnie i wysokie buty błyszczące w słońcu. Pomimo że stał oddalony o dobre dwadzieścia metrów od Colly, rozpoznała go natychmiast. To był Ethan.

Zawstydziała się, że zobaczy ją wyglądającą jak nieszczęście, w ubłoconych butach i pomiętej sukni. Jednak - ku swemu niezadowoleniu - natychmiast poczuła znajome podniecenie wywołane jego obecnością.

W tej samej chwili, jakby usłyszawszy jej dziko walące serce, Ethan odwrócił się i spojrzał prosto na nią.

- Colly! - zawołał z przerażeniem jasno wypisanym na twarzy. - Nie wierzę, że i ty byłaś w powozie w czasie tego wypadku! Czy nic ci się...

- A niech mnie kule biją! - przerwał mu Harrison wysiadając z powozu. - Jakże miło znowu panią widzieć - dodał uprzejmie, unosząc kapelusz. Mogłoby się здаwać, że spotkali się na przechadzce w Hyde Parku, a nie na poboczu drogi wiodącej do Rochester.

Z twarzą zarumienioną z zawstyżenia Colly pośpiesznie rzuciła na ziemię duży bukiet lwich paszczy i kaczeńców, który niosła w kapeluszu, i nałożyła mokre nakrycie głowy, Ina rozczochrane wiatrem włosy.

- Dzień dobry, ja właśnie...

Nie zwracając uwagi na nieprzystojny strój dziewczyny, Harrison pochylił się nad jej dłonią.

- Szanowna pani - rzekł, po czym z rozbawieniem w oczach i przewrotnym uśmiechem na ustach odwrócił się do przyjaciela, by mu pokazać, kogo znalazł na poboczu drogi. - Nie uwierzysz mi chyba, drogi chłopcze, ale jest tu panna Sommes.

Pomimo że powóz lorda Raymond był najpiękniejszym i

najwygodniejszym pojazdem, jakim Colly kiedykolwiek podróżowała, to długą drogę do Londynu zapamiętała jako trzy najbardziej nieszczęśliwe godziny swego życia. Po tym, jak woźnica przełożył bagaże panny Sommes i jej ciotki z dylizansu do powozu, Harrison pomógł paniom wsiąść do środka, po czym usiadł naprzeciw nich. Jednak Ethan, zamiast zająć miejsce obok przyjaciela, powiedział, że pojedzie na koźle obok woźnicy.

- Żeby paniom było wygodniej - wyjaśnił.

Jednak Colly ani przez chwilę mu nie wierzyła. Było aż nazbyt oczywiste, że Ethan nie może znieść myśli o spędzeniu kilku godzin w jej towarzystwie. Uprzejmość nie pozwoliła mu zostawić ich na środku drogi, lecz nie zmieniało to wcale faktu, że był na nią wściekły - wściekły, bo wierzył, że jest na tyle zepsutą kobietą, by nie oddać zaręczynowego pierścienia, więcej, klejnotu rodzinnego, po tym, jak narzeczeństwo zostało oficjalnie zerwane.

W tych okolicznościach trudno było się dziwić. Niestety, Colly nie mogła wyjaśnić mu całej sprawy nie zdradzając siostry.

Powóz zakołysał się, gdy Ethan wdrapywał się na górę. Woźnica strzelił z bata i konie ruszyły. Colly poczuła, że wraca ból głowy wraz z dziwnym dławieniem w gardle. Monotonne kołysanie się powozu - w przód i w tył, w przód i w tył - tylko spotęgowało jej smutek. Może dlatego, że przypominało o walcu... i tańczących parach... »

Pozostali podróżni nie zauważyli ani jej nieszczęśliwej miny, ani niezwyklego zachowania Ethana. Rozmawiali przyciszonymi głosami i uśmiechali się do siebie od czasu do czasu, jakby dzieląc jakiś sekret, którego Colly nie знаła.

- Księżniczka Adelaida i jej matka zatrzymały się w tej samej gospodzie co my - rzekła w pewnej chwili panna Montrose wprowadzając nowy temat do konwencjonalnej rozmowy na temat fatalnego stanu dróg w Anglii.

- A niech mnie kule biją! - wykrzyknął Harrison po raz kolejny tego

dnia. - Tak mi się coś zdawało, że widziałem dwa znajome powozy, gdy wyjeżdżaliśmy z Canterbury. Powiedziałem nawet Ethanowi, że przypominają mi powozy książąt. - Bawił się machinalnie złotym łańcuszkiem od zegarka wystającym mu z kieszonki kamizelki. - Więc książęca narzeczoną wreszcie się pojawiła, tak? Spodziewam się, że Clarence był tam, by ją powitać?

- Właściwie nie... to znaczy, jeżeli książę Clarence nawet tam był, to ja go nie widziałam.

- Nie przyjechał? Jak to niemiło z jego strony. Nie przystoi takie zachowanie narzeczonemu. Choć z drugiej strony on nigdy nie miał takiego powodzenia u płci pięknej jak jego brat. Pewno chce powitać księżniczkę w mieście. - Harrison uśmiechnął się. - Chętnie założyłbym się, ile będzie trwało to narzeczeństwo.

- Tak, miło by było zobaczyć na własne oczy, co z tego wyniknie - odrzekła panna Montrose, na szczęście nie zdając sobie sprawy, że rozmówca wcale nie podziela jej marzeń o rychłym ślubie książęcej pary, lecz wręcz przeciwnie, zastanawia się nad szybkim rozpadem tego związku. - Moja siostrzenica rozmawiała z kimś z orszaku księżniczki Adelaidy - kontynuowała romantycznie nastawiona dama. - Zdaje się, że z pokojówką samej księżny Eleonory.

- Co też pani mówi! Nigdy bym się nie spodziewał, że ktokolwiek z nich zna angielski!

- O, nie znają - poinformowała go panna Montrose. - Colly rozmawiała z nią po niemiecku.

- Na miłość boską! - Brwi Harrisona uniosły się ze zdumienia. - Ethan mówił, że panna Sommes jest bardzo inteligentną młodą damą, ale... po niemiecku?!

Colly przestała przysłuchiwać się rozmowie już kilka minut wcześniej, gdyż o wiele bardziej była zainteresowana dżentelmenem, który siedział na dachu, niż spekulacjami Durwina Harrisona na temat narzeczeństwa książęcej pary; tak więc uniknęła jej cenna informacja, że

Ethan rozmawiał o niej z przyjacielem. Powróciła myślami do dnia, kiedy po raz pierwszy pojawił się w Sommes Grange, i tego, co nastąpiło później. Do dni, które - jak teraz zdała sobie sprawę - zmieniły jej życie.

Wprawdzie wcześniej zdarzały się chwile, gdy uświadamiała sobie pewną pustkę swej egzystencji, ale czując głęboką niechęć do małżeństwa bez miłości, nie zwracała na to większej uwagi. Dopóki nie pojawił się Ethan.

Nawet nie chodziło o to, że była nieszczęśliwa. Miała kochającą rodzinę, sporo miłych znajomych i przyjaciół w okolicy, no i satysfakcjonującą pracę charytatywną w szkółce niedzielnej. Ale przyjazd Ethana wyzwolił w niej pragnienie posiadania czegoś więcej w życiu. Może kogoś.

Przymknęła oczy i oparła się o poduszki siedzenia. Znowu sama się oszukiwała. Nie chodziło jej o jakiegoś bezimiennego „kogoś”. Była zbyt uczciwa względem siebie, by się do tego nie przyznać: Kochała się w Ethanie Bradfordzie. Pokochała go siedem lat temu, a teraz kochała go jeszcze bardziej.

Raz otworzywszy puszkę Pandory, spojrzała prawdzie prosto w oczy - czy mogła kochać człowieka, który nią pogardzał? Człowieka, który nawet nie chciał jechać z nią do Londynu w jednym powozie? Odpowiedź była bardzo prosta - serce nie sługa. Nie potrafiła nad nim zapanować, ale mogła kontrolować swoje postępowanie. Nie zrobi z siebie idiotki obnosząc się z tym uczuciem albo, co gorzej, ze złamanym sercem. Nie pozwoli zrobić z siebie pośmiewiska.

Ethan jej nie kochał. Cóż z tego, że ona go kochała - on nią pogardzał. Teraz chciał od niej tylko brylantu Bradfordów. Doskonale zdawała sobie z tego sprawę, nie pozostało jej więc nic innego, jak znaleźć pierścień, oddać mu go, pożegnać się i spokojnie wrócić do Sommes Grange.

Wiedziała, że to dobry plan, że to jedyne słuszne wyjście z sytuacji. Nie wiedziała jednak, jak zdoła przeżyć resztę życia ze świadomością, że

już nigdy więcej nie zobaczy Ethana Bradforda.

Rozdział siódmy

W czasie pobytu w Londynie lady Sommes i Gilly zatrzymały się w hotelu Grillon, przy ulicy Albemarle 7. Oczywiście podczas sezonu sir Wilfred wynajmie przyzwoity dom w mieście, lecz na trzy tygodnie wizyt u modystek, przymierzania sukien, wypraw do sklepów po rękawiczki, kapelusze, pończochy, wachlarze i inne drobiazgi apartament w hotelu był odpowiedniejszy.

Gilly i Violet wyjechały do Londynu przede wszystkim na zakupy, Colly nie zdziwiła się, więc, gdy nie zastała ich w apartamencie. Kiedy jednak okazało się, że nie ma również pokojówki, dziewczyna zaczęła się zastanawiać, gdzie też podziały się matka i siostra.

- Spróbuję się czegoś dowiedzieć - rzekła panna Montrose. - Kiedy ja pójdę zasięgnąć języka, ty, proszę, idź do pokoju siostry i połóż się na trochę. Coś mi się zdaje, że nie doszłaś do siebie po tym wypadku.

- Ale ja...

- Proszę. Żadnych „ale”. Od chwili, gdy wsiadłyśmy do powozu pana Bradforda, nie odezwałaś się ani słowem, a znam cię wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że nie zachowałabyś się tak nieuprzejmie, gdyby nie trapiło cię coś poważnego. Wiem też, że w normalnych okolicznościach zjadłabyś cokolwiek po tym, jak jego lordowska mość zatrzymał się w zajeździe, byśmy mogły się odświeżyć. Kolacja była wyśmienita, lecz ty nawet jej nie tknęłaś. Znajac cię wiem, że tylko ból głowy mógł być przyczyną takiego zachowania.

Colly zarumieniła się.

- Przepraszam, że wprawiałam cię w zakłopotanie, ciociu Pet.

- Nie trap się tym zbyt, kochanie. - Starsza pani poklepała ją po policzku. - Mam nadzieję, że to nic poważnego. A teraz połóż się spokojnie i poczekaj, aż ci przejdzie.

Nie chcąc pozbawiać ciotki złudzeń, że to ból głowy, a nie serca spowodował jej nieuprzejme zachowanie, Colly potulnie zgodziła się

położyć do łóżka.

- Kiedy już odpocznę, napiszę do pana Harrisona, przeproszę go za moje złe maniery i podziękuję za okazaną uprzejmość.

Panna Montrose popatrzyła na siostrzenicę z udaną obojętnością.

- A co z lordem Raymond? Czy także do niego masz zamiar napisać?

Czując, że rumieniec z powrotem zalewa jej policzki, Colly odwróciła się pospiesznie i poszła w stronę otwartych drzwi sypialni.

- Napiszę do niego, gdy już odnajdę brylant Bradfordów.

Spodziewam się, że jeden list wystarczy na obie okazje.

Zamknąwszy za sobą drzwi sypialni, położyła się i nie wstała z łóżka przez następne pół godziny. Nie była jednak w stanie zasnąć. Raz wspomniawszy o brylancie, nie potrafiła o nim zapomnieć. W końcu, nie mogąc się doczekać powrotu siostry, wstała z łóżka i podeszła do toaletki, by poszukać szkatułki z biżuterią Gilly. Pod owalnym szklanym wieczkiem nie znalazła nic poza kilkoma świecidełkami.

Dokładne przeszukanie toaletki również nic nie dało. Także w szufladach bieliźniarki Colly nie znalazła interesującego ją przedmiotu. Dopiero po ponownym przeszukaniu całego pokoju i znalezieniu jedynie kilku magazynów, szpilek do włosów, trzech par butów i mosiężnego zegarka Colly poddała się. Brylantu Bradfordów nie było w pokoju.

Kiedy rozglądała się w poszukiwaniu jakichś skrytek, przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Ale to było chyba zbyt idiotyczne, nawet jak na jej głupiutką siostrę.

- Gilly, ty młoda oślico - zamruczała do siebie. - Chyba nie obnosisz tego pierścionka po całym mieście.

Przerażona do granic możliwości wybiegła z pokoju.

- Ciociu Pet!

Starsza pani dopiero w tej chwili wróciła do apartamentu wraz z pokojówką i służącym pchającym przed sobą stoliczek zastawiony filiżankami i czajnikiem z herbatą. Zauważywszy, że nie są same, Colly poczekała, aż służący ukloni się i wyjdzie z pokoju, a pokojówka uda się

do sypialni, by rozpakować rzeczy panny Montrose.

- Pierścienia tu nie ma - wyrzuciła z siebie, gdy tylko zostały same.

- Nie ma? To gdzie...

- Założę się, że Gilly go nosi. Mała idiotka!

Przyjmując bez zastrzeżenia sąd Colly o braku rozumu młodszej siostry, starsza pani wpadła w panikę.

- Musimy odnaleźć to głupie dziecko! - zawołała. - Jeszcze dziś wieczorem. Zerwiemy jej ten pierścień z palca choćby siłą. Dla jej własnego dobra, oczywiście - dodała opanowując się trochę.

- Ależ ciociu, przecież nawet nie wiemy, gdzie ona jest.

- Jeżeli o to chodzi - starsza pani nie patrzyła siostrzenicy w oczy - to ktoś ze służby... nie pamiętam już kto... powiedział mi, że Violet i Gilly miały dziś pójść na wieczorek muzyczny do lady Sadgewick. Pewno zaplanowały kolację w jakimś hotelu i prosto stamtąd poszły na przyjęcie. Musimy odnaleźć tę kozę. Pospiesz się, kochanie. Wypij herbatę i zjedz kilka ciasteczek. Nie możemy się spóźnić.

- Spóźnić? - Colly zamrugowała ze zdziwienia. - Na co? Chyba nie chcesz powiedzieć, że pójdziemy na ten wieczorek!

- Ależ oczywiście, że pójdziemy. Nie mamy innego wyjścia, jeżeli chcemy jeszcze dziś odnaleźć twoją głupiutką siostrę.

- Ale przecież nie mamy zaproszeń - zaprotestowała Colly

- Phi! Też mi zmartwienie. Znam Aurelię Kent od przeszło trzydziestu lat i zapewniam cię, że niewiele wie o ludziach, którzy zjawiają się na jej przyjęciach. Poza tym sezon jeszcze się nie zaczął i wiele osób nie zdążyło wrócić po miasta. Będzie wdzięczna, jeżeli zapełnimy jej wolne miejsca przy stole.

- Nawet jeżeli masz rację, ciociu, to nie mamy się co ub...

- Ja mam się w co ubrać, a ty możesz wybrać coś z garderoby matki. Jej pokój zapełniony jest sukniami, z pewnością znajdziesz coś odpowiedniego. Nie radziłabym ci jednak wybierać żadnej sukni Gilly. Jako debiutantka będzie miała pewno same białe, a tobie w tym kolorze nie

jest zbyt blisko do twarzy.

- Dobry Boże, masz rację. - Colly wzdrygnęła się przypominając sobie paskudne białe kreacje, które zmuszona była nosić siedem lat temu. Te stroje - w połączeniu z jej chorobliwą wręcz nieśmiałością - nie przyniosły dziewczynie wiele szczęścia tamtego sezonu. - Nie, nie chcę sukni Gilly.

Niecałe dwie godziny później, ubrana w elegancką suknię z żółtego jedwabiu ozdobioną na staniku i w talii złotem, Colly znalazła się wśród gości wspinających się po schodach imponującego domu przy Grosvenor Square. Nadal nie wiedząc, jak dała się namówić na tak szaloną eskapadę, szła ze spuszczonej oczami obawiając się, że lada moment lokaj rozpozna w niej intruza, jakim była w istocie, i każe natychmiast opuścić ten dom.

Omam nie zemdlała z przerażenia, gdy przyszła jej kolej na przywitanie się z gospodynią, korpulentną matroną w purpurowym turbanie.

- Moja kochana Aurelio, jak miło cię widzieć! - zwróciła się do niej ciocia Pet.

Tylko lekkie uniesie brwi zdradziło, że lady Sadgewick nie rozpoznała panny Montrose. Z uprzejmym uśmiechem na ustach dama wymamrotała jakieś imię, które mogło być wszystkim - od Anny do Zantyby - i pocałowała ją w pomarszczony policzek. Potrząsając dłonią Colly gospodyni zapewniła, że jest uszczęśliwiona ich obecnością na przyjęciu.

Wypuszczając zbyt długo wstrzymywany oddech, Colly złapała ciotkę za ramię i poprowadziła ją w stronę łukowatego wejścia do przestronnego, utrzymanego w niebieskich i srebrnych kolorach salonu.

- Proszę, musimy ją jak najszybciej odnaleźć - szepnęła jej do ucha. - Wtedy będziemy mogły sobie pójść. Doprawdy bardzo mi się nie podoba sposób, w jaki się tu wkradłyśmy.

- Ależ moja droga, zapewniam cię...

- I zanim raz jeszcze pokalasz swą nieśmiertelną duszę kłamstwem o odwiecznej znajomości z lady Sadgewick, pozwól, że zapewnię cię, że nie wierzę w to ani na jotę.

- Panna Montrose! Cóż za spotkanie!

- Ależ to pan, panie Harrison! - odrzekła z radością starsza pani i wyrwawszy ramię z uścisku siostrzenicy podała dłoń dżentelmenowi. Zdawać by się mogło, że od czasu ich ostatniego spotkania minęły wieki, a nie zaledwie trzy godziny. - Jakaż miła niespodzianka!

Nagle pojawienie się Harrisona pozbawiło Colly nie tylko mowy, ale i resztek dobrych manier, gdyż zamiast przywitać się z nim uprzejmie, zaczęła rozglądać się po salonie, by upewnić się, czy przyszedł sam. Ze zdziwieniem przekonała się, że nie. Umknęło jej porozumiewawcze spojrzenie, jakie wymieniła ciotka z Harrisonem, gdyż w tym momencie jej uwagę zaprzętał tylko wysoki ciemnowłosy mężczyzna stojący po przeciwnej stronie pokoju w grupce rozbawionych młodzieńców.

Na widok lorda Raymond - niewiarygodnie przystojnego w czarnym wieczorowym fraku, białej kamizelce, dopasowanych pantalonach i nienagannie zawiązanym krawacie - dziewczyna poczuła, że miękną jej kolana. Musiała na chwilę oprzeć się o kolumnę dla odzyskania równowagi. Colly zawsze uważała, że mężczyźni powinni starać się wyglądać jak najlepiej, lecz w tej chwili doszła do wniosku, że to, co u innych jest zaletą, w przypadku Ethana Bradforda mogło się stać bronią przeciwko niej.

Walczyła jeszcze o odzyskanie panowania nad sobą, gdy Ethan podniósł wzrok i, choć oddzielał ich cały pokój, spojrzał jej prosto w oczy. Uśmiech, który gościł na jego ustach jeszcze chwilę wcześniej, zamarł. Roześmiany młodzieniec stojący obok niego mówił coś i Ethan pochylił uprzejmie głowę w jego stronę, lecz nadal nie spuszczał wzroku z dziewczyny. Nie wiedziała, co robić. Nagle zaczęło się jej zdawać, że w pokoju brakuje powietrza.

Jakby z dala usłyszała głos ciotki.

- Colly, kochanie, pan Harrison zadał ci pytanie.

Z nadludzkim wysiłkiem oderwała wzrok od brązowych źrenic nadal wpatrzonych tylko w nią.

- Bardzo przepraszam, panie Harrison.

- Pytałem, czy ma pani jakieś preferencje, panno Sommes.

- Preferencje? Obawiam się, że nie rozumiem...

- Pan Harrison chciałby wiedzieć, czy masz jakieś preferencje co do miejsca, kochanie. Lady Sadgewick właśnie daje znak do rozpoczęcia koncertu.

Zbyt oszołomiona, by pamiętać, że przyszły tu w tylko jednym celu - by odnaleźć Gilly - Colly zgodziła się, by Harrison wybrał im miejsca wedle własnego uznania. Ku jej wielkiemu zdumieniu, dżentelmen poprowadził je do krzeseł ustawionych tuż przy fortepianie. O sekundę za późno zrozumiała, że uniemożliwi im to wcześniejsze wyjście z koncertu. Co gorsza, siedziała tuż obok gospodyni.

Znalazłszy się w tak fatalnym położeniu, Colly postanowiła, że nawet jeżeli daleka jest od spokoju ducha, nie da tego po sobie poznać.

Do czasu gdy pierwszy tenor zakończył trzecią popisową arię, zdołała przywołać na twarz wyraz zadowolenia i spokoju. Może i udałoby się jej zachować tę pozę, gdyby nie odwróciła się trochę w lewo i nie spojrzała w ogromne lustro wiszące między dwoma oknami. W gładkiej powierzchni odbijał się profil niezwykle przystojnego Ethana Bradforda, szóstego barona Raymond.

Colly natychmiast odwróciła wzrok. Jednak już po chwili pozwoliła sobie na jeszcze jedno zerknięcie. Nie zajął miejsca siedzącego, stał oparty o kolumnkę w przejściu. Sądząc z wyrazu twarzy duet harfy i fortepianu nie przypadł mu zbyt do gustu.

Colly nie wiedziała dlaczego, ale miała wrażenie, że to nie muzycy, lecz ona przyciąga jego uwagę. Może podpowiedziała jej to intuicja? Nieważne, skąd to wiedziała, lecz była pewna, że się nie myli: cały czas, gdy obserwowała jego odbicie w lustrze, on przyglądał się jej. Poczwała, że

gorący rumieniec wypływa na policzki. Z trudem powstrzymała się przed przemożną chęcią opuszczenia sali.

Przez resztę programu - nie kończący się ciąg solistów i duetów, tenorów i sopranów, jednych całkiem niezłych, innych męcząco pospolitych - czuła na sobie oczy Ethana, nie odważyła się jednak ponownie zerknąć w lustro. Wiedziała, że gdyby tam spojrzała, patrzyłby właśnie na nią.

Kiedy przebrzmiały ostatnie brawa, panowie poczęli wstawać, by odprowadzić damy do stołu. Harrison zaoferował obu paniom swe towarzystwo.

- Panno Montrose, panno Sommes, czy pozwolą panie?

- Nie! - odrzekła pospiesznie Colly w obawie, że ciotka przyjmie zaproszenie. - To znaczy... dziękujemy panu uprzejmie, lecz chyba znów mam migrenę. Powinnyśmy już wracać do hotelu.

Następnego dnia była niedziela, obie panie udały się więc do kościoła, a po mszy wróciły do hotelu, gdzie Colly dowiedziała się od recepcjonisty, że lady Sommes i Gilly wróciły na parę dni na wieś.

- Tak jak wczoraj mówiłem pannie Montrose - dodał chłopiec.

- W rzeczy samej, mój dobry człowieku - rzekła starsza dama. A potem, zauważywszy rozdarcie w nowo kupionej torebce, zdążyła ominąć spojrzenie rzucone jej przez zirytowaną siostrzenicę. - Kiedy ktoś jest zmęczony po długiej podróży, może się zdarzyć, że się przesłyszysz.

- Oczywiście - zgodziła się Colly ironicznie. - W końcu to bardzo mały błąd. Recepcjonista powiedział „na wieś”, a ty zrozumiałaś „na wieczorek muzyczny lady Sadgewick”. Mogło się zdarzyć każdemu.

Nie chcąc rozmawiać o poprzednim wieczorze, dziewczyna porzuciła temat, co jej ciotka przyjęła z wdzięcznością.

Po obiedzie i spacerze resztę dnia panie spędziły na spokojnej rozmowie i czytaniu. Colly trzymała otwartą książkę na kolanach, lecz słowa na stronicach nie mogły się równać z obrazami, jakie podsuwała

dziewczynie wyobraźnia. Z obrazami ciepłych brązowych oczu i ust, które kiedyś uśmiechały się do niej z taką sympatią. Dzięki Bogu, dzień wreszcie dobiegł końca i Colly mogła wreszcie udać się do sypialni, lecz jeszcze długo nie mogła zasnąć i przewracając się z boku na bok rozmyślała o tych samych brązowych oczach i uśmiechu, który zamienił się w gniew.

Następnego ranka panna Montrose wpadła do sypialni siostrzenicy i zawołała radośnie:

- Pora wstawać, śpiochu! Obudź się wreszcie. Spałaś ponad dwanaście godzin. Jest już za dwadzieścia dziesiąta i wiele się wydarzyło.

- Czy naprawdę muszę wstać? - zamruczała Colly zaspianym głosem.

Ciągnąc za kołdrę, którą siostrzenica usiłowała naciągnąć na głowę, panna Montrose rzekła:

- Przyszła już pokojówka z tacą. Pij czekoladę, a ja opowiem ci, co mi się dziś przytrafiło.

Kiedy pokojówka odciągała zasłony z okien, by wpuścić nieco słońca do pokoju, Colly wtuliła twarz w poduszkę błagając o jeszcze dziesięć minut snu. Widząc jednak wyraz podniecenia na twarzy ciotki, zrozumiała, że nie wygra. Przeciągnąwszy się leniwie, przetarła powieki.

Prawdę mówiąc, wcale nie przespała tych dwunastu godzin, tylko przeleżała bezsennie aż do wczesnych godzin rannych rozmyślając nad kilkoma sprawami. Po pierwsze: dlaczego Ethan Bradford obserwował ją przez cały wieczór? A po drugie - i to niepokoiło ją jeszcze bardziej: czy jej przeznaczeniem jest spędzić resztę życia rozmyślając o parze rozmarzonych brązowych oczu?

- Moja droga - odezwała się panna Montrose zwracając na siebie uwagę siostrzenicy. - Nigdy nie uwierzysz, kto tu jest. Nie w tym apartamencie, rzecz jasna, ale w hotelu. Nie zgadniesz, kto zatrzymał się w Grillonie.

- Nie mam po...

- Księżniczka Adelaida - odpowiedziała jej natychmiast starsza pani.

- Na pewno się mylisz, ciociu. Księżniczka przybyła tu aż z Niemiec, by poślubić księcia, brata króla; z pewnością nie pozwolono by jej zatrzymać się w hotelu. Założę się, że mieszka w pałacu wraz z królową.

- Pozwolono czy nie, księżniczka Adelaida jest w tym hotelu. Siedziałam sobie spokojnie w salonie dla pań na dole i czytałam jakieś czasopismo, gdy nagle usłyszałam, że tuż obok ktoś mówi po niemiecku. Nie masz pojęcia, jak się zdziwiłam, widząc tę samą damę, której pomogłaś w zajeździe w Canterbury... pamiętasz? Stała w drzwiach salonu i rozmawiała z bardzo dystyngowanym wyglądającym panem. Pewnie jednym z eskorty księżniczki.

Colly usiadła na łóżku i sięgnęła po filiżankę czekolady i tosta.

- A widziałaś samą księżniczkę? - zapytała między jednym kęsem a drugim.

Panna Montrose potrząsnęła głową.

- Niestety, tu nie dopisało mi szczęście. Ale zobaczę ją, już ja tego dopilnuję. Znalazłam doskonałe miejsce w salonie z widokiem na hol. Mam zamiar siedzieć tam, dopóki nie zobaczę młodej damy, która pewnego dnia może zostać naszą królową.

Colly skończyła jeść śniadanie i strzepnęła okruszki z serwetki.

- Jeżeli mogę ci w czymś pomóc, ciociu Pet, wystarczy, że mnie poprosisz. W końcu obiecałam ci to.

Panna Montrose przybrała minę wystudiowanej obojętności.

- Bardzo się cieszę, że mi to przypomniałaś, moja droga, gdyż przez ostatnią godzinę zamartwiałam się, co też począć z biednym panem Harrisonem.

- Panem Harrisonem? A cóż on ma z tym wszystkim wspólnego? Jeżeli masz zamiar czatować na księżniczkę, to nie jego sprawa.

- Ale ten młody człowiek chciał pokazać mi swój nowy powóz, a ja, mając na uwadze dług wdzięczności, jaki mamy wobec niego za podwiezienie do Londynu, zgodziłam się na małą przejażdżkę. - Ciotka uśmiechnęła się niewinnie. - Dziękuję, że rozwiązałaś mój problem. Teraz

mogę spokojnie czatować na księżniczkę Adelaidę, podczas gdy ty pojedziesz na przejażdżkę z panem Harrisonem.

Colly omal nie zachłysnęła się czekoladą.

- Ciociu Pet! Przecież nie mogę pojechać na przejażdżkę powozem do parku. A już na pewno nie z panem Harrisonem!

- Oczywiście, że możesz - odparła starsza dama. - Właśnie z panem Harrisonem. Pozwalając mu zabrać się na przejażdżkę, zaoszczędzisz sobie trudu pisania do niego listu z przeprosinami. - Odczekała chwilę, by niezaprzeczalna logika tego stwierdzenia podziałała na dziewczynę, po czym mówiła dalej: - Osobiście uważam, że nie proszę o zbyt wiele. W końcu odpłacenie dżentelmenowi za dobre serce paroma miłymi słowami na temat nowego powozu nikomu jeszcze nie zaszkodziło. Nie wiesz, że młodzi mężczyźni lubią słuchać pochwał? Poza tym świeże powietrze dobrze ci zrobi.

Chociaż Colly mogłaby przytoczyć całe mnóstwo argumentów, dlaczego nie może pojechać na przejażdżkę, wiedziała, że i tak byłoby to na próżno. Ciotka nie dałaby się zwieść. W końcu, ugiąwszy się pod presją złożonej wcześniej obietnicy i długu wobec Harrisona, Colly zgodziła się pojechać do parku.

Niecałą godzinę później, ubrana w brzoskwiniową suknię spacerową matki, przyozdobioną zielonymi dodatkami, Colly otworzyła drzwi salonu. Powitalny uśmiech zamarł jej na ustach, gdy w progu zobaczyła równie zdziwionego lorda Raymond.

- Milordzie - rzekła słabo. - Spodziewałam się pana Harrisona.

- A ja spodziewałem się pani ciotki - odparł Ethan. - Winny przesłał mi liścik, że zapomniał o jakimś ważnym spotkaniu, i prosił, bym zawiózł pannę Montrose do Hyde Parku. Jestem tu w jego zastępstwie.

Colly poczuła, że zaschło jej w gardle.

- A ja jestem w zastępstwie mojej ciotki.

W apartamencie nie było poza nią nikogo, nie było więc mowy, żeby zaprosić dżentelmena do środka, zresztą Colly i tak nie chciała tego zrobić.

W rzeczy samej była od tego daleka - obawiała się, że korzystając z okazji mógłby jej kazać szukać brylantu. Chcąc jak najszybciej zakończyć przeciągającą się ciszę, dziewczyna chwyciła parasolkę i poinformowała jego lordowską mość, że jest gotowa do przejażdżki, wyszła z salonu.

Ethan zamknął drzwi i pospieszył za nią. Dogonił ją dopiero u szczytu schodów. Kiedy uprzejmie ujął jej łokieć, poczuł, że podskoczyła. Uśmiechnął się z zadowoleniem. Ani trochę jej nie współczuł. Właściwie jej zakłopotanie, spowodowane tym, że została zmuszona do przejażdżki w jego towarzystwie, bardzo mu odpowiadało. Nareszcie miał okazję zemścić się za to, że wczorajszego wieczoru wcześniej wyszła z przyjęcia, nie dając mu możliwości okazania, jak mało interesuje go jej towarzystwo.

Był nie mniej zdziwiony od niej, że się spotkali, lecz z jakichś dziwnych powodów pomyślał spędzenia słonecznego dnia w jej towarzystwie wcale go nie martwił. Spoglądając na śliczny profil wynurzający się spod słomkowego kapelusza, mówił sobie, że żaden prawdziwy mężczyzna nie odmówiłby sposobności towarzyszenia tak pięknej kobiecie. A sądząc po odwracających się za nimi głowach, gdy przechodzili przez hol, wielu mężczyzn chętnie zamieniłoby się z nim miejscami.

Jazda z ulicy Albemarle do parku odbyła się w całkowitym milczeniu, choć oboje mieli po temu zupełnie inne powody. Podczas gdy Ethan musiał skupić całą uwagę na ognistej parze bułanych koni ciągnących nowy powóz Harrisona, Colly desperacko usiłowała znaleźć temat rozmowy, który nie przypominałby lordowi Raymond o zaginionym pierścieniu. Niestety, nic nie przychodziło jej do głowy.

Kiedy wreszcie przekroczyli wschodnią bramę parku, okazało się, że ruch jest o wiele większy, niż można się było tego spodziewać w tak upalny lipcowy dzień. Zadowolona z obrotu sprawy dziewczyna modliła się, by narowiste konie i duży ruch nadal absorbowały uwagę Ethana, uniemożliwiając rozmowę. Ku jej wielkiemu niezadowoleniu dobry Bóg

nie wysłuchał tych modłów.

- Czy jest pani wygodnie? - zapytał uprzejmie Ethan zręcznie manewrując między innymi powozami.

- W rzeczy samej, milordzie - odparła dziewczyna skupiając się na kasztanowatym ogierze galopującym przez park.

- Mam nadzieję, że słońce zbytnio pani nie dokucza.

- Jestem przygotowana na każdą okazję. - Wskazała na parasolkę, którą trzymała na ramieniu.

- Oczywiście. Bardzo piękna robota.

- Jest pan bardzo uprzejmy, milordzie.

Colly nie miała złudzeń, że czas upłynie im na wymianie bezsensownych uprzejmości, bo choć Ethan wydawał się odprężony - jakby nic go nie trapiło i chciał jedynie rozkoszować się przejażdżką - wyczuwała drżącą w nim energię. Zupełnie tak, jakby się z nią bawił w kotka i myszkę. Czyżby podobało mu się to, że wyprowadza ją z równowagi? Czyżby chciał uderzyć w nią w najmniej spodziewanym momencie?

Kiedy nagle ich drogę zagroził powóz, którego pasażerowie chcieli porozmawiać z woźnicą wysokiej dwukółki, Colly zwilżyła wargi, pewna, że Ethan wykorzysta okazję, by raz jeszcze przypomnieć jej o brylancie.

- Panno Sommes - zaczął obracając się na siedzeniu, by lepiej ją widzieć. - Ja...

- Raymond! - zawołał ktoś w tej samej chwili. - Raymond! Poczekać chwilę!

Colly i Ethan odwrócili się w tym samym momencie i zobaczyli starszego pana galopującego w ich stronę na ogierze, który niedawno przyciągnął uwagę dziewczyny.

- A niech to diabli! - mruknął Ethan, a gdy dżentelmen podjechał bliżej, dodał: - Dzień dobry, wuju!

- A więc to ty, Ethanie - odrzekł mężczyzna. - Mówiłem sobie, że się mylę, ale to jednak ty. Cóż cię sprowadza do miasta o tej porze roku? Nie

dalej niż kilka minut temu widziałem się z twoją matką, lecz nie wspomniała ani słowem, że jesteś w Londynie. Nie chodzi o to, że nie jesteś mile widziany! Słyszałem, że masz zamiar zająć swe miejsce w parlamencie... podejrzewam, że znowu zajmiesz się tym idiotycznym szkolnictwem. Szkoda twego czasu i pieniędzy. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego mieszasz się w coś, co nie ma z tobą nic wspólnego. Pamiętam własne szkolne lata, wstrętne jedzenie i te wszystkie koszmary...

- Monotonne jedzenie jest najmniejszym problemem naszej edukacji - oświadczył cierpko Ethan, gdy wuj zatrzymał się, by nabrać powietrza. - Poza tym uważam, że problem edukacji dotyczy nas wszystkich. Lecz zanim zaczniemy dyskusję, na którą ani tu czas, ani miejsce, pozwól, że przedstawię ci pannę Sommes. - Odwrócił się do Colly. - Proszę pani, oto brat mojej matki, pan Philomen Delacourt.

Choć Colly zafascynowana była nowym wizerunkiem Ethana jako działacza społecznego, nie zapomniała o dobrych manierach i uprzejmie kiwnęła głową.

- Pani sługa - odrzekł mężczyzna unosząc kapelusz, po czym odwrócił się do siostrzeńca. - Czyżbyś powiedział Sommes? Kilka dni temu poznałem niejaką lady Sommes. Bardzo piękna kobieta. Śliczna jak obrazek, choć ma już córkę na wydaniu. A córeczka też niebrzydka... złotowłosa panna. Nie pamiętam już, jak miała na imię... tak jakoś dziwnie... ale zapewniam cię, że uroda tego dziecka zapierała dech w piersi. Zdaje się, że ma debiutować w tym sezonie i założę się, że odniesie wielki sukces. Bez złej woli złamie niejedno serce. Tak, tak... aż zapiera dech. - Starszy pan mówił bez przerwy nie dając dojść do głosu rozmówcom. - Czy jest pani spokrewniona z lady Sommes? Oczywiście, że tak. Jest pani równie piękna, pokrewieństwo nie ulega wątpliwości. Co prawda, ani się pani równa z tą złotowłosą kozą, ale i tak jest pani niczego sobie...

- Wuju Philomenie! - W głosie Ethana zabrzmiał gniew, który zaskoczył zarówno dziewczynę, jak i starszego pana. Zanim jednak

którekolwiek z nich zareagowało, powóz blokujący im drogę ruszył. Ethan dotknął róna kapelusza rączką bata. - Wybacz, wuju, lecz nie możemy tamować ruchu. Przyjeźdź, proszę, później do Raymond House. Matka bardzo chętnie cię zobaczy. - Wypowiedziawszy to zdawkowe zaproszenie, popędził konie zostawiając wuja z otwartymi ustami.

Ethan patrzył ponad końskimi łbami w przestrzeń. Nie może się równać, dobre sobie! Stary głupiec!

- Bardzo przepraszam - rzekł w końcu.

- Ależ za co?

- Za zachowanie wuja. Zawsze gadał jak najęty, lecz nigdy do tej pory nie zachowywał się tak obraźliwie.

Colly przyglądała się przez chwilę profilowi Ethana. Coś w jego głosie - może hamowana złość - sprawiło, iż miała wrażenie, że to on został obrażony.

- Czy powinnam się czuć urażona? Zapewniam, że pan Delacourt nie powiedział nic obraźliwego. Chyba że ma pan na myśli porównywanie mnie do siostry.

Ethan spojrział na nią przelotnie.

- Czy pani tak tego nie odebrała?

- Miał rację. Nikt nie jest w stanie równać się z Gi... ehm... z moją siostrą. Może pan zapytać kogokolwiek pochodzącego z Canterbury. To najpiękniejsza dziewczyna w okolicy.

- Niemożliwe.

- Na mój honor przysięgam, że to prawda. Przecież pan jej jeszcze nie widział.

- Nie - odparł cicho. - Ale widziałem panią.

Colly zamilkła ze zdziwienia, bojąc się przyjąć jego słowa za komplement. W końcu już raz sama siebie oszukała. Rozejrzała się usiłując zmienić temat rozmowy, aby ukryć zmieszanie. Nagle zauważyła kobierzec kwiatów porastający ogromne połacie parku.

- Widzę, że moja rodzina jest tu szeroko reprezentowana.

- Nie rozumiem?

Dziewczyna wskazała na delikatne kwiaty posadzone tak, że różowy, niebieski, purpurowy, biały i żółty kolor powtarzały się z wyjątkową regularnością.

- Czy widzi pan tę kępę białych kwiatów? Tę w rogu, przypominającą stado gołębi? Wstyd się przyznać, ale to po nich noszę imię. Nazywają się *Columbinus aquilegia*. A widzi pan tuż obok nich te purpurowe, z podługowatymi kielichami? To, jeśli pan sobie przypomina. *Petunia violacea*.

- Nie przypominam sobie nic podobnego, moja droga sawantko. I uważam, że to wyjątkowo nieuprzejmie z pani strony stroić sobie żarty z mojej ignorancji.

Ethan uśmiechał się szeroko. Widząc przekorną iskierkę w jego brązowych oczach, iskierkę, której już nigdy nie spodziewała się w nich zobaczyć, Colly przypomniała sobie chwile, jakie przeżyła z nim nie tak dawno. Uśmiechnęła się bezwiednie.

- To tylko takie powiedzenie, milordzie. Zapewniam pana, że nie chciałam...

- A niech to! - zawołał Ethan.

Uśmiech zniknął z jego twarzy tak szybko, że Colly zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem się jej nie przywidziało. Wiodąc wzrokiem za jego spojrzeniem ujrzała nadjeżdżającą z przeciwka elegancką czarno-srebrną dwukółkę. Siedząca w niej zażywna kobieta w średnim wieku zamachała do Ethana, a on posłusznie raz jeszcze zatrzymał niespokojne bułanki.

- Rodzina Montrose jest niewątpliwie gęsto reprezentowana na klombach, lecz moja stanowczo zbyt często pojawia się na drogach.

- Że co, przepraszam?

- Moja rodzicielka - odparł po prostu.

- Ethanie! - pozdrowiła go radośnie matka zatrzymując dwukółkę tuż obok ich powozu. - Jakie miłe spotkanie. Nie spodziewałam się ujrzeć cię

przed obiadem.

Choć Colly była ostatnią osobą, jaką Ethan chciałby przedstawić matce, sądząc po jej zaciekawionym spojrzeniu wpadłby w niezłe tarapaty, gdyby tego nie zrobił.

- Mamo, pozwól, że przedstawię ci pannę Sommes.

- Czyżbyś powiedział „Somes”?

Czy wszyscy krewni muszą reagować takim zdziwieniem na dźwięk nazwiska Colly? Choć Ethan usiłował dać matce do zrozumienia, by nie spodziewała się zbyt wiele po tym spotkaniu, starsza dama westchnęła z radością.

- Moja droga, kochana panno Sommes! Jakże miło mi panią poznać.

Przez następne kilka minut Colly nie wiedziała, jak ma się zachować. Chociaż lady Raymond była wyjątkowo uprzejmą kobietą, przejawiała co najmniej zadziwiająco zainteresowanie jej osobą. Podobnie jak jej brat, matka Ethana rzadko robiła przerwy na złapanie oddechu i w okamgnieniu, z dokładnością doświadczonego generała, poznała szczegóły z życia Colly i całej jej rodziny. Po tym przesłuchaniu pochwaliła urodę dziewczyny, styl ubierania się i doskonałe manieri.

Ale, co było najdziwniejsze, podczas rozmowy lady Raymond ocierała łzy koronkową chusteczką. Gdyby Ethan nie zapewnił jej, że tylko on i Harrison wiedzą o zerwanych zaręczynach, Colly mogłaby się założyć, że starsza pani patrzy na nią jak na przyszłą synową.

Ku wielkiej uldze dziewczyny mężczyzna siedzący w powozie za nimi zdenerwował się i zapytał, kiedy wreszcie ruszą i przestaną tamować ruch. Ethan pospiesznie pocałował matkę w rękę i oznajmił, że nie powinni już dłużej stać w miejscu.

- Oczywiście - zgodziła się lady Raymond uśmiechając się miło do Colly. - W obecnych czasach nie można już nawet spokojnie porozmawiać w parku. Panno Sommes, nalegam, by pani i jej ciotka przyłączyły się dziś do mnie w teatrze. Wtedy będziemy mogły porozmawiać do woli. Zamówiłam już łóżę w Haymarket.

- Ależ... - zaczęła Colly

- Bardzo proszę, panno Sommes. Nie przyjmę odmowy.

Nie mogąc wymyślić żadnej wymówki, która nie uraziłaby starszej pani, Colly poprosiła, by mogła najpierw porozmawiać z ciotką, a potem przesłać lady Raymond odpowiedź przez hotelowego służącego.

- Doskonały pomysł - zgodziła się lady Raymond. - Czekam z niecierpliwością na nasze ponowne spotkanie. - Kiedy woźnica dwukółki trzasnął z bata, pomachała mokrą chusteczką za oddalającym się powozem syna.

Przez chwilę Ethan patrzył tylko przed siebie. Gdy przemówił, w jego głosie dźwięczało zawstydzenie przemieszane z poirytowaniem.

- Wolałbym, żeby moi krewni bardziej przypominali kwiaty niż stado gadających papug. Colly, bardzo cię przepraszam za to przesłuchanie.

- Och, doprawdy nic się nie stało...

- Nie musisz czuć się zobowiązana do pójścia z nami do teatru.

Wyjaśnię matce, że miałaś już inne plany.

Podczas gdy Ethan kierował konie ku bramie parku, dziewczyna przyglądała się kwiatom i drzewom; nie była w stanie spojrzeć mu w oczy. Zastanawiała się, czy zdawał sobie sprawę z bezbronności kryjącej się w jego głosie. Kiedy kłócili się w bibliotece w Sommes Grange, sądziła, że nie chce, by wychodziła za jego brata, gdyż uważa jej rodzinę za gorszą od własnej. Teraz musiała podać ten sąd w wątpliwość. Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały na to, że Ethan pragnął jedynie uchronić brata przed nierozważnym krokiem i nie miały nic wspólnego z osobą jego wybranki. Może chodziło mu tylko o to, by Reggie dobrze się zastanowił; w takim wypadku nie mogła mieć do niego pretensji.

Jak wcześniej, jazda po zatłoczonych ulicach minęła im bez słowa. Tyle że tym razem Colly zupełnie nie czuła napięcia, gdyż już powzięła decyzję w sprawie brylantu Bradfordów. Dzięki spotkaniu z Delacourtem i lady Raymond lepiej poznała charakter Ethana i jeżeli po powrocie do

hotelu poprosi ją o zwrot pierścienia, wyjaśni mu wszystko bez ogródek i bez obawy, że jakiegokolwiek plotki splamią dobre imię Gilly. W ten sposób sama pozbędzie się roli odtrąconej kochanki, nawet jeżeli miało to oznaczać, że Ethan urwie jej głowę za wprowadzenie go w błąd.

Jednak on nie wspomniał ani słowem o pierścieniu, Colly nie przyznała się do kłamstwa, a o skręcaniu komukolwiek karku nie było mowy. Choć dla spokoju ducha Colly lepiej by było, gdyby Ethan naprawdę urwał jej głowę, niż wyprowadził ją z równowagi w najmniej oczekiwany sposób.

Lord Raymond zatrzymał bułanki przed hotelem, rzucił lejce służącemu i obrócił się na siedzeniu, by pomóc wysiąść swej towarzyszce. Gdy wyciągał ku niej rękę, nerwowe konie spłoszyły się i gwałtownie szarpnęły powozem pozbawiając Colly równowagi.

Nie znalazłszy żadnego oparcia, przerażona perspektywą znalezienia się pod kopytami, mogła tylko podziękować losowi, że anioł stróż wpadł na nią z przerażającą szybkością i rzucił z powrotem na siedzenie. Kiedy usiłowała odzyskać oddech, jej anioł stróż okazał się istotą z całą pewnością ziemską, o mocnych ramionach i umięśnionych udach.

Z trudem powstrzymując przekleństwa, Ethan powoli podniósł się i odstąpił o krok. Wsiadłszy z powozu, zaskoczył dziewczynę obejmując ją w talii i lekko stawiając na ziemi. Nie czekając ani chwili, by się przekonać, czy może stać sama, wziął ją w ramiona i wniósł do hotelu.

Rozdział ósmy

Dopiero teraz przyszła reakcja na wypadek i Colly drząc oparła głowę na szerokim ramieniu Ethana. Nie mogąc się powstrzymać, objęła go i przytuliła się. Wybawca w odpowiedzi mocniej przycisnął ją do piersi. Colly czuła, że chętnie zgodzi się na jeden wypadek dziennie, byleby na jego zakończenie Ethan brał ją w ramiona i przytulał tak jak teraz.

- Colly - szepnął cicho tuż przy jej uchu. - Czy ja...

- Colly! Och, moje dziecko! - Panna Montrose poderwała się z fotela w salonie i pobiegła przez hol do siostrzenicy. - Lordzie Raymond, co się stało?

- Niewielki wypadek, panno Montrose. Nie sądzę, by pani siostrzenicy stało się coś poważnego, ale może będzie lepiej, jeżeli na wszelki wypadek zbada ją doktor.

- Bzdura! - Colly wreszcie odzyskała głos. - Zapewniam was, że tylko trochę się wystraszyłam. Nic mi się nie stało. Wszystko będzie w porządku, gdy tylko złapię oddech.

Podnosząc głowę, Colly zaczęła się wiercić w ramionach Ethana dając mu tym samym do zrozumienia, że może już postawić ją na ziemi. On na szczęście zignorował ten sygnał i przytrzymał ją mocniej prosząc pannę Montrose, by poszła przodem. Nikt nie słuchał jej protestów, Colly poddała się tak wdzięcznie, jak mogła, i położywszy głowę na ramieniu Ethana pozwoliła się zanieść do pokoju.

Błagam, porzućmy wreszcie ten temat - prosiła Colly zaczerwieniona ze wstydu. Bardzo nie lubiła znajdować się w centrum uwagi. Musiała podnieść głos, by ktokolwiek usłyszał jej słowa. Towarzystwo w loży dyskutowało zawzięcie o sztuce, a miłośnicy teatru poniżej także nie zwracali uwagi na farsę przedstawianą na scenie teatru Haymarket. -

Jestem pewna, ciociu Pet, że lady Raymond o wiele bardziej będzie zainteresowana twoimi popołudniowymi przygodami z księżniczką.

Panna Montrose z wdzięcznością podjęła temat poruszony przez siostrzenicę. Wkrótce uwaga wszystkich skupiła się na starszej pani i jej opowieści o nieustającym ciągu gości przybywających tego dnia do hotelu Grillon, by złożyć wyrazy uszanowania księżniczce Adelaidzie i jej matce, księżnej Eleonorze. Podczas gdy ciotka zabawiała towarzystwo opowieściami z życia wyższych sfer, Colly zmuszała się do patrzenia tylko na swój jasny wachlarz, dopasowany kolorem do wieczorowej sukni w kolorze morwy, pożyczonej od matki.

Nie odważyła się spojrzeć w przeciwny róg łoży, gdzie siedział Ethan, w obawie, że będzie mógł wyczytać z jej oczu wszystko, co kryje się w sercu. Odkąd wyszedł z hotelu, dziewczyna nie była w stanie na niczym skupić uwagi przez więcej niż dwie minuty. To znaczy, na niczym oprócz wspomnienia potężnych ramion obejmujących ją opiekuńczo, oszałamiającego zapachu jego ciemnej skóry i ciepła promieniującego na samą myśl o tym, jak tulił ją do siebie.

...i nie zawaham się powiedzieć pani, lady Raymond, że z wielkiego podniecenia omal nie straciłam równowagi dygając przed jego książęcą wysokością. To było doprawdy ponizające! Żeby łapać się poręczy fotela, by nie paść przed człowiekiem, który niedługo może zostać naszym królem. - Panna Montrose zaśmiała się cicho, a słuchacze zawtórowali jej. Najwyraźniej bardzo spodobała się im historyjka opowiedziana przez starszą panią. - Zachowałam się jak najgorsza prostaczka, lecz jego wysokość był nad wyraz łaskawy i nawet kiwnął głową w moją stronę, zanim poszedł dalej.

- Tak, nasz książę jest niewątpliwie czarującym człowiekiem - rzekł Harrison. - Zastanawiam się tylko, czy następca tronu był jedynym członkiem rodziny, który złożył wizytę księżniczce.

Colly usłyszała stłumiony chichot Ethana i przypomniała sobie, że Harrison niedawno założył się z ciotką, jak prędko książę Clarence zerwie

zaręczyny.

- Zachowuj się. Winny - upomniął Ethan przyjaciela.

- Ależ nie - odrzekła panna Montrose nie zdając sobie sprawy, że zainteresowanie młodego człowieka dotyczy raczej spraw finansowych niż romantycznych. - Niedługo po przybyciu księcia regenta pojawił się książę Clarence.

Harrison z rozbawieniem uderzył się po kolanie.

- Wreszcie, na miłość boską! Nazwijmy to „dniem pierwszym”.

Ethan, drogi chłopcze, będziesz moim świadkiem. Założę się, że trójka będzie szczęśliwą cyfrą.

Zapominając o wszelkiej ostrożności, Colly odwróciła się z uśmiechem na ustach skierowanym do mówiącego te słowa Harrisona. Jednak w tej samej chwili zdała sobie sprawę, że nietaktem byłoby nie uśmiechnąć się do jego, siedzącego obok, przyjaciela.

I trudno się dziwić, że szarozielone oczy zatrzymawszy się na brązowych już tam pozostały.

Z rozmarzenia wyrwał ją czyjś głos.

- Tak? - zapytała speszona.

- Panno Sommes - rzekła lady Raymond. - Właśnie mówiłam panie Montrose, że wszystkie zaręczyny... królewskie czy inne... uważam za bardzo interesujące. Czy zgadza się pani ze mną?

Z jakiegoś dziwnego powodu Colly poczuła, że się rumieni.

- Zaręczyny, proszę pani? Nigdy specjalnie się nad tym nie zastanawiałam.

- Ależ, moja droga, przecież wszystkie młode dziewczęta marzą o własnych zaręczynach - powiedziała matka Ethana, po czym dodała konspiracyjnym szeptem: - Podobnie jak o dżentelmenie, którego chciałyby poślubić.

- Zapewniam panią, że ja się do takich dziewcząt nie zaliczam.

Colly poczuła, że robi się jej dziwnie gorąco, więc zaczęła się energicznie wachlować. Podmuch wprowadził w szalony taniec delikatne

loczki, którym udało się wymknąć spod spinek misternej fryzury.

Lady Raymond zmieniła temat, lecz uśmiechnęła się tak tajemniczo, że Colly poczuła się jeszcze bardziej nieswojo. Wachlowała się coraz gwałtowniej, lecz zanim udało jej się połamać delikatną konstrukcję, Ethan dotknął jej ramienia i zapytał, czy miałaby ochotę się przejść podczas przerwy.

- Oczywiście - zgodziła się i wstała. - Bardzo chętnie rozprostuję nogi.

Zarówno Ethan, jak i Harrison podnieśli się natychmiast, lecz żaden z nich nie miał sumienia poinformować dziewczyny, że przerwa jeszcze się nie zaczęła. Podczas gdy Harrison przesunął się, aby Colly mogła przejść do wyjścia, Ethan ujął ją pod łokieć i wyprowadził z łoży, na szczęście nie zdając sobie sprawy z uśmiechów, jakie wymieniły panna Montrose i lady Raymond.

Ku wielkiej uldze dziewczyny Ethan natychmiast zaczął rozmowę o przedstawieniu i podtrzymywał ten temat podczas przechadzki. Dopiero gdy doszli do końca korytarza i musieli zawrócić, powiedział:

- Zapewne zastanawiasz się nad ostatnią uwagą matki.

Colly poczuła, że się rumieni.

- Ależ skąd, milordzie. Właściwie już o tym zapomniałam.

Ethan zaskoczył ją zatrzymując się w pół kroku i odwracając ku niej.

- Coś mi się zdaje, że nie jesteś ze mną szczerą, moja droga.

Ostatnim razem, kiedy widziałem cię wachlującą się z takim wigorem, dawałaś małe przedstawienie... tak zdaje się to nazwałaś.

Colly dostrzegła łobuzerski uśmiech igrający w kącikach jego ust i rozbawione błyski rozjaśniające brązowe oczy.

- Ja? - zapytała podnosząc na niego wzrok i trzepocząc rzęsami jak tego wieczoru w Sommes Grange, gdy grali w szachy. - Mój drogi panie, zapewniam, że pomylił mnie pan z jakąś inną damą, gdyż nie przypominam sobie nic podobnego.

- Selektywna pamięć musi bardzo ułatwiać życie - zauważył Ethan

ujmując ją pod łokieć.

- Czyżby uważał mnie pan za prostą dziewczynę? - zapytała, czując na ramieniu jego mocną dłoń. - To bardzo nieładnie z pana strony.

Najpierw oskarża mnie pan o nieszczerłość, a teraz doszło już do tego, że jestem prostytutką. Jakiego komplementu mam się spodziewać następnym razem? Że jestem posłuszna?

- Ależ skąd, droga pani, jeżeli chodzi o to, ma pani język cięty jak zawsze. Ośmielę się jednak zauważyć, że jest pani jak gład.

- Tym razem przyjmę to jako komplement i podziękuję panu uprzejmie. Mam nadzieję, że miał pan na myśli szlachetny kamień, który nasi bracia z Bliskiego Wschodu bardzo cenią. Muszę jednak z żalem poinformować pana, że nie mam żadnych właściwości leczniczych.

Ethan odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął głośnym śmiechem.

- No nie, ma pani raczej właściwości przyprawiania ludzi o ból głowy. Gdybym był pani narzeczonym, kusiłoby mię...

- A niech mnie, Raymond! - zawołał Philomen Delacourt, nie dając Ethanowi dokończyć bardzo ciekawej myśli, co by zrobił, gdyby był zaręczony z Colly, i niweczając gorące życzenie niedoszłej narzeczonej, by znalazł się jak najdalej stąd.

- Cieszę się, że znowu cię widzę, Raymond. I panią, panno Sommes - dodał uprzejmie. - Najpierw widuję cię raz w roku, a teraz spotykamy się po raz drugi jednego dnia. Pomyśl tylko, jakie to dziwne.

- Bardzo - odparł sucho Ethan.

Jakby była to oczywista kolej rzeczy, Delacourt przyłączył się do młodej pary i przez następne kilka minut gadał bez chwili przerwy i słowa zachęty ze strony oniemiałych słuchaczy. Colly mogła tylko zgadywać, jak długo starszy pan mógłby mówić bez zatrzymania, gdyż w pewnym momencie jego monolog przerwało nadejście lorda i lady Sadgewick oraz młodej dziewczyny, której uroda najwyraźniej pozbawiła mówcę tchu.

- Dobry wieczór - przywitał się Ethan pochylając się najpierw nad dłonią lady Sadgewick, a potem odwracając się do pięknej dziewczyny. -

Lady Sadgewick, milordzie, domyślam się, że już poznaliście pannę Sommes na wczorajszym wieczorku muzycznym. Panno Pilkington, proszę mi pozwolić przedstawić pannę Sommes.

Colly kiwnęła głową lady i lordowi Sadgewick, po czym uśmiechnęła się do czarnowłosej ślicznotki, która ledwo skinąwszy jej głową zwróciła całą uwagę na Ethana.

- Lordzie Raymond - rzekła z czarującym uśmiechem. - Jak miło znowu pana widzieć. Mam nadzieję, że zobaczę pana na balu, jaki wydaje we wrześnie ciocia Aurelia na moją cześć.

Ethan zdołał wysmażyć jakąś enigmatyczną odpowiedź, jak to czas jest panem, a nie sługą człowieka, lecz młoda dama najwyraźniej przyjęła ją jako definitywne potwierdzenie.

- Jak to miło z pana strony, milordzie. Zarezerwuję dla pana pierwszego walca.

Choć Ethan zaledwie uśmiechnął się w odpowiedzi na zaproszenie ślicznotki, Colly poczuła nagle ochotę wytargać kogoś za uszy. Nie zdecydowała się jeszcze czyje, gdy Ethan pożegnał młodą damę wyjaśniając krótko, że przerwa zaraz się skończy, a oni już dawno powinni wrócić do towarzystwa.

Kiedy szli spokojnym krokiem w stronę łoży, Delacourt znowu zdominował rozmowę, przerywając sobie od czasu do czasu na krótką chwilę, by odpowiedzieć na pozdrowienia znajomych. Jednak tym razem Colly była mu wdzięczna. Nawet gdyby jej życie od tego zależało, nie potrafiłaby wykrztusić z siebie jednego słowa, gdyż właśnie mocowała się z nowym i bardzo potężnym uczuciem. Czyżby była to zazdrość? Jeżeli tak, to nie chciała mieć z tym nic wspólnego.

Harrison wstał na ich powitanie i wymienił zdawkowe grzeczności z wujem Ethana.

- Czy to naprawdę ty, Philomenie? - zapytała lady Raymond. - Nigdy bym się nie spodziewała, że cię tu zastanę.

- Wcale nie zamierzam zostać, Phoebe. Właściwie nawet nie

zamierzałem tu przyjść. Chyba jeszcze nie doszedłem do siebie po spotkaniu tej małej Pilkingtonów. Doprawdy piękna kózka. Szkoda, że musiała odłożyć debiut o rok z powodu żałoby, gdyż teraz będzie miała niezłą przeciwniczkę w młodej panie Sommes. - Odwrócił się do Colly z porozumiewawczym uśmiechem. - Jestem naprawdę ciekaw, jak zareaguje panna Pilkington spotkawszy pani siostrę, panno Sommes. - Starszy pan zaśmiał się, po czym dodał: - A tak przy okazji, zupełnie nie pamiętam, jak ona ma na imię.

Colly, która właśnie zajęła miejsce z przodu łoża, udała, Izę zainteresowało ją coś w przeciwległym balkonie. Nic to jednak nie dało, gdyż panna Montrose pospiesznie odpowiedziała za nią.

- Moja młodsza siostrzenica nazwana została na cześć Geranium, lecz my zawsze mówiliśmy na nią Gilly.

Ponad harmidrem głosów dobiegających z sali poniżej Colly usłyszała, jak Ethan gwałtownie łapie powietrze.

- Gilly? - zapytał Harrison. - Na miłość boską, Ethanie, czy to nie przypadkiem imię, które Reggie napis... Niech to szlag - zamruczał cicho do siebie. - Nie musiałeś nadeptywać mi na palce, drogi chłopcze.

Colly nie miała pojęcia, co zdarzyło się w czasie ostatniego aktu farsy, lecz jedno było pewne - ta przeklęta sztuka ciągnęła się w nieskończoność. Myślała tylko o tym, że teraz już Ethan wie, że nie jest dziewczyną, z którą zaręczył się jego brat. Żałując, że sama nie powiedziała mu prawdy, była pewna, że będzie nią gardził jako kłamczuchą, nawet jeżeli jej chęci były jak najlepsze.

Wreszcie kurtyna opadła i całe towarzystwo udało się powozem do hotelu. Tymczasem Colly, która bez przerwy wspominała swe błędy, dostała potwornej migreny. Niczego bardziej nie chciała, niż położyć głowę na poduszce i wypłakać wszystkie łzy, które już od tak dawna gromadziły się pod powiekami. Niestety, ucieczka nie była możliwa, dopóki wraz z panną Montrose nie podziękowały lady Raymond za

zaproszenie do teatru.

Spełniwszy ten obowiązek, Colly pozwoliła Ethanowi odprowadzić się do drzwi hotelu, lecz nie była w stanie zmusić się do spojrzenia mu w oczy. Zdawało się, że lord Raymond nie ma podobnych oporów.

Nachylając się, by pocałować jej dłoń, szepnął, że chce ją odwiedzić następnego dnia.

- I spodziewam się, że mnie pani przyjmie - rzekł niebezpiecznie cichym głosem, w którym czał się gniew. - Jest mi pani winna choć tyle.

Dziesięć minut później, kiedy już zapaliły wraz z ciotką świece i udały się do sypialni, Colly przekonała się, że nie będzie jej dane spokojnie odpocząć. Nie zdążyła jeszcze nacisnąć klamki w drzwiach, kiedy usłyszała przeraźliwy krzyk. Zanim rozległ się następny, Colly zdążyła już przebiec przez salon i otworzyć drzwi do sypialni ciotki. Pokój tonął w ciemnościach.

- Ciociu Pet? Co się stało?

- Colly? - zapytał ktoś przerażonym głosem. - Czy to naprawdę ty?

- Mama?

Z mocno bijącym sercem dziewczyna weszła do pokoju i uniosła wysoko świecę. Jej oczom ukazał się przedziwny widok - dwie starsze panie z przerażeniem wypisanym na twarzach siedziały po przeciwnych stronach łóżka. Jedna, ubrana tylko w nocną koszulę, przyciskała do piersi poduszkę, jakby to mogło ją obronić przed złoczyńcami, którzy zakradli się do sypialni w środku nocy. Druga, całkowicie ubrana, trzymała w dłoni zgaszoną świeczkę.

Panna Montrose pierwsza odzyskała głos.

- Violet, wystraszyłaś mnie śmiertelnie.

- Ja wystraszyłam ciebie? - odrzekła z oburzeniem matka Colly. - To nie ja weszłam do twojej sypialni i zdarłam z ciebie kołdrę. Myślałam, że ktoś wkradł się do pokoju, by mnie zamordować.

- Świeczka mi zgasła - rzekła panna Montrose. - Nie spodziewałam się, że ktoś będzie leżał w łóżku.

- To jest mój pokój - odparła lady Sommes. - Gdzieżbym miała być?

- Dobrze pytanie - wtrąciła się Colly. - Gdzie ty właściwie byłaś, mammo?

- Gilly i ja zostałyśmy zaproszone na... - Przerwała nagle, gwałtownie łapiąc powietrze. - Colly! Twoja suknia! Jest identyczna jak ta w kolorze morwy, którą niedawno kazałam sobie uszyć. - Nagle podejrzliwa lady Sommes przesunęła się do córki, by przyjrzeć się jej dokładniej. - Ależ to jest moja nowa suknia. Nie mów mi tylko, że już zdążyłaś pochwalić się nią na mieście. Jak mogłaś być tak bezmyślna? Kazałam uszyć ją specjalnie z myślą o przyjęciu, jakie zamierzałam wydać w czasie sezo...

- To teraz nieważne, Violet - przerwała jej panna Montrose. - Wiem, że naruszyłam twój spokój, lecz pozwól, że porozmawiamy o tym przy śniadaniu. Wtedy będziesz mogła nas besztać ile dusza zapragnie.

Z mało uprzejmym mruknięciem lady Sommes wgramoliła się z powrotem pod kołdrę i naciągnęła ją pod samą szyję.

- Mammo, czy Gilly jest tu z tobą? - zapytała Colly.

- Oczywiście, że nie, głuptasie. Byłam w pokoju sama, dopóki ciocia Pet tu nie wpadła i nie wystraszyła mnie tak, że pewno już nie zasnę.

- Pytałam, czy Gilly jest w tym hotelu.

- Twoja siostra już od dawna leży w łóżku. Chociaż zastanawiam się, jak też zdołała przespać te awantury.

- Colly - odezwała się panna Montrose tonem nie znoszącym sprzeciwu. - Domyślam się, że twoja mama jest równie zmęczona jak ja, więc zapal, proszę, moją świeczkę od swojej i biegnij do łóżka. Postaraj się tylko nie wystraszyć Gilly. Chyba starczy nam emocji na jeden raz.

- Tak, ciociu.

Posłusznie zapalając świeczkę, Colly pocałowała starszą panią w policzek, po czym obeszła łóżko i nachyliła się nad matką. Pocałowawszy ją, rzekła na odchodnym:

- Zapewniam cię, mammo, że suknia jest cała...

- Mam nadzieję, gdyż kazałam ją uszyć specjalnie...

- Dobranoc - powiedziała panna Montrose, nieomal wypychając siostrzenicę z sypialni.

Colly z ulgą wyszła z pokoju matki, lecz nie miała zamiaru udawać się do łóżka, zanim nie porozmawia poważnie z pewną młodą panną o wyjątkowo małym rozumku. Z tym mocnym postanowieniem przeszła przez mały salonik i znalazła się w sypialni po przeciwnej stronie.

Schludny pokój, który dziewczyna opuściła zaledwie kilka godzin wcześniej, nosił wyraźne ślady pobytu Gilly. Śliczna różowa suknia podróżna leżała zapomniana na podłodze, pakunki rozrzucone były na szafkach i stołeczkach, a ich zawartość wałała się po całym pokoju. Szuflady mahoniowej szafy pozostały otwarte, zwiślały z nich pończochy i inne drobiazgi.

Colly przez chwilę zastanawiała się, co też opętało Noreę, pokojówkę Gilly, by zostawić taki bałagan, po czym postawiła świeczkę na komodzie i podeszła do smukłego kształtu przykrytego grubą pierzyną. Odsunęła na bok pudełko czekoladek, książkę pani Edgeworth i narzutkę, która najwyraźniej dopiero co została nabyta u modystki, i usiadła na krawędzi łóżka.

- Gilly - rzekła, delikatnie poklepując kształt pod kołdrą.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, potrząsnęła siostrą nieco mocniej.

- Gilly, obudź się. Musimy porozmawiać.

W odpowiedzi dziewczyna zamruczała coś niezrozumiałego i odwróciła się twarzą do ściany. Nie będąc w najłagodniejszym nastroju, Colly odrzuciła kołdrę i mocno potrząsnęła ramieniem siostry.

- Gilly, obudź się w tej chwili. Chcę porozmawiać z tobą, zanim ta noc dobiegnie końca. Będziemy razem spać, więc bardzo bym nie chciała być zmuszona do polania cię zimną wodą, jednak zrobię to, jeżeli będę musiała.

Gilly otworzyła jedno oko.

- To ty, Colly? Co się stało?

- Jeszcze pytasz! - parsknęła siostra. - A teraz obudź się wreszcie, gdyż muszę wiedzieć, co zrobiłaś z pierścieniem.

Śliczna Gilly odsunęła z twarzy grzywę falistych blond włosów i otworzyła oczy. Były jasnobłękitne i z pewnością każdy zauroczony chłopiec porównywał je do migoczących szafirów. Nawet teraz, gdy dziewczyna została wyrwana ze snu, nie straciły swego blasku.

- Co zrobiłam z pierścieniem? Colly, jeżeli zgubiłaś jakiś głupi pierścionek, zapewniam cię, że nie miałam z tym nic wspólnego. Czy muszę ci przypominać, że nie jestem już dzieckiem buszującym w rzeczach starszej siostry? Poza tym uważam, że nie powinnaś budzić mnie w środku nocy tylko dlatego, że zgubiłaś jakieś świecidełko, którego równie dobrze można by poszukać ra...

- Chodzi mi o pierścień zaręczynowy! - Colly omal nie krzyknęła, znowu potrząsając siostrą. - I nie usiłuj mnie zwieść udając, że nic nie rozumiesz. Wiem wszystko o twoich idiotycznych zaręczynach.

Gilly aż usiadła na łóżku. Jej błękitne oczy otworzyły się szeroko.

- Zaręczynach? Ja nigdy... - Nie dokończyła zdania, kiedy w jej oczach błysnęło zrozumienie. - A, o to ci chodzi. Oj, Colly, to nie było nic takiego. A tak w ogóle, to jak się o tym dowiedziałaś?

- Tak się jakoś zdarza - rzekła Colly przez zaciśnięte zęby - że sekrety dotyczące zaręczyn wiejskich panien z baronami nigdy nie zostają sekretami zbyt długo. A teraz powiedz mi, zanim stracę resztki cierpliwości, gdzie jest brylant Bradfordów?

Rozdział dziewiąty

Ależ do głowy mi nawet nie przyszło, że brylant mógłby być prawdziwy - zawodziła Gilly. - Naprawdę, Colly. Był wielkości orzecha włoskiego i właściwie wcale nie aż taki znowu piękny. Myślałam, że to tego typu świecidełko, jakie można kupić na każdym jarmarku. Poza tym - dodała pannica unosząc dumnie podbródek - chyba zdajesz sobie sprawę, że nigdy nie wzięłabym prawdziwego pierścienia od młodzieńca, którego poznałam zaledwie dwa dni wcześniej.

Jeżeli w ten sposób Gilly chciała uspokoić siostrę, to nie bardzo jej to wyszło.

- Czyś ty już całkiem postradała rozum?! Czy w ogóle nie zależy ci na reputacji?

Gilly wzruszyła ramionami.

- Ależ kto by się o tym dowiedział? To był tylko żart. Nawet już nie pamiętam, jak on miał na imię. To był jakiś przyjaciel brata Ione Kittridge. Pamiętasz Ione? Chodziłyśmy razem na pensję panny Tilson.

- Ten młodzieniec nazywał się Bradford - rzekła sztywno Colly. - Reggie Bradford.

Młodsza siostra przytaknęła energicznie; gęste jasne włosy zafalowały.

- To brzmi znajomo. Jeżeli twierdzisz, że tak się nazywał, to ci wierzę. Właściwie rzadko go słuchałam. Mówił same głupstwa... nonsensy o awanturach, w jakich on i pan Kittridge brali udział po ukończeniu Eton. Bardzo mnie to nudziło.

Colly miała ochotę raz jeszcze potrząsnąć swą piękną siostrą.

- Jeżeli uważałaś go za takiego nudziarza, dlaczego przyjechałaś od niego pierścień zaręczynowy? Dlaczego pozwoliłaś, by ci się oświadczył?

- Chciałam nabyć doświadczenia - odrzekła po prostu dziewczyna.

- Co takiego?!

Gilly podwinęła nogi pod siebie i usiadła wygodniej na łóżku.

- Colly, chcę jak najwięcej zyskać na tym sezonie. Chcę być na każdym balu, przetańczyć każdy taniec i flirtować z każdym napotkanym mężczyzną. Chcę się cieszyć każdą chwilą, gdyż do czasu powrotu do Sommes Grange będę już pewno zaręczona.

Zaniepokojona tym oświadczeniem Colly ujęła siostrę za rękę.

- Wcale nie potrzebujesz się spieszyć - poradziła łagodnie. -
Poczekaj, aż spotkasz kogoś, kto poruszy twoje serce.

- Oczywiście, że tak będzie, gąsko. - Gilly zaśmiała się. - Wybierając z najprzystojniejszych mężczyzn Anglii, na pewno któregoś polubię. A kiedy mężczyzna, którego pokocham, zjawi się u mych drzwi błagając o moją rękę, będę wiedziała, jak się zachować, gdyż wszystko już przećwiczyłam z panem Brimfordem.

- Bradfordem - poprawiła ją Colly wzdychając z rezygnacją. Równie dobrze mogłaby uczyć świnię fruwać. Miałoby to ten sam efekt, co informowanie Gilly, że ten sezon może się skończyć dla niej trochę inaczej, niż to sobie zaplanowała. - Myślę, że powinnyśmy odłożyć tę rozmowę na jakiś inny dzień. Najchętniej, kiedy nie będzie mnie boleć głowa i kiedy nie będzie mi się aż tak chciało spać. - Zsunęła się z łóżka i zaczęła przetrząsać pokój w poszukiwaniu nocnej koszuli. - Chcę wstać jutro rano bardzo wcześnie i oddać pierścień lordowi Raymond, zanim sam się tu zjawi i zacznie awanturę. Skoro ty nie zamierzasz wstawać tak wcześnie, lepiej by było, gdybyś dała mi go teraz, abym nie musiała cię rano budzić. Nie masz pojęcia, ile mnie to wszystko trudu kosztowało ani jak bardzo chcę się pozbyć tego przeklętego przedmiotu.

- Ależ, Colly - rzekła Gilly wyciągając do siostry dłonie, na których nie było pierścienia. - Nie mogę ci go dać.

Colly poczuła, że ogarnia ją przerażenie.

- Dlaczego? - Jej wargi ledwie się poruszyły.

- Ależ dlatego, że już go nie mam. Oddałam go.

- Odda... - Colly zmusiła się do zachowania spokoju. - Komu go oddałaś?

- Norze. Bałam się, że kiedy mama go zobaczy, da mi w skórę, więc oddałam go Norze. Bardzo się jej podobał.

Czując się jak Damokles z mieczem wiszącym nad głową, Colly raz jeszcze rozejrzała się po pokoju.

- Dlaczego Nora tu nie posprzątała?

- Bo jej tu nie ma - odpowiedziała radośnie Gilly.

W tej chwili Colly, której cierpliwość się skończyła, zagroziła siostrze, że za chwilę wygarbuje jej skórę i zmusiła do opowiedzenia całej historii od początku.

Na widok miny Colly w oczach Gilly pojawiły się łzy.

- Byłyśmy z mamą już zmęczone tymi wszystkimi zakupami i nie kończącymi się podróżami do modystek na przymiarki, więc kiedy pani Kittridge... babcia Ione... zaproponowała nam wyjazd na kilka dni na wieś, mama od razu się zgodziła. To jest naprawdę bardzo piękne miejsce, całkiem niedaleko. Nawet trochę przypomina Sommes Grange. Jestem przekonana, że bardzo by ci się tam podoba...

- Przestań trajkotać, Gilly. Gdzie jest Nora?

- Zostawiłyśmy ją w Aymesley. Pani Kittridge, matka Ione, nie przyjechała, by pomóc jej w kupowaniu sukien, dlatego że młodsze dzieci mają ospę. A przecież wiesz, jak Nora potrafi radzić sobie z dziećmi... no i zawsze wie, kiedy trzeba choremu dać pić czy wygładzić poduszkę. Więc gdy pani Kittridge prawie na kolanach błagała mamę, by pozwoliła Norze zostać, mama w końcu się zgodziła. Ale nie ma się o co martwić - dodała dziewczyna naiwnie. - W hotelu jest mnóstwo pokojówek i zapewniam cię, że nie zatęsknimy prędko za Norą.

- Ja już za nią tęsknię - mruknęła Colly rozglądając się po zaśmieconym pokoju. - Jak daleko jest stąd do Aymesley?

- Mniej niż dwie godziny drogi. Nie potrafię powiedzieć ci nic więcej, gdyż pani Kittridge ciągle kazała zatrzymywać powóz, żebyśmy

mogły wsiąść i zobaczyć jakieś okropne stare kamienie i ruiny, które podobno są bardzo ważne. Tak jakby nas to cokolwiek obchodziło. Mówię ci, Colly, jeszcze nigdy się tak nie wynudziłam.

Colly zignorowała niechęć na twarzy siostry.

- Mniej niż dwie godziny, tak? Jesteś pewna?

- No, nie bardzo pewna, gdyż przez większość czasu spałam. Ale to nie tak daleko. Dlatego właśnie matka Ione powiedziała, że możemy czuć się zaproszone, kiedy tylko przyjdzie nam ochota przyjechać. - Gilly przyjrzała się starszej siostrze. - Dlaczego pytasz?

- Dlatego - odparła Colly myśląc o grożącej jej rozmowie z Ethanem - że chcę go mieć w swych rękach, zanim Eth... to znaczy, zanim się skończy jutrzejszy dzień.

Jak się okazało, dobre chęci Colly zniweczył zły los. Następnego ranka niebo otworzyło się nad Londynem i wypuściło tak potężne strugi wody, że ulice były dostępne tylko dla marynarzy i kaczek. Colly nie była ani marynarzem, ani kaczką, musiała więc odłożyć wyjazd do Aymesley. Modliła się, by Ethanowi także nie chciało się wychodzić z domu w taką pogodę, lecz szybko się przekonała, że nie doceniła jego lordowskiej mości.

Można nawet powiedzieć, że nie doceniła wielu mężczyzn ze wspaniałej stolicy, gdyż tego ranka wielu dżentelmenów przewinęło się przez ich salon. Tylko lady Sommes się nie pojawiła, tłumacząc się bólem głowy spowodowanym bezmyślnym nadwreżeniem jej nerwów poprzedniego wieczoru.

Pierwszym przemoczonym gościem okazała się serdeczna przyjaciółka Gilly - panna Ione Kittridge. Była to dziewczyna o dość pospolitej twarzy, nie mająca nawet połowy urody Gilly i jeszcze mniej inteligencji. Ubrana w jasnożółtą spacerową suknię, której trzy czwarte zakrywał również żółty płaszczyk, siedząc obok Gilly ubranej w prostą poranną suknię z błękitnego jedwabiu, nie stanowiła żadnej konkurencji dla

błękitnookiej i złocistowłosej urody przyjaciółki.

Niestety, największą wadą młodej dziewczyny był fakt, że w porównaniu z nią Gilly tryskała intelektem. Kiedy Colly poprosiła o wskazówki dotyczące drogi prowadzącej do jej domu, wyjaśniając, że pewien rodzinny klejnot został nieopatrznie powierzony Norze, pannica nie była w stanie wiele jej pomóc.

- Przecież to Tom, nasz woźnica, zawsze powozi! Ale jeżeli chcesz tam pojechać, to Tom będzie wracał, gdy tylko pozwoli mu na to pogoda, i mógłby cię podwieźć.

- Jak to miło z twojej strony - powiedziała Gilly uśmiechając się do przyjaciółki, a potem do siostry. - W szkole zawsze mogłam liczyć na Ione. Potrafiła znaleźć najlepsze wyjście z każdej sytuacji.

Nie trzeba było wiele wyobraźni, by zacząć się zastanawiać, jak te kozy zdołały dożyć do swego debiutu. Nie będąc w nastroju do tolerowania głupoty, Colly odrzekła szybko:

- Gilly ma wiele szczęścia, że jest pani przyjaciółką, panno Kittridge, gdyż zapewne często ratowała ją pani od konsekwencji jej własnej głupoty.

Widząc nic nie rozumiejące spojrzenie dziewczyny, Colly poczuła wyrzuty sumienia, że dała się sprowokować nie uzbrojonemu przeciwnikowi. Panna Kittridge nie miała żadnego udziału w jej problemach, nie powinna więc na niej wyładowywać złości. Podobnie bezsensowne było okazywanie niezadowolenia nie tak znowu niewinnej Gilly, która najwyraźniej już zdążyła zapomnieć, że to ona rozpętała całą awanturę. Równie dobrze można by wołać na puszczy.

Colly doszła do wniosku, że nic nie zyska pozostając w towarzystwie dwóch niezbyt rozbawionych pannie, podziękowała pannie Kittridge za pomoc i wyszła z pokoju pod pretekstem napisania listu. Prawdę mówiąc, zapomniała o nim, jak tylko wyszła z salonu. Resztę czasu spędziła w swym pokoju leżąc na łóżku i patrząc w sufit. Zastanawiała się, jak zdoła dotrzeć do Aymesley, zanim u jej drzwi zjawi się Ethan domagający się rozmowy.

Kiedy po jakimś czasie wróciła do salonu, zdziwiła się zastawszy tam nie tylko siostrę, ciocię Pet i pannę Kittridge, ale także Harrisona i lorda Raymond. Dwie dziewczyny siedziały cichutko na różowej kanapie i przysłuchiwały się - zapewne nie rozumiejąc ani słowa - rozmowie, której ton nadawali panna Montrose i Harrison.

Nie od razu Colly zauważyła Ethana, gdyż stał przy oknie wyglądając na zalaną deszczem ulicę Albemarle. Odwrócił się dopiero, gdy Harrison powitał ją radośnie.

Posłał jej ironiczny uśmiech mówiący aż nazbyt wyraźnie, że czekał na nią, i to niezbyt cierpliwie. Poczła nagły dreszcz przebiegający jej po plecach, lecz nie chcąc mu okazać, jak bardzo obawiała się tego spotkania, uniosła podbródek i odwzajemniła spokojnie jego uśmiech. Gdyby tylko wiedziała, jakie wywarł wrażenie na Ethanie, z pewnością poczułaby się o wiele lepiej.

Zdawało mu się, że poraził go grom i pozbawił zmysłów na tyle, że niemal zapomniał, dlaczego przyjechał tu w tak paskudny dzień. Właściwie i tak nie miało to wielkiego znaczenia, gdyż salonik pełen ludzi z pewnością nie był dobrym miejscem do poufnej rozmowy.

- Jak miło panią widzieć, panno Sommes - powitał Colly radośnie Harrison ustępując jej miejsca. - Właśnie opowiadałem panie Montrose i panią Sommes o wspaniałych wystawach w ogrodach Vauxhall.

Colly, zadowolona z każdego tematu innego niż ten, z którym przyszedł tu Ethan, przyłączyła się do towarzystwa i opowiedziała o przepięknych kwiatach królewskich ogrodów, jakie miała możliwość podziwiać podczas swego ostatniego pobytu w Londynie.

Lord Raymond nie odezwał się ani słowem, jednak obserwował ją z przeciwległego kąta pokoju. I to jak obserwował! Czując na sobie jego uważne spojrzenie Colly miała wrażenie, że po szyi przechodzą jej małe iskierki. Mimowolnie uniosła dłoń do karku, lecz zorientowawszy się, co robi, udała, że poprawia spinę.

Odkąd weszła do pokoju, Ethan miał wrażenie, że ledwie go

zauważa. Jednak gdy poprawiała wysuwającą się z włosów spinkę, jej palce lekko drżały; zdał sobie sprawę, że wcale nie jest tak obojętna na jego widok, jak by o tym świadczył spokojny wyraz twarzy. Ta świadomość na tyle polechtała jego próżność, że zdołał nieco pohamować emocje.

Owszem, miał do niej pretensje - wywiodła go przecież w pole. Jednak dwie minuty spędzone w jednym pokoju z młodszą siostrą Colly przekonały go, że ochrona reputacji tej wyjątkowo pustogłowej pannicy była zadaniem wymagającym wielkich poświęceń. Jeśli się nie mylił, a mylił się rzadko, ta koza była zapewne obiektem miłosnych westchnień młodzików, zanim jeszcze skończyła naukę na pensji. Trzeba przyznać, że dziewczyna była śliczna jak obrazek.

Po cichu zgodził się z wujem Philomenem, że panna Pilkington będzie miała nie lada konkurencję w walce o najlepszą partię sezonu. Jednak doszedł do wniosku, że starszy pan miał chyba nie po kolei w głowie sugerując, że Gilly jest piękniejsza od starszej siostry! Jak można porównywać dziewczęcą, błękitnooką i rozchichotaną Gilly z elegancką spokojną i piękną Colly. Spoglądając na siostry siedzące obok siebie Ethan zastanawiał się, kiedy to wuj aż tak bardzo stracił gust.

Tak, doprawdy rozumiał, dlaczego Colly chciała chronić swą znacznie młodszą siostrę. Właściwie nie zrobiła nic więcej niż to, co on zrobił dla Reggiego. Uświadamiając to sobie stłumił gniew.

I jeżeli chciał być szczery względem siebie, musiał przyznać, że o wiele bardziej był wściekły na dziewczynę za to, iż dała mu do zrozumienia, że jest zakochana, i przez to pozbawiła go snu przez wiele nocy. Ta mała szarada naprawdę wiele go kosztowała. Przeszedł przez prawdziwe piekło wyobrażając sobie, jak bardzo ją zranił opowiadając o zdradzie Reggiego. Jedyłą satysfakcją przyniósł mu fakt, że teraz najprawdopodobniej to ona nie może spać.

Mając to na uwadze, Ethan podszedł do dziewcząt, by trochę z nimi poflirtować. Chciał obudzić w Colly nieco zazdrości, chciał, by pocierpiała

tak jak on.

- Panno Gilly - zaczął. - Jeśli się nie mylę, zna pani mojego młodszego brata Reggiego.

Colly spojrzała na niego z niedowierzaniem. Tego się po nim nie spodziewała; Ethan nie był kimś, kto podejmuje walkę ze słabszym przeciwnikiem. Jednak gdy tylko przyszło jej to do głowy, odetchnęła z ulgą, gdyż zrozumiała, o co mu chodzi. Cokolwiek by tym razem knuł, zamierzał ukarać ją, a nie jej młodszą siostrę.

- Pańskiego brata? - zapytała Gilly, otwierając szeroko błękitne oczęta. - Ja... ehm... to znaczy...

- Reggiego Bradforda - przypomniała jej panna Kittridge uprzejmie.
- Pamiętasz go chyba, Gilly. To najlepszy przyjaciel mojego brata. Uczą się razem.

Ethan spojrzał na dziewczynę, która odezwała się może lwa razy, odkąd weszli z Winnym do saloniku. To była pewno siostrzyczka tego pustogłowego panicyka, z którym zwykle trzymał się Reggie. Tak, gdy teraz przyjrzał się jej uważniej, zauważył podobieństwo, choć na własne szczęście panna Kittridge nie miała odstających uszu, jak brat. Pannicy udało się jednak sklecić dwa pełne zdania, podczas gdy jej brat komunikował się ze światem raczej pochrząkiwaniami, pomrukami i monosylabami; Ethan poszedł więc do wniosku, że to ona w rodzinie Kittridge'ów odziedziczyła nie tylko urodę, ale i rozum.

- Myślę, że „objijają się razem” byłoby lepszym określeniem.

W odpowiedzi pannica posłała mu puste spojrzenie, które mówiło aż nazbyt wyraźnie, że jej zdolności prowadzenia rozmowy osiągnęły już kres. Zachowując powagę Ethan zwrócił się do drugiej dziewczyny:

- Opowieści o pani urodzie wyprzedziły pani przyjazd, panno Gilly. Nawet nie wie pani, jak miło jest zdać sobie sprawę, że przynajmniej niektóre rzeczy, jakie się słyszy, są prawdziwe.

To mówiąc Ethan spojrzał wymownie na Colly. Niestety, była właśnie zajęta poprawianiem tuzina wstążek na rękawie porannej sukni.

Jednak Gilly, rozumiejąc jedynie komplement i uznając go za wyjątkowo przyjemny temat rozmowy, całą uwagę poświęciła lordowi Raymond. Uśmiechając się najpiękniej jak umiała, rzekła:

- Jest pan bardzo uprzejmy, milordzie.

- To pani jest bardzo uprzejma, panno Gilly, uśmiechając się do mnie tak uroczo.

W głosie Ethana dźwięczała głęboka nuta zachwytu; oczy Gilly zaświeciły się, a w Colly zawrzał gniew. Jak on śmiał flirtować z Gilly?! I dlaczego ciocia Pet jeszcze nie przywołała smarkuli do porządku?

- Już dawno słyszałem opowieści, że jest pani brylantem pierwszej wody - mówił dalej Ethan. - Teraz jednak, gdy poznałem panią osobiście, muszę przyznać, że w plotce nie ma zbyt wiele prawdy.

- Milordzie? - zapytała Gilly kokieteryjnie, wietrząc następny komplement.

Ethan uniósł dłoń dziewczyny do swych ust i spojrzał przekornie w jej błękitne oczy.

- Nie brylantem, panno Gilly, lecz szafirem. I z pewnością pierwszej wody.

Zatrzepotała rękami nie mając nic przeciwko odrobinie przekory ze strony mężczyzny, który najwyraźniej był obyty w towarzystwie.

- Ależ co też pan mówi, milordzie.

Choć Ethan w tym momencie przypomniał sobie inne rzesy, o wiele bardziej ponętne, nad innymi oczyma, odsunął od siebie to wspomnienie i uśmiechnął się, jakby dziecinna próba flirtu ze strony tej dziewczyny naprawdę go bawiła.

- Domyślam się, że gdy tylko miejscowi młodzieńcy spojrzą na panią, będzie pani musiała zdjąć kołatkę z drzwi, by...

Ethan nie dokończył, gdyż przerwało mu ciche pukanie do drzwi. O to właśnie modliła się przynajmniej jedna z panien Sommes.

Myśląc, że to pokojówka przyniosła tacę z herbatą, Colly podniosła się. W takiej sytuacji każdy przerywnik był mile widziany. Jednak za

drzwiami czekał jeden z hotelowych służących; podał jej srebrną tacę z wizytówką.

- Jakiś pan czeka w holu, panienko, i pyta, czy panie przyjmują gości.

Zerknęła na wizytówkę i niepewnie odwróciła się do Ethana.

- Ja... ehm...

Wyczuwając zmieszanie Colly, Ethan podszedł i wyjął z jej palców białą karteczkę, po czym przeczytał wytłoczone na niej nazwisko.

- To George FitzClarence - powiedział cicho, tak by tylko ona mogła go usłyszeć. - Znasz go?

Colly potrząsnęła głową.

- Nie. To znaczy wiem oczywiście, kto to jest, ale nie byliśmy sobie przedstawieni. Nie mam pojęcia, co robić.

- Chcesz, bym ci pomógł?

- Bardzo proszę.

Ethan odłożył wizytówkę, wraz ze złotym suwerenem, na tacę.

- Poproś pana FitzClarence, by do nas dołączył.

- Tak jest, milordzie - odrzekł służący, któremu oczy zabłyśły na widok monety.

Gdy tylko drzwi się zamknęły, Colly odwróciła się do ciotki.

- Ciociu Pet, będziemy miały gościa. Pan FitzClarence poprosił o wizytę.

Zdziwiona starsza pani przyłożyła dłoń do ust.

- Syn księcia Clarence'a?

- To księżę Clarence ma syna? - zapytała z zaciekawieniem panna Kittridge, raz jeszcze źle wybierając moment na włączenie się do rozmowy.

- Myślałam, że niedługo się żeni po to, by wreszcie doczekać się dziedzica.

- Owszem, dziedzica, gąsko - wytknęła jej przyjaciółka. - Jego syn jest Fitzem, wiesz przecież...

- Wystarczy! - ucięła rozmowę panna Montrose. - Nie chcę usłyszeć już ani słowa od którejkolwiek z was. Jeżeli chcecie, by was traktowano po

doroślemu, musicie nauczyć się zachowywać z odpowiednią dyskrecją. - Zgromiwszy dziewczęta, starsza pani odwróciła się do Colly. - Moja droga, skąd znasz pana FitzClarence'a?

- Nie znam go, ciociu.

Ethan dotknął łokcia Colly i odprowadził dziewczynę do krzesła.

- Razem z Winnym znamy George'a od lat, panno Montrose. Może mi pani wierzyć, że to wyjątkowo czarujący człowiek i dżentelmen w każdym calu.

- Na miły Bóg, słusznie mówisz - zgodził się Harrison. - Znam go nie od dziś. Wszędzie go pełno i wszyscy go przyjmują.

Kiedy zastukano do drzwi, Ethan poszedł otworzyć.

- FitzClarence - rzekł z sympatią wyciągając dłoń na powitanie. - Wejdź, proszę. Pozwól, że przedstawię cię paniom.

Młody człowiek potrząsnął wyciągniętą prawicą.

- Nie spodziewałem się tu ciebie, Raymond, ale zapewniam, że to bardzo miła niespodzianka.

- George! - zawołał Harrison. - Mogłem się spodziewać, że szybko odnajdziesz drogę do salonu najpiękniejszych dam w mieście.

- Winny, i ty tutaj? - George FitzClarence, najstarszy z dziesięciorga dzieci księcia Clarence'a z aktorką Dorothy Jordan, był młodym człowiekiem w wieku Colly.

Choć miał charakterystyczne rysy Hanoverów, znaczną część urody odziedziczył po matce, znanej powszechnie piękności, ponadto szyku dodawał mu doskonale dopasowany mundur. Zarówno panna Montrose, jak i Colly zgadzały się, że FitzClarence jest dobrze wyglądającym młodzieńcem, a obie młodsze dziewczyny uznały go za oszałamiająco przystojnego.

Ethan przedstawił gościa paniom i obserwując, jak pochyla się po kolei nad każdą dłonią, doszedł do wniosku, że najprawdopodobniej odziedziczył maniery po wuju, księciu regencie, a nie po ojcu, awanturniku i raczej dość ordynarnym człowieku. Odetchnął z ulgą widząc tak dobre

manierę u przyjaciela, gdyż z tego, co ostatnio słyszał, George, choć pochodził z nieprawego łoża, uważał się za członka rodziny królewskiej i zachowywał nieco arogancko.

Kiedy już ceremonia powitań została pomyślnie zakończona, FitzClarence rzekł:

- Przybyłem tu jako wysłannik naszej przyszłej macochy, księżniczki Adelaidy z Saxe-Meiningen.

To oświadczenie wszyscy powitali z szeroko otwartymi oczami. Jedynie panna Montrose zdołała wyszeptać:

- Księżniczki?

- Tak, proszę pani. Księżniczka Adelaida wie, że jedna z pań, zdaje się, że pani - uklonił się lekko Colly - była łaskawa pomóc jej służącej w Canterbury, jeśli się nie mylę. Księżniczka prosiła mnie, bym w jej imieniu wyraził wdzięczność za okazaną uprzejmość.

Colly zarumieniła się mile zaskoczona.

- Z przyjemnością pomogłam, panie FitzClarence. Choć muszę się przyznać, że była to zwykła grzeczność. Coś, co zrobiłby każdy. Zapewniam pana, że to ja jestem wdzięczna Jej Wysokości za okazaną mi łaskawość.

- Księżniczka jest bez wątpienia niezwykle łaskawą osobą - przytaknął FitzClarence. - Jako nasza przyszła macocha chętnie słuchała opowieści o mnie i moim rodzeństwie. Zdawało mi się, że była nami bardziej zainteresowana niż swoim nowym domem w Bushy.

Nikt ze słuchaczy nie potrafił zdobyć się na komentarz. Wszyscy byli zbyt porażeni wiadomością, że dama, która pewnego dnia może zostać królową Anglii, została przedstawiona dzieciom z nieprawego łoża swego narzeczonego. Pomijając już fakt, że księżniczka miała przyjąć rolę macochy dla pięciu córek i pięciu synów księcia.

Ku wielkiej uldze Colly, właśnie w tej chwili do pokoju weszła pokojówka z tacą herbaty i na szczęście nikt już nie powiedział ani słowa. Zadowolona, że ma co robić, Colly nalewała herbatę do filiżanek, a Ethan

podawał je dalej. To wyłączyło dziewczynę z rozmowy, dopóki wszyscy nie zostali obsłużeni.

- Ma się odbyć podwójny ślub - rzekł FitzClarence w odpowiedzi na pytanie panny Montrose. - Ceremonia będzie miała miejsce w salonie królowej w Kew. Mój wuj, książę Kentu, i jego narzeczona Victoria złożą przysięgę małżeńską wraz z moim ojcem i księżniczką Adelaidą. Obu ślubów udzieli mój drugi wuj, książę regent.

Gdy FitzClarence zakończył opowieść, panna Montrose musiała sięgnąć po chusteczkę, gdyż łzy wzruszenia i radości płynęły jej po twarzy.

- Czyż nie jest to najbardziej romantyczna historia, jaką w życiu słyszałyście?

Młodsze dziewczyny przytaknęły i wspomogły łkania starszej damy kilkoma pociągnięciami nosem. I choć panowie również uprzejmie przytaknęli, Harrison wydawał się niepoczyszony - wszystko wskazywało na to, że przegrał zakład.

Z rozmowy o książęcych ślubach był już tylko krok do zabawnych opowieści FitzClarence'a o przygodach jego i jego młodszych sióstr. Z tego, co mówił, można by wnioskować, że ich życie w Bushy, domu księcia Clarence'a, było wyjątkowo idylliczne.

- Wybieram się tam jutro, by zobaczyć się z siostrami i przekonać się, czy czegoś im nie potrzeba.

- Do Bushy? - zapytała panna Kittridge, zapominając o napomnieniach panny Montrose i wtrącając się do rozmowy, której do tej pory jedynie grzecznie się przysłuchiwała. - Czyż Bushy nie leży niedaleko Aymesley?

- Owszem - odparł pan FitzClarence, niezadowolony, że przerwała mu ta niepozornie wyglądająca, bardzo jeszcze młoda dziewczyna.

- Panno Sommes, oto i rozwiązanie pani problemów - obwieściła wesoło Ione.

- Moich problemów?

- Ależ oczywiście - odpowiedziała spadkobierczyni rozumu

Kittridge'ów. - Jeżeli pan FitzClarence jedzie jutro do Bushy, mógłby podwieźć panią do Aymesley.

Właściwie można by się zastanawiać, kto był bardziej zdziwiony tym bezczelnym układaniem życia dwojga ludzi, którzy znali się dopiero, od godziny, przez osobę postronną, lecz niewątpliwie to Colly była bardziej zażenowana.

- Och, nie! To znaczy, chciałam powiedzieć...

- Z radością będę mógł pani służyć - rzekł FitzClarence z galanterią, acz nieco sztywno.

- Nie potrzebujesz się kłopotać, George - wtrącił się łagodnie Ethan.

- Ja obiecałem, że podwożę pannę Sommes. - A potem dodał przekornym tonem: - Chyba nie wystawi mnie pani do wiatru po tym, jak zobaczyła pani jeden ładny mundur?

- Oczywiście, że nie, lordzie Raymond - odpowiedziała Colly, która w tej chwili gotowa była paść mu do stóp z wdzięczności za wyratowanie z tak kłopotliwej sytuacji. A potem odwróciwszy się do młodego oficera z cieplejszym i bardziej przyjacielskim uśmiechem niż te, którymi zazwyczaj obdarzała dopiero co poznanych dżentelmenów, rzekła: - W każdym razie nie jutro.

Ethan wstrzymał oddech patrząc na ten uśmiech. Zaczynał się na jej pełnych ustach, po czym rozświetlał przekornym blaskiem tajemnicze szarozielone oczy. Był to uśmiech, który już zaczął uważać za przeznaczony tylko dla siebie, i teraz doszedł do wniosku, że bardzo mu się nie podoba, gdy Colly uśmiecha się w ten sposób do kogokolwiek innego.

Ku jego jeszcze większej irytacji George FitzClarence zupełnie nie zdawał sobie sprawy, że nie ma prawa do takiego uśmiechu Colly.

Odwzajemniając uśmiech dziewczyny najstarszy syn księcia Clarence'a przysiągł, że będzie zaszczycony mogąc odwieźć pannę Sommes, gdzie tylko sobie życzy, o każdej porze dnia i nocy.

I choć wściekłość Ethana minęła niemal natychmiast, jeszcze przez jakiś czas miał ochotę wypalić dziurę w ślicznym mundurze George'a

FitzClarence'a.

Wkrótce młody człowiek przeprosił towarzystwo tłumacząc się, że jest umówiony, i wyszedł z salonu życząc wszystkim obecnym miłego dnia. Za jego przykładem poszli Harrison i Ethan. Pożegnawszy się z paniami, dopiero przy drzwiach lord Raymond miał okazję swobodnie porozmawiać z Colly.

- Jeżeli pogoda znowu nam nie przeszkodzi, wpadnę po panią około dziesiątej.

- Jutro? Około dziesiątej?

- Aymesley - przypomniał.

- Och, z pewnością nie mówiłeś poważnie...

- Około dziesiątej - powtórzył Ethan, a potem dodał tak cicho, że tylko ona mogła go usłyszeć: - Dziś miałaś szczęście. Deszcz nie pozwolił mi zabrać cię na przejażdżkę, a w saloniku było zbyt wiele osób, żebym mógł spokojnie z tobą porozmawiać.

- Wiem i bardzo mi przykro. - Miała jeszcze w pamięci to, jak wyratował ją z niezręcznej sytuacji, w jaką wpędziła ją panna Kittridge. - Doskonale zdaję sobie sprawę, że chciałeś złoić mi skórę. - Powiedziała to tak cicho, że Ethan musiał się pochylić, by ją usłyszeć.

Stał bardzo blisko niej i czuł znowu cytrynowy zapach werbeny, który kojarzył mu się tylko z nią. Nie mogąc się powstrzymać spojrzał na jej cudowne, jakby z kości słoniowej wyrzeźbione uszy i rzekł nagle ochrypłym głosem:

- Droga pani, ty jeszcze nie wiesz, co chcę z tobą zrobić.

Rozdział dziesiąty

Kiedy wszyscy goście już sobie poszli, Colly usiadła przy biurku i napisała liścik do starszej pani Kittridge z prośbą o wskazówki, jak dojechać do domu jej syna w Aymesley. Powtórzyła historię, którą opowiedziała młodej Ione, o tym, jak to jej matka zostawiła pod opieką Nory drogocenny klejnot rodzinny, po czym wysłała bilecik przez posłańca do domu Kittridge'ów na Cavendish Square.

W niecałą godzinę później służący przyniósł trzystronicową odpowiedź pani Kittridge. Po wyrażeniu, jak bardzo jest jej przykro, iż Colly musi zadawać sobie tyle trudu, następne strony listu dama wypełniła szczegółowymi wskazówkami, jak dotrzeć do Aymesley. Colly była święcie przekonana, że gdyby starsza pani narysowała mapę, byłaby ona o niebo dokładniejsza niż mapy rycerzy szukających Świętego Gralla.

Jeżeli starsza dama mówiła tak samo, jak pisała, Colly doskonale zrozumiała, jakie męki musiała przeżywać jej młodsza siostra podczas wspólnej podróży. Obiecując sobie przeprosić Gilly za brak współczucia, już miała zamiar przeszkodzić siostrze w czytaniu magazynu mody, gdy usłyszała ciche pukanie.

Otworzywszy drzwi, zobaczyła odzianego w liberię służącego, trzymającego w ramionach bukiet bardzo pięknych kwiatów.

- To dla pań z pokoju numer dwadzieścia siedem - rzekł podając jej bilecik, choć po jego liberii Colly i tak już zdążyła się zorientować, dla kogo pracował. Na bileciku napisane było tylko jedno słowo - „Raymond”.

- To pierwszy bukiet, jaki dostałam w Londynie! - zawołała radośnie Gilly odrzucając pismo i podbiegając, by powąchać polne kwiaty. - Są wspaniałe, choć szczerze mówiąc wolałabym róże. Zastanawiam się, dlaczego lord Raymond nie zadał sobie choć tyle trudu, by zapytać o nasze

upodobania?

- Nie mam pojęcia - odparła Colly, choć niespecjalnie lubiła róże. Były takie pospolite i nudne. Kompozycja z żonkili, stokrotek, lwich paszczy oraz petunii wydała się jej o wiele bardziej interesująca. Świadczyła o starannym i osobistym wyborze.

- Taki bukiet wymaga wielkiej pracy - rzekła starając się nadać słowom spokojne brzmienie. - A róże może kupić i dać każdy, bez chwili zastanowienia.

Gilly zupełnie nie słuchała starszej siostry.

- Kiedy zacznie się sezon, będę miała róż na tuziny, powiem wszystkim, że to moje ulubione kwiaty. Na razie jednak będę się cieszyć z tego drobiazgu. - Wyjąwszy bilecik z rąk siostry, przestudiowała podpis i zmarszczyła brwi, gdy całkiem nowa myśl przyszła jej do głowy. - Wiesz co, Colly? Jestem przekonana, że robisz za wiele hałasu wokół tego pierścionka zaręczynowego. Przecież gdyby lord Raymond był wściekły, nie przysyłałby nam kwiatów!

Nie chcąc wdawać się w zbędne dyskusje, Colly zaledwie wyraziła nadzieję, że jutro załatwi tę sprawę raz na zawsze.

- Cóż, mam nadzieję, że tak - odparła jej siostra. - Niczego bardziej nie pragnę niż zaprosić lorda Raymond na mój bal. Nie uważasz, że to dodałoby mi prestiżu? - Nie czekając na odpowiedź, panna mówiła dalej: - Oprócz szlacheckiego tytułu jest wyjątkowo przystojny i czarujący, a to się liczy w świecie. - Potem dodała z westchnieniem: - Wielka szkoda, że jest już trochę stary.

- Stary! Ty głuptasie! Ethan Bradford ma nie więcej niż trzydzieści jeden lat. Jest... - Colly na czas się powstrzymała w obawie, że młodsza siostra wyczuje zbyt zaangażowanie w jej słowach i zacznie zadawać kłopotliwe pytania. Na szczęście Gilly nie należała do tych, którzy lubią zbyt długo zawracać sobie głowę jedną sprawą, i zanim Colly ochłonęła, siostra już była pogrążona w czytaniu magazynu i nic poza tym jej nie obchodziło.

Następny dzień nadszedł jasny i spokojny. W przeciwieństwie do poprzedniego, przygnębiającego, dnia napawał otuchą. Colly przygotowywała się do podróży z lordem Raymond do Aymesley. Zgodnie z obietnicą jego lordowska mość zjawił się punktualnie o dziewiątej. W brązowym płaszczu podbitym futrem, beżowych pantalonach przylegających do potężnych ud niczym druga skóra, krawacie zawiązanym w wytworny węzeł i wysokich butach wyczyszczonych na wysoki połysk Ethan był najlepiej prezentującym się mężczyzną, jakiego Colly w życiu widziała.

Może i panna Gilly Sommes uważała wiek trzydziestu jeden lat za podeszły, lecz jej siostra była nieco odmiennego zdania. Więcej, Colly nie wyobrażała sobie, by w całym kraju był choć jeden mężczyzna, któremu Ethan ustępowałby pod względem urody czy też emanującej od niego męskiej witalności. Żaden chyba też nie byłby w stanie wprawić niewieściego serca w taki trzepot, jak zrobił to Ethan Bradford z sercem panny Columbiny Sommes.

- Jest pani niezwykle punktualna - rzekł Ethan z uśmiechem, na widok którego Colly wstrzymała oddech. - A to tylko jedna z pani zalet.

- Mam nadzieję, że będzie pan o nich pamiętał, milordzie, gdy wszyscy pańscy znajomi zaczną się odwracać ze zdziwieniem, że towarzyszy pan takiej prowincjuszce jak ja. Na dodatek tak niemodnie ubranej.

Zauważywszy przekorną nutkę w jej głosie, Ethan przyjrzał się uważnie gołębioblękitnej sukni z wąską czarną wstążką żałoby oraz pasującym do całości rękawiczkom i bucikom. W stroju dziewczyny nie było nic brzydkiego czy prowincjonalnego, może poza kapelusikiem, który ku goryczy Ethana ukrywał wspaniałe włosy.

Spojrzał na nią pytająco.

- Czy przypominasz sobie spacerową suknię, którą miałam na sobie podczas naszej przejażdżki w parku?

- Tę brzoskwińską?

- Taak. To była suknia mojej matki... dopiero co przywieziona od modystki. Obawiam się, że ucierpiała o wiele bardziej niż ja, kiedy konie pana Harrisona się spłoszyły. Niestety matka zauważyła to drobne rozdarcie, zanim zdążyłam je naprawić.

- I pewno bardzo się jej to nie spodobało? - Ethan zachichotał.

- Ano tak. Teraz nie wolno mi nawet spojrzeć w kierunku jej pokoju, nie wspominając nawet o dotknięciu klamki. A jeżeli chodzi o pożyczenie którejkolwiek z jej sukien, no cóż... Zaoszczędzę nam obojgu wstydu, jeżeli pomnę niektóre określenia matki. Pomimo całej swej rodzicielskiej miłości wyraziła się dość jasno, co myśli na temat osób pożyczających bez pytania wieczorowe suknie przygotowane na specjalne okazje.

- Domyślam się, że lady Sommes przyłapała cię w tej sukni, którą miałaś na sobie w teatrze - przytaknął ponuro.

Colly tylko przewróciła oczyma, doprowadzając Ethana do kolejnego wybuchu śmiechu.

- Więc ja muszę występować w sukniach z poprzedniego sezonu, a pan, milordzie, skoro obiecał mi podwiezienie do Aymesley, musi znosić towarzystwo kocmołucha. Jeżeli chce się pan wycofać, jest to pana ostatnia szansa.

- Mam wrażenie, że towarzystwo londyńskie wybaczy mi tę drobną wpadkę.

- Mam nadzieję, że ma pan rację.

- A ja mam nadzieję, że skończy pani opowiadać głupstwa, gdyż pani towarzystwo to jak zwykle prawdziwy zaszczyt.

Gdy doszli do schodów, Ethan zaofiarował jej ramię. Okazało się to bardzo potrzebne, gdyż pod wpływem nieoczekiwanego komplementu kolana Colly jakoś dziwnie się ugięły.

Nie padło między nimi już ani jedno słowo do czasu, aż Colly została odeskortowana do oszalałająco pięknej nowej dwukółki, utrzymanej w ciemnej zieleni i przygaszonej żółci.

- Ależ mój drogi, jazda w takim powozie jest prawdziwym zaszczytem. I choć nie bardzo się na tym znam, jestem święcie przekonana, że to nie jest zeszłoroczny model.

Uśmiechając się w odpowiedzi Ethan pomógł jej wsiąść. Siedzenia pokryte były skórą.

- Istotnie, jest to nowy nabytek, lecz zapewniam cię, że w drodze spisuje się doskonale. Możesz mi wierzyć, że tym razem nic złego się nie stanie.

- Z pewnością nie, tym bardziej że to ty powozisz.

Ethan usiadł obok niej, po czym, ponieważ wyprawa za miasto nie pozwalała na obecność przyzwoitki, zawołał do chłopca trzymającego za uzdy parę rączych bułanków o czarnych grzywach:

- Jedziemy, mój mały!

- Tak, panie - odrzekł młodzieniec i obiegłszy powozik, wskoczył na tylną platformę dwukółki.

Ruch na ulicach o tej porze był wyjątkowo duży; piesi - węglarze, kotlarze i mleczarze - wchodzili w drogę konnym policjantom, damom wiezionym na przejażdżki w powozach i dżentelmenom w sportowych powozikach. Na kakofonię dźwięków składały się pokrzykiwania, wrzaski i rzenie koni. Nie chcąc przeszkadzać Ethanowi, Colly siedziała bez słowa z dłońmi złożonymi na kolanach.

Kiedy już przekroczyli Tamizę i pieli się drogą między sadami i polami, Ethan puścił wodze i pozwolił koniom wybrykać zapas zgromadzonej przez czas stania w stajni energii. Choć Colly bardzo podobała się jazda w szalonym galopie, była zadowolona, gdy w małej wiosce Wimbledon Ethan ściągnął wodze i zatrzymał konie, by trochę odechnęły.

Podczas gdy młody służący poprowadził bułanki do pobliskiego strumyka, by mogły się napić, Ethan i jego towarzyszka udali się na przechadzkę wzdłuż strumienia. Zatrzymali się na chwilę przy uroczym, starym kamiennym mostku. Ponieważ na brzegu strumienia kwiatom nigdy

nie brakowało wody rosły tam ogromne kępy niezapominajek, kaczeńców i stokrotek.

- Zastanawiam się, czy ten mostek jest zabytkowy - rzekła Colly, gdy przystanąli, by podziwiać kwiaty.

- Nie wydaje mi się. Ma chyba nie więcej niż sto lat. Czyżby miała pani ochotę na zwiedzanie miejsc o historycznym znaczeniu?

- Ja? Ależ skąd, mój drogi. Przypomniała mi się opowieść Gilly o podróży przez te strony.

Kiedy Colly opowiedziała Ethanowi o upodobaniach starszej pani Kittridge do pokazywania znajomym „ciekawych” miejsc, oboje bardzo się uśmiali kosztem biednej dziewczyny.

- Nie mieści mi się w głowie, jak to się dzieje, że kraj, który wydał na świat jedne z najpotężniejszych umysłów, przez wieki, pokolenie za pokoleniem, produkuje słodkie idiotki bez żadnego pożytku dla społeczeństwa

- Odpowiedź jest bardzo prosta. - Colly postanowiła bronić swej płci.

- Wielkie umysły, o których mówiłeś, nie są, niestety, tak liczne jak legiony półgłówków i kretynów zapełniających nasz kraj. I gdyby ktokolwiek, nie daj Boże, zainteresował się edukacją młodych kobiet, może wreszcie zdałyby sobie sprawę, za jakich idiotów wychodzą za mąż.

Wyobraź sobie, jak wyglądałoby społeczeństwo, gdyby kobiety wiedziały, że nie muszą podporządkowywać się wyżej wspomnianym głupcom, których poślubiły. Zastanawiam się, jak by się to mogło skończyć.

- Chwileczkę - przerwał jej Ethan. - Pozwól, że zapytam, czy dobrze zrozumiałem twoją teorię, gdyż nie uważam się za jeden z owych wspaniałych umysłów. Choć - dodał - beczelnie uważam, że nie jestem także ani idiotą, ani półgłówkiem. Czyżby uważała pani, że dla dobra naszej cywilizacji kobiety powinny pielegnować raczej swój umysł niż urodę, gdyż rodzaj męski lepszy jest w gapieniu się niż w myśleniu?

- Wiedziałam, że mogę zaufać pańskiej domyślności.

Doszedłszy jednak do wniosku, że dość już tych niemądrych żartów,

Colly zapytała Ethana o coś, co gnębiło ją od czasu spotkania z jego wujem.

- Pan Philomen Delacourt wspomniał coś o twoim zainteresowaniu szkolnictwem. Chciałabym poznać twe zdanie na ten temat, gdyż jestem poważnie zaangażowana w obniżenie opłat w naszej szkółce niedzielnej, tak by nawet najmłodsze dzieci mogły uczestniczyć w zajęciach. Bo jak mają robić coś pożytecznego w życiu, tak chłopcy, jak i dziewczęta, jeżeli odmówi się im nawet tak podstawowej pomocy jak nauka czytania i pisanie?

- Masz oczywiście rację.

Ethan przyglądał się dziewczynie i Colly miała wrażenie, że naprawdę go to interesuje.

- Jeśli dobrze pamiętam, twój wuj wspominał, że zamierzasz zająć miejsce w parlamencie.

- Tak, ale tylko wtedy, kiedy będę wiedział, że mogę coś zdziałać. Jakiś rok temu została utworzona w Londynie komisja, która ma stwierdzić, jakie są szanse na kształcenie biedoty. Chciałbym przeczytać raporty tej komisji dotyczące różnych szkół w kraju. Musimy budować na tym, co jest dobre w obecnym systemie... a sporo jest dobrego. Niestety, jest też sporo spraw wymagających natychmiastowej interwencji.

- Mam nadzieję, że zaczniecie od źle wykształconych nauczycieli.

- To jest drugie w kolejności zadanie. O wiele ważniejsze są same budynki, w których odbywają się lekcje. Uważam, że dzieci nie powinny spędzać tylu godzin, a nawet lat swego życia, w miejscach, które mogą być przyczyną wielu chorób. Za sale lekcyjne często służą ciemne pokoje, często bez okien, nawet chłodne i wilgotne piwnice. Tak nie powinno być. Obawiam się, że złe wykształcenie naszych dzieci uderzy w nas wszystkich, że naprawdę będziemy musieli wypić piwo, którego nawarzyliśmy.

Rozmawiali jeszcze przez jakiś czas na ten temat i doszli do wniosku, że ich poglądy w znacznej mierze się pokrywają. Wysłuchiwali

uważnie nawzajem swych uwag, często poznając fakty, o których do tej pory nie słyszeli. Pograżeni ciągle w rozmowie wrócili do dwukółki i podjęli przerwana podróż do Aymesley.

Droga wiodła przez malownicze zakątki Anglii i wkrótce Colly zaczęła odczuwać prostą radość wypływającą z przejażdżki. Nie wstydząc się tego, nabrała głęboko powietrza, po czym wypuściła je, oczyszczając płuca z resztek wielkemiejskiego czadu.

- Czy jesteś zadowolona; że dałaś się namówić na tę przejażdżkę?

- O, tak. - I była to prawda. Dzień był piękny; wiedziała, że już niedługo będzie mogła oddać Ethanowi brylant Bradfordów, nie pozostawało jej więc nic innego niż cieszyć się podróżą.

- Nie żałujesz, że pojechałaś ze mną, a nie z FitzClarence'em?

- Żadna odpowiedź na to pytanie nie będzie dobra. Jeżeli powiem, że wolałabym jechać w towarzystwie pana FitzClarence'a, wyrażę brak szacunku i wdzięczności, że zgodziłeś się mnie podwieźć. Jeżeli natomiast powiem, że wolę podróż w twoim towarzystwie, z całą pewnością uderzy ci to do głowy. - Westchnęła ciężko. - I co ja mam biedna zrobić?

- Owszem, to bardzo trudna sytuacja. Z całą pewnością nie powinnaś łechtać mojej próżności, ale nie to jest teraz najważniejsze. Wiem przecież aż za dobrze, że jeżeli wy, młode damy, zobaczycie mężczyznę w mundurze, od razu tracicie rozum.

- To prawda, milordzie, że jest w tym coś wyjątkowo urzekającego. Choć niewiele mi to pomoże w wybraniu między panem a panem FitzClarence'em, gdyż widziałam także, jak pan prezentuje się w mundurze.

- To niemożliwe. - Ethan odwrócił się i spojrzał jej w oczy, by zobaczyć, czy nie żartuje. Wydawało się, że mówi poważnie. - To nie może być prawda, wystąpiłem z wojska siedem lat temu.

- Tak, a ja wtedy debiutowałam.

- Nie próbuj mi wmówić, że spotkaliśmy się podczas twego debiutu.

Przysięgam, że bym cię zapamiętał.

- Ho, ho! Twoje przysięgi, jak i najwyraźniej pamięć, niewiele są warte. Siedem lat temu tańczyliśmy razem walca, a w niecałe dwie minuty po tym, gdy orkiestra przestała grać, zupełnie o mnie zapomniałeś.

- Czy to możliwe? Colly, dlaczego nie powiedziałaś, że już się kiedyś spotkaliśmy?

- I co, może miałam się przyznać, że ja cię zapamiętałam, podczas gdy ty zupełnie nic nie pamiętasz? Nie, mój drogi. Trochę dumy jeszcze mi zostało.

- Dumy? - Ogniki uśmiechu w jego oczach zaprzeczały powadze słów.

Nie bez trudu udało się Colly zachować powagę.

- Niech pan uważa, jak na mnie patrzy, lordzie Raymond, w przeciwnym razie jeszcze chwila, a zacznę podejrzewać, że należy pan do tych przedstawicieli pańskiej płci, którym lepiej to wychodzi niż myślenie.

- Nie, nie, moja droga sawantko. Myli pani pojęcia. Ja mówiłem o „gapieniu się”. I jeżeli chce mnie pani oskarżać o ten proceder, moja droga, to powinna pani przestać tłumić śmiech ściągając usta w ten wyjątkowo uroczy sposób. Patrząc na panią w tej chwili, myślę tylko o jednym.

Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi. Nie ośmieliła się sama przed sobą przyznać, co mogłyby znaczyć jego słowa.

- Ethanie, ja...

- To tam, milordzie! - zawołał służący, przypominając jej, że nie są tu sami. - Tam, na lewo. Tak jak było napisane w instrukcjach.

Dopiero teraz Colly zauważyła kamienny mur biegnący wzdłuż drogi. Porośnięty szarym mchem i tu i ówdzie zieloną winoroślą, ciągnął się bardzo długo, zanim ustępował miejsca żelaznej bramie i żwirowanemu podjazdowi. Brama była otwarta i Ethan nie musiał zatrzymywać powozu. Sprawnie pokierował konie na lewo, na podjazd przed dom.

Posiadłość Kittridge'ów nie była imponująca, lecz wyjątkowo dobrze utrzymana. Z frontu pyszniły się dwa piętra, podczas gdy zarówno lewe, jak i prawe skrzydło miały tylko po jednym. Budynek, pomalowany

jasnymi farbami i wykończony ciemnym drewnem, miał dach z szarej dachówki i kamienną podmurówkę.

Trawa w parku najwyraźniej była często koszona, a drzewa równo przycinane. Tylko róże rosły w dzikiej gęstwinie i zdawało się, że pozwalano im na to od wielu lat; otaczały podjazd ze wszystkich stron.

W powietrzu unosił się słodki zapach kwiatów i Colly przez chwilę nie czuła nic innego.

- Jak tu pięknie - rzekła oddychając głęboko. - To istny raj.

Ethan zatrzymał konie i zaczął czekać, aż służący podejdzie, by przytrzymać je za łby. Nie zdążył jeszcze wysiąść z powoziku, gdy w drzwiach domu pojawił się siwowłosy kamerdyner i zapytał, czy może w czymś pomóc.

Ethan podał mu swą wizytówkę.

- A to jest panna Sommes - rzekł. - Przyjechaliśmy zobaczyć się z panią Kittridge.

- Dzień dobry, panienko. Milordzie - rzekł z uprzejmym ukłonem kamerdyner. - Przykro mi, ale naszych państwa nie ma w domu. Jak państwo zapewne wiedzą, dzieci niedawno miały ospę, a dzień jest tak piękny, że pani i guwernantka zabrały je na piknik przy Moście Rzymskim.

- Właściwie nawet nie chcieliśmy przeszkadzać państwu - wyjaśnił Ethan. - Panna Sommes chciałaby zamienić kilka słów ze swą służącą, niejaką Norą Cheswick.

- Tak - wtrąciła się Colly. - Gdybyście byli tak uprzejmi i poprosili Norę, by wyszła tu do nas na chwilę, to od razu mogłabym...

- Bardzo przepraszam, panienko, ale Nory tu nie ma. Wyjechała.

- Nie ma jej tu? - powtórzyła bezmyślnie. - Wyjechała z państwem na piknik?

- Nie, panienko. Wróciła do Londynu. Wyjechała dziś rano. Dylizansem. Dzieci już zdrowieją, więc pani uważała, że Nora powinna wrócić do lady Sommes. Już o brzasku młody Jem zaprzągnął konie i odwiózł Norę do zajazdu, by tam poczekała na dylizans. Sam dopilnował, by

wsiadła. Bardzo możliwe, że minęli się z nią państwo po drodze.

- Nie ma jej tu. - Colly miała wrażenie, że los się z niej naśmiewa. Za każdym razem, kiedy już miała pierścień w zasięgu ręki, jakiś złośliwy diabeł przenosił go w inne miejsce... zupełnie inne miejsce.

- Tak, psze pani - odrzekł kamerdyner. - Najprawdopodobniej Nora jest już w pół drogi do Londynu.

Rozdział jedenasty

Powrotna podróż do Londynu minęła im niemal bez słowa. Zbyt zawiedziona ponowną porażką w odzyskaniu pierścienia, Colly nie potrafiła skupić się na rozmowie. W ciągu minionych dwudziestu czterech godzin wiele razy odgrywała w myślach tę scenę - oddawała Ethanowi brylant i wypowiadała jakąś stosowną uwagę. Za każdym razem on brał pierścień, uśmiechał się do niej i odpowiadał, że teraz wreszcie mogą być przyjaciółmi... że wreszcie nie ma przeszkód, by zostali więcej niż tylko przyjaciółmi...

Tak bardzo cieszyła się myślą o tej chwili. Niestety, marzenia rzadko stają się rzeczywistością. A to na pewno na zawsze zostanie tylko marzeniem.

Kiedy jechali krętą dróżką z powrotem przez Aymesley i Wimbledon, a potem już szerokim traktem prowadzącym do Londynu, pewna myśl zaświtała w głowie Colly. Co prawda nie była ona zupełnie nowa, lecz do tej pory odsuwała ją jak najdalej od siebie - była zbyt przerażająca. A co będzie, jeżeli Nora już nie ma pierścienia?

Na samą myśl o tym przebiegł ją zimny dreszcz. Przecież nie od dziś wiadomo, że kobiety gubią biżuterię. Colly doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Kilka lat temu sama zgubiła złoty wisiołek, co prawda mający wartość tylko jako pamiątka. Gorączkowo przeszukano cały dom - Sommes Grange zostało przewrócone do góry nogami od kuchni aż po strych. Wszystkie kąty poddano dokładnym oględzinom. Jednak naszyjnika nie odnaleziono. Colly zawsze bardzo pilnowała wisiora, a jednak go zgubiła.

Nora natomiast nie miała najmniejszych powodów, by pilnować pierścienia otrzymanego od Gilly. Nie zdawała sobie także sprawy z jego wartości. Jeżeli Gilly uważała go za tanie jarmarczne świecidełko, z całą

pewnością pokojówka była tego samego zdania. Ponadto pierścień był duży i mógł przeszkadzać w pracy. Było dość prawdopodobne, że Nora go zdjęła, a potem zapomniała, gdzie go położyła.

Albo jeszcze gorzej: ktoś mógł napaść na dyliżans, którym jechała do Londynu - przecież takie rzeczy nadal zdarzały się na drogach. A jeśli rzeczywiście ograbiono bezbronnych pasażerów dyliżansu?

Wyobrażając sobie coraz gorsze możliwości, Colly była coraz bardziej zdenerwowana. Marzyła o tym, by mieć w dłoniach brylant Bradfordów - nie, marzyła, by znajdował się w rękach Ethana. W końcu to on był jego właścicielem, a pierścień wart był majątek. Colly zacisnęła dłonie w pięści, by zapobiec ich drżeniu, i rozmyślała, co pocnie, jeżeli go nie odzyska.

Właściwie wiedziała doskonale, co się stanie: jej ojciec będzie się czuł w obowiązku wynagrodzić Bradfordom stratę. Oczywiście Ethan nie pozwie jej do sądu - poznawszy go lepiej, Colly zrozumiała, że wypowiedział tę groźbę zaślepiiony gniewem. Lecz jego wyrozumiałość nie uciszy wyrzutów sumienia sir Wilfreda.

Colly przełknęła z wysiłkiem ślinę. Ojciec był zamożnym człowiekiem, lecz nie starczyłoby mu pieniędzy na wyrównanie wartości brylantu. Ten krok kosztowałby go utratę majątku.

Jedyną dobrą stroną powrotnej podróży do Londynu był fakt, że Ethan litościwie nie poruszył ani razu kwestii pierścienia. Wydawało się to o tyle dziwne, że poprzedniego dnia najwyraźniej miał ochotę dokładnie o niego wypytać. Jednak bez względu na jego pobudki Colly była wdzięczna za milczenie.

Ethan wyczuwał, że dziewczyna jest bardzo nieszczęśliwa, i miał ochotę zapytać ją, co się dzieje. Musiało być w tym coś więcej niż tylko zawód, że nie porozmawiała z pokojówką, choć z jej zachowania wynikało jasno, że było to dla niej bardzo ważne.

Oczywiście, myślał, Colly powinna wiedzieć, że zrobi wszystko, co tylko w jego mocy, by jej pomóc. Musiała mu tylko powiedzieć, o co

chodzi. Ale ona nic nie mówiła. Siedziała cichutko, z piąstkami zaciśniętymi na kolanach i dumnie uniesionym ślicznym podbródkiem. Nie składała żadnych wyjaśnień. Nie prosiła o pomoc.

Nie mając wielkiego wyboru, Ethan przestał zwracać uwagę na smutną minę towarzyszkę i spytał ją, jak znosi podróż. Odpowiedzi były uprzejme, lecz krótkie i nadal nie prowadziły do zwierzeń. Kiedy z roztargnieniem odmówiła, by zatrzymać się na obiad w przydrożnym zajęździe, zrozumiał, że zależy jej, by jak najszybciej z powrotem znaleźć się w Londynie.

W niecałą godzinę później zajechali przez hotel Grillon. Ethan rzucił lejce chłopcu czekającemu przed drzwiami, po czym pomógł wysiąść Colly. Mając nadzieję, że chwila na osobności pomoże jej zwierzyć się z kłopotów, Ethan odprowadził ją przez opustoszały hol hotelowy, a potem szerokimi schodami. Odgłos ich kroków tłumiał puszysty dywan, a cisza podkreślała tylko milczenie.

W kącie korytarza, tuż przed drzwiami do apartamentu, Ethan zatrzymał Colty chwytając delikatnie jej łokieć.

- Chciałbym, byś powiedziała mi, co cię dręczy, mała sawantko.

Nie potrafiła spojrzeć mu w oczy.

- Zapewniam cię, że wszystko jest w porządku.

Nie mając innego wyjścia niż przyjęcie to do wiadomości, Ethan ujął tylko jej dłoń. Nawet przez rękawiczkę wyczuwał chłód i drżenie palców.

- Nie będę nalegał, byś opowiadała mi o sprawach, o których najwyraźniej opowiadać nie chcesz, lecz proszę, uwierz, że masz we mnie przyjaciela.

Kiedy jej wzrok uparcie tkwił na wysokości jego spinki od krawata, Ethan ujął dziewczynę za podbródek i uniósł jej twarz zmuszając ją tym samym do spojrzenia mu w oczy. Smutek Colly sprawił, że serce zaczęło mu bić jak szalone; miał wrażenie, iż lada moment wyskoczy z piersi. Poczul nagłą chęć bronienia jej przed całym złem świata. I silniejszą jeszcze chęć porwania jej w ramiona.

Zapanowawszy nad sobą, powiedział szczerze:

- Jeżeli zdobędziesz się na to, by mi zaufać, obiecuję, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, by uśmiech znów zagościł na twojej twarzy.

- Ethanie, ja... - Głos dziewczyny załamał się.

Objął ją delikatnie wpół, lecz zanim zdążył przytulić drżącą Colly do piersi, drzwi otworzyły się.

- Lord Raymond! - zawołała Gilly Sommes zaskoczona, że ktoś stoi pod drzwiami.

- Miło panią widzieć, panno Sommes - odparł unosząc jej dłoń do ust, by w tym czasie Colly mogła doprowadzić się do ładu. - Ma pani piękny kapelusik, jeżeli wybaczy pani śmiałość. Doprawdy czarujący. Jeśli się nie mylę, akwamarynowoniebieski, jak pani oczy.

- Właściwie lapisowy - poinformowała go kokieteryjnie. - A moje oczy nie są aż tak ciemne. - Słyszac kroki za plecami, odwróciła głowę i zawołała przez ramię: - Mamo! Colly właśnie wróciła. Jest z nią lord Raymond.

W drzwiach pojawiły się lady Sommes i panna Kittridge. Kiedy zostały już wymienione powitania, matka Colly rzekła:

- Właśnie wychodzimy, kochanie, ale jeżeli chcesz zaproponować jego lordowskiej mości coś do picia, chętnie zostaniemy.

Ethan spojrział na dziewczynę pytająco. Kiedy spuściła wzrok, dając mu tym samym do zrozumienia, że wolałaby zostać sama, odwrócił się do lady Sommes.

- Nie chciałbym przeszkadzać paniom w ich planach. Poza tym mam wrażenie, że panna Sommes jest zmęczona po podróży, choć była ona urocza.

- Tak, w rzeczy samej urocza - powtórzyła Colly mechanicznie, zmuszając się do uśmiechu.

Piękna Gilly najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy ze zmartwień starszej siostry.

- Mam pomysł, lordzie Raymond - rzekła. - Skoro moja siostra jest

zbyt zmęczona, by zaproponować panu coś do picia, może uda się pan z nami? Jesteśmy umówione u modystki na przymiarki, lecz potem wybieramy się na lody. - Spojrzała Ethanowi prosto w oczy flirtując z nim najbezcelniej w świecie. - Zapewniam pana, że nie będzie się pan nudził nawet u modystki.

W tej chwili panna Kittridge zachichotała głupawo.

- Gilly - upomniała ją matka. - Postaraj się być trochę skromniejsza. Jestem przekonana, że jego lordowskiej mości nie spodoba się takie zachowanie.

Ethan pochylił się nad dłonią lady Sommes.

- Zapewniam panią, że panna Gilly jest uroczą osóbką. Podobnie jak wszystkie damy w pani rodzinie.

- Czy jest tu gdzieś Nora? - zapytała nagle Colly zaskakując wszystkich obecnych.

- Ależ skądże - odrzekła matka zdziwionym głosem. - Czyżbyś nie odnalazła jej u Kittridge'ów?

Colly potrząsnęła głową.

- Dzieci czują się już lepiej, więc pani Kittridge uznała, że poradzi sobie bez niej i odesłała ją do Londynu rannym dyliżansem. Myślałam, że już tu będzie o tej porze.

- Cóż, uważam, że Nora postąpiła bardzo samolubnie nie zjawiając się tu od razu po przyjeździe. Bardzo jej potrzebuję. - Gilly wyciągnęła przed siebie lewe ramię i pokazała obecnym małe rozdarcie na rękawie jasnozielonego płaszczyka. - Tylko spójrzcie na to, a tutejsze pokojówki zupełnie nie radzą sobie z igłą i nitką.

Nikt poza panną Kittridge nie zwrócił na nią uwagi.

Posławszy młodszej córce gromiące spojrzenie, lady Sommes odwróciła się do Colly, by wyjaśnić, dlaczego nic nie wiedzą o służącej.

- Byłyśmy rano w mieście, by znaleźć rękawiczki w szczególnym odcieniu fiołkowego, więc Nora mogła się tu pojawić, kiedy nas nie było. Choć z drugiej strony nic nam nie wiadomo o jej przyjeździe. Może twoja

ciotka, która nie poszła z nami do miasta, gdyż swoim zwyczajem czatowała na księżniczkę, wie coś więcej. Miejmy nadzieję, że nic złego się z Norą nie stało.

- Czy ciocia Pet jest teraz w saloniku?

- Nie - odparła lady Sommes. - Już się położyła do łóżka, ale prosiła, żeby ci powtórzyć, że chce zamienić z tobą słówko. Mówiła, że to bardzo ważne.

- Bardzo dobrze, pójdę do niej od razu. - Colly podała Ethanowi dłoń do ucałowania i raz jeszcze podziękowała mu za podwiezienie do Aymesley.

- Cała przyjemność po mojej stronie - zapewnił ją elegancko. - Czy mogę jutro zjawić się tu z wizytą? Jeśli, rzecz jasna, odpocznie już pani po podróży?

Colly jedynie kiwnęła głową.

- Byłoby nam bardzo miło - odpowiedziała Gilly w imieniu starszej siostry. - A na razie zejdziemy z panem na dół, gdyż słyszałam, że ma pan rewelacyjną nową dwukólkę.

- Gilly! - zawołała ze zniecierpliwieniem jej matka. - Niech ja już więcej nie słyszę tych okropnych nowych słów w twych ustach!

Nie mogąc odmówić bezczelnej prośbie pannicy i wiedząc, że Colly woli zostać sama, Ethan odprowadził panie na dół. Kiedy Gilly już napatrzyła się na powozik, z ulgą odjechał do domu.

Gdy tylko cała czwórka zniknęła za załomem korytarza, Colly zamknęła drzwi za sobą, rzuciła torebkę i kapelusz na stół w salonie i pospieszyła do sypialni, którą ciotka dzieliła z lady Sommes. Zanim zapukała do drzwi, przez chwilę modliła się, żeby ciotka naprawdę miała jakieś wiadomości o Norze.

- Ciociu Pet? - zawołała cicho. - Śpisz już?

- Wejdz, kochanie. Czekam na ciebie już od ponad godziny.

Starsza pani uniosła się na łóżku i podłożyła sobie poduszkę pod

plecy. Potem sięgnęła na kark, by zdjąć aksamitkę z szyi.

- Zapewne zastanawiasz się, moja droga, dlaczego jeszcze noszę aksamitki w moim wieku. Jednak kiedy zobaczysz wisiołek, zapewniam cię, że zrozumiesz moją troskę.

Colly podeszła do łóżka, patrząc z niedowierzaniem na klejnot spoczywający w zagłębieniu pomarszczonej szyi kochanej cioci Pet.

- Och, ciociu - rzekła bez tchu. - Proszę, powiedz mi, że nie zasnęłam i że nie śni mi się najpiękniejszy w życiu sen. Czy to naprawdę... przecież to niemożliwe... ależ tak... och! Ciociu!...

Potok słów urwał się równie szybko, jak zaczął, dziewczyna opadła na łóżko obok starszej pani i ukryła twarz w dłoniach.

- Och, ciociu - powtórzyła. Po chwili spomiędzy jej palców zaczęły wypływać łzy.

- No już, już dziecinko - powiedziała panna Montrose umieszczając pierścień w zmoczonej łzami dłoni. - Wreszcie znalazłyśmy ten kamyk. Możemy już odpocząć.

Colly nieelegancko pociągnęła nosem.

- Naa...awet nie wiesz, przez co przesłam dziś ze strachu. Myślałam, że już go nie odnajdziemy. Tak baa...ardzo mi ulżyło.

Panna Montrose położyła dłoń na pochylonej głowie siostrzenicy i zamruczała czułe słowa pociechy. Dziewczyna wreszcie się uspokoiła, a starsza pani rzekła:

- Jestem bardzo zadowolona, że się ten brylant odnalazł, gdyż wreszcie mogę się zdrzemnąć. Obawiam się, że gdyby Nora wróciła z pustymi rękami, to i prześcieradła tego łóżka byłyby do cna przemoczone.

Colly zaśmiała się niewesoło, po czym użyła zaofiarowanej przez ciotkę chusteczki.

- Nadal nie mogę w to uwierzyć.

Choć w dalszym ciągu niezbyt dobrze widziała przez łzy wiszące na rzęsach, z niedowierzaniem wpatrywała się w leżący na jej dłoni pierścień. Wbrew krążącym opowieściom wcale nie był wielkości klamki u drzwi.

Choć musiała przyznać, że był to największy brylant, jaki w życiu widziała.

- Podoba ci się, ciociu Pet?

- Przydałoby mu się czyszczenie. Pomijając to, jest to chyba najefektowniejszy klejnot, jaki zdarzyło mi się oglądać. Jestem też przekonana, że każda młoda dama, która spodobałaby się lordowi Raymond, z przyjemnością nosiłaby ten pierścień na palcu, nawet gdyby miał porwać jej rękawiczki czy pończochy.

Ta niewinna uwaga wywołała nowy potok łez, starsza pani wyjęła więc pierścień z rąk dziewczyny i zawiązała jej aksamitkę na szyi.

- Skoro wreszcie masz to, po co przyjechałyśmy do miasta, resztę zostawiam tobie. Zrób, co uważasz za stosowne, a mnie pozwól się zdrzemnąć. Cała ta szarpanina bardzo mnie zmęczyła. Potrzebuję teraz tylko ciszy i spokoju. - Colly uściśnęła ciotkę tak energicznie, że ta zaprotestowała żartobliwie: - Uważaj na moje stare kości, kochanie, chciałabym ich jeszcze poużywać przez rok czy dwa.

- O, nie. - Colly odzyskała dobry humor. - Nalegam, by były to co najmniej trzy lata. Cóż ja bym bez ciebie poczęła, kochana ciociu Pet?

- Bzdury opowiadasz. - Policzki starszej pani zaróżowiły się z zadowolenia. - Pochlebiasz mi tylko. A teraz zostaw mnie w spokoju. I pomyśl o czymś odpowiednim dla Nory. Była wyjątkowo uprzejma oddając nam brylant Bradfordów i uważam, że powinna dostać coś w zamian.

- Jesteś dobra i mądra jak zawsze, ciociu Pet. Zaraz się tym zajmę. A tak przy okazji, gdzie jest Nora?

- Odesłałam ją na górę do pokojów dla służby. Wymęczyła się pomagając przy tych trzech małych potworkach Kittridge'ów i żal mi się jej zrobiło, że mogłaby wpaść w szpony Gilly.

- Jak zawsze jesteś nieoceniona.

Nie wiadomo, czy starsza pani usłyszała komplement, gdyż już zdążyła położyć głowę na poduszce. Colly uśmiechnęła się do siebie,

przesłała ciotce całusa i cichutko wyszła z pokoju.

Znalazłszy się w swojej sypialni, odnalazła przybory do pisania młodszej siostry i ułożyła na biurku. Po krótkiej chwili zastanowienia, zaczęła pisać list do lorda Raymonda.

Ethanie!

Zwracam Ci pierścień zaręczynowy. Bardzo dziękuję za cierpliwość, jaką mi okazałeś.

Następnym razem, gdy ten pierścień spocznie na dłoni jakiejś dziewczyny, mam nadzieję, że będzie ona o wiele bardziej godna tego zaszczytu niż jej poprzedniczka.

Pewno nie zobaczę Cię prędko, gdyż jutro wracam wraz z ciotką do Sommes Grange.

Adieu.

Podpisała list tylko inicjałami. Podczas gdy atrament wysychał, odłożyła pudełeczko z papierem i piórami pod łóżko Gilly, tam, gdzie je znalazła. W pokoju nie było nic odpowiedniego do przechowania pierścienia, Colly zadowolila się jednym z pudełek po rękawiczkach, które leżały dokoła. Odłożywszy rękawiczki na łóżko, zawinęła pierścionek w chusteczkę i razem ze złożonym listem umieściła go w pudełku. Zawiązała je aksamitką.

Wróciwszy do salonu zadzwoniła po służącego i kazała mu dostarczyć je do domu lorda Raymond przy Grosvenor Square. Colly wolałaby zwrócić pierścień osobiście, ale to było oczywiście wykluczone. Pojawienie się na progu domu dżentelmena byłoby równie hańbiące jak publiczne zawiązywanie gorsetu. Taki skandal zaszkodziłby nie tylko Colly, ale także padłby cieniem na debiut Gilly.

Wysłanie służącego z pakunkiem nie było trudne. Dużo trudniej było jej powstrzymać łzy, które cisnęły się do oczu na myśl o tym, że skoro oddała już brylant, Ethan nie będzie miał powodu, by ją odwiedzać.

Poczuła pustkę w piersi - pustkę tak bolesną, że zdawało się jej, iż ktoś rzeczywiście wydarł jej serce. A myśl o tym, że już nigdy nie ujrzy twarzy Ethana, nigdy nie zobaczy, jak unosi jedną brew w przekornym pytaniu, nigdy nie usłyszy jego głębokiego, cudownego śmiechu, sprawiła, że pustka wydała się jej jeszcze większa, boleśnieszka i bardziej nieznośna.

Przysięgając sobie, że już więcej nie będzie płakać z tego powodu, Colly rzuciła się na łóżko obficie zraszając poduszkę łzami.

Ethan zjawił się w domu na Grosvenor Square zaledwie kilka minut potem, jak wyjechał spod hotelu Grillon, i zdziwił się niepomiernie, że drzwi domu otworzyły się na oścież, zanim jeszcze zdążył wysiąść z powoziku.

- Milordzie! - zawołał kamerdyner, który zazwyczaj był najbardziej flegmatycznym człowiekiem pod słońcem Miał zarumienioną z podniecenia twarz. - Wreszcie wrócił pan do domu.

- Cóż się stało, Yardley?

- Nic, nic, milordzie. - Służący podetknął mu pod nos srebrną tacę, na której leżał list noszący pieczęć premiera. - To nadeszło jakąś godzinę temu i myślałem, że może zechce pan od razu pojechać.

Rozpoznając pieczęć, Ethan rozdarł pospiesznie kopertę i przeczytał uważnie znajdującą się w niej karteczkę.

- To od lorda Liverpool - rzekł odkładając list z powrotem na tacę. - Książę poświęci mi dziś godzinę swego cennego czasu, aby porozmawiać o szkolnictwie. Muszę się przebrać, zanim tam pojedę.

- Norbridge ma już wszystko przygotowane, wasza lordowska mość.

Ethan przytaknął i wbiegając po dwa stopnie naraz zawołał przez ramię:

- Kiedy będę się przebierał, niech chłopiec stajenny zabierze dwukółkę do stajni, zaprzęgnie nowe konie i podprowadzi mi ją tu z powrotem. I powiedz mu, żeby się pospieszył. Premier nie może czekać.

- Tak, milordzie. - Stary kamerdyner uśmiechnął się pod nosem;

podobnie jak reszta służby wiedział doskonale, że to spotkanie było dla lorda Raymond wyjątkowo ważne.

Ethan wbiegł po schodach i wpadł do sypialni, gdzie już czekał na niego lokaj z dzbanem gorącej wody.

- No cóż, Norbridge, wreszcie doczekaliśmy się audiencji.

- Bardzo się cieszę, milordzie - odrzekł uprzejmie wzorowy służący.

- Wszystko już przygotowałem.

Zdjął płaszcz z szerokich ramion swego pana i ukląkł, by pomóc zdjąć wysokie buty do konnej jazdy.

Z szybkością i wprawą, jakich nabrał podczas wielu lat służby wojskowej, Ethan rozebrał się, umył i z powrotem ubrał, tym razem w elegancki szary surdut, czarne pantalony i białe pończochy. Cała operacja zajęła mu mniej niż dziesięć minut. Właśnie zawiązywał świeży krawat, kiedy wszedł Yardley niosąc na tacy kieliszek madery i kanapki.

- Niech pan coś zje, milordzie.

- Dziękuję, Yardley. - Ethan ugryzł duży kęs kanapki, wychylił jednym haustem napój i odwrócił się do lokaja, by wziąć od niego szare rękawiczki, kapelusz z szerokim rondem oraz laskę ze srebrną gałką.

- Jeżeli wybaczy pan śmiałość, milordzie - odezwał się kamerdyner. - Razem z Norbridge'em życzymy panu wiele szczęścia w rozmowie z panem premierem.

- Tylko dzieci potrzebują szczęścia, ale dziękuję wam bardzo. - To powiedziawszy, Ethan sięgnął ręką do kieszeni płaszcza, który dopiero co zdjął, i wyjąwszy z niej zwiniętą jedwabną chusteczkę, włożył do kieszonki na piersi szarego surduta.

Lokaj popatrzył na niego zdezorientowany.

- Błagam o wybaczenie, milordzie. Chyba straciłem głowę; byłem święcie przekonany, że włożyłem do kieszonki świeżą chusteczkę.

- Ależ włożyłeś - uspokoił go Ethan. Potem poklepał kieszonkę, w której znajdowała się chusteczka zawierająca lok Colly. - Ta przynosi mi szczęście.

Wkrótce po wyjeździe Ethana zjawił się posłaniec z hotelu Grillon z paczuszką od Colly.

- To dla jego lordowskiej mości - rzekł pokazując pudełeczko Yardleyowi, po czym pospiesznie schował je z powrotem do kieszeni, aby pokazać, że może je oddać tylko lordowi Raymond.

Odkąd panie Sommes zamieszkały w hotelu, nie raz miał przyjemność doświadczyć hojności jego lordowskiej mości i nie chciał teraz przegapić okazji ponownego zarobku.

- Pani powiedziała, żebym to osobiście oddał lordowi. I tak zamierzam uczynić.

Yardley zmarszczył swój patrycjuszowski nos w sposób doskonale znany reszcie służby. Taka mina sugerowała, że stary kamerdyner nie ma zamiaru dłużej znosić impertynencji osób niższych od niego stanem.

Na hotelowym służącym nie zrobiło to najmniejszego wrażenia.

- Możesz zachować te kwaśne miny na jedzenie ogórków - poradził kamerdynerowi. - Mam obowiązki, podobnie jak i ty. I moim obowiązkiem jest dostarczenie tego pakunku do rąk jego lordowskiej mości.

- Ty impertynencki błaznie - zagrział Yardley, z uciechą nastawiając się na pokazanie biednemu idiocie wyższości dobrze urodzonych i inteligentnych służących nad pospólstwem. Niestety, staremu kamerdynerowi nie dane było dokończyć, gdyż właśnie w tej chwili przed dom zajechał powóz lady Raymond.

- Co tu się dzieje? - zapytała dama, gdy tylko powóz się zatrzymał.

Odpychając na bok hotelowego służącego Yardley zbiegł po schodkach i pomógł swojej pani wysiąść z powozu.

- Poczekaj, poczekaj! - zawołał młodszy mężczyzna odzyskując równowagę i z godnością wygładzając płaszcz. - Wielkie dzięki, że oszczędziłeś mi swej elokwencji. Nie przybyłem tu, byle kto mną pomiatał. Przybyłem, by dostarczyć paczkę lordowi.

- A ja ci już mówiłem, mój dobry człowieku, że jego lordowskiej

mości nie ma w domu.

- Nie powiedziałeś mi tego!

Lady Raymond powoli wchodziła po schodach nie zwracając najmniejszej uwagi na urażonego służącego.

- Mój syn jeszcze nie wrócił, Yardley?

- Wrócił, milady, ale potem znowu pojechał.

Służący przeczuwając, że napiwek przechodzi mu koło nosa, spróbował ponowić atak:

- Wasza miłość - zaczął błagalnie. - Jeżeli wybaczy pani impertynencję. Mam tu bardzo ważną paczkę dla jego lordowskiej mości, a ten tu niewydarzony kamerdyner...

- O, zaczekaj chwilę - wtrącił się starszy mężczyzna. - Albo powstrzymasz język, albo wyrzucę cię na bruk, zanim się spostrzeżesz.

- Ale panna Sommes powiedziała...

- Sommes? - zapytała lady Raymond. Zatrzymała się i uważnie przyjrzała młodzieńcowi.

Zauważywszy zainteresowanie w oczach starszej pani, służący odpowiedział:

- Tak, milady. Panna Sommes dała mi ten pakunek i poleciła oddać go jego lordowskiej mości do rąk własnych. - Ponownie wyjął z kieszeni paczuszkę, lecz najwyraźniej nie miał ochoty jej oddać. - Młoda panienska miała łzy w oczach, kiedy mi to dawała. - Nie powiedział nic więcej, czekając, jaka będzie reakcja.

Była nad wyraz obiecująca.

- Jestem lady Raymond. Zapewniam cię, mój dobry człowieku, że panna Sommes nie miałaby nic przeciwko temu, żebym to ja odebrała paczkę. - Wyciągnęła do niego dłoń w eleganckiej rękawiczce, po czym powiedziała do Yardleya: - Daj mu coś za fatywę.

Zadowolony służący wyciągnął rękę z pakunkiem przed siebie. Poirytowany kamerdyner niemal mu go wyrwał i podał swej pani. Jej lordowska mość zniknęła w głębi domu, a dwaj służący zostali sami, by

wyrównać rachunki.

Gdyby młody służący wiedział, jak bardzo starsza dama była poruszona wiadomością o łzach panny Sommes, może i dostałby napiwek, na jaki liczył. Niestety, nie dane mu było zobaczyć, z jaką szybkością lady Raymond przeszła przez korytarze i wpadła do biblioteki. Położywszy paczuszkę na masywnym biurku, usiadła na fotelu, by złapać oddech.

Wiedziała, że coś jest między moim synem a panną Sommes! - myślała triumfująco. Nigdy nie wierzyłam w te brednie, które opowiadał mi Ethan. Matka zawsze wie, kiedy coś w trawie piszczy.

Z oczyma błyszczącymi z ciekawości lady Raymond podniosła leciutkie pudełeczko i potrząsnęła nim. Nie wydawało żadnego dźwięku. Co to mogło znaczyć? Pudełko po rękawiczkach noszące symbol domu towarowego Graftona przewiązane aksamitką poruszyłoby ciekawość każdej matki. A wiadomość, że przysyłająca pakuneczek dziewczyna tonęła we łzach, sprowokowała matkę Ethana do podjęcia poważnej decyzji.

Przekonując sama siebie, że do jej matczynych obowiązków należy ochrona interesów syna, lady Raymond wyjęła z biurka nożyczki i przecięła aksamitkę. Najpierw otworzyła białą kopertę i pobieżnie rzuciła okiem na list. Jej jedyną reakcją było gwałtowne wciągnięcie powietrza. Potem upuściła list i drżącymi dłońmi rozerwała papier w pudełku. Na blat biurka upadł brylant Bradfordów.

- Och nie - wyszeptała lady Raymond, a jej oczy nagle zaszklily się łzami. - A to głupiotka dziewczyna. Nie pozwolę jej odrzucić Ethana w taki sposób. Nie pozwolę złamać mu serca.

Zostawiwszy list obok pudełka i porwanego papieru, starsza pani wsunęła pierścień na palec przypominając sobie ze wzruszeniem, jak doskonale pasował, gdy nosiła go wiele lat temu. Potem, zbyt niecierpliwa, by dzwonić na kamerdynera, pobiegła do drzwi wołając:

- Yardley!

- Tak, milady?

- Poślij kogoś, by natychmiast przyprowadził z powrotem mój powóz. Muszę jechać do hotelu Grillon. Muszę zrobić, co w mojej mocy, by ratować przyszłość syna.

Rozdział dwunasty

Colly nie była mazgajem, więc gdy już się wyplakała, wzięła się w garść i wstała z łóżka. Właśnie skończyła myć twarz i zdejmowała pomiętą spacerową suknię, gdy ktoś cichutko zapukał do drzwi pokoju.

- Panno Colly? - zapytała Nora. - Nie śpi pani?

- Wejź, Noro.

- Jakaś pani przysła, by się z panienką zobaczyć. Zapytałam ją, czy przysła do lady Sommes czy do panny Montrose, gdyż jest już starszą damą, a ona na to, że chce się widzieć z panienką. I jeszcze powiedziała, że postawi na swoim.

- Jakie to dziwne. Czy ta pani powiedziała, jak się nazywa?

Pokojówka potrząsnęła głową.

- Nawet jeżeli, to ja tego nie słyszałam. - Nora zniżyła głos. - Jeżeli wybaczy mi pani śmiałość, ta pani ma dziś zły dzień.

Colly odwróciła się, by pokojówka mogła zapiąć guziki sukienki.

- Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że jest wściekła?

- Jakże by nie. Wściekła jak osa, jak to zwykł mawiać mój ojczulek.

Poprosiłam ją, by usiadła, a ona chodzi w tę i we w tę po salonie. Jeszcze trochę i wydepcze ścieżkę na dywanie.

Colly przez chwilę miała ochotę poprosić pokojówkę, by powiedziała tej osobie, która niszczy hotelowy dywan, że nie ma jej w pokoju. Nie miała ochoty na żadne konfrontacje; jej nerwy i tak już zbyt ucierpiały tego dnia. Zwykła sama rozwiązywać problemy, spojrzała więc szybko w lustro, by sprawdzić, czy nie jest zbyt potargana, i wyprostowawszy dumnie ramiona poszła do salonu.

Odwaga niemal ją opuściła, gdy zobaczyła tam lady Raymond. Nora miała rację: starsza pani była najwyraźniej bardzo zdenerwowana.

- Lady Raymond - zaczęła Colly. - Dzień dobry. To wyjątkowa

przyjemność...

- Nie musisz być taka słodziutka i udawać niewiniątka, moja mała, gdyż doskonale wiem, co zrobiłaś.

Przerażona dziewczyna w ostatniej chwili powstrzymała się przed cofnięciem o krok.

- Przepraszam bardzo, ale nie mam pojęcia, o czym pani...

- Jak mogłaś być aż tak okrutna? Najwyraźniej cię przeceniałam.

Zanim Colly zdołała poprosić damę o wyjaśnienie, pulchna twarz kobiety zadrgała i matka Ethana wybuchnęła płaczem.

- Lady Raymond! - Colly podbiegła, objęła ją i poprowadziła na pluszową kanapkę. - Proszę, niech pani spocznie, a ja każę pokojówce przynieść nam coś do picia. Jestem przekonana, że po filiżance herbaty od razu poczuje się pani lepiej.

Lady Raymond zaprotestowała machając energicznie przesiąkniętą łzami chusteczką.

- Herbata nic mi nie pomoże - rzekła pociągając nosem. - Nic mi nie pomoże. To znaczy nic, jeżeli nie obiecasz, że raz jeszcze przemyślisz swą decyzję. Bo wierz mi, zadałaś mi cios w samo serce.

Zastanawiając się, czy nie śni, Colly zacisnęła dłoń i wbiła paznokcie w ciało.

- Droga pani, nie wiem, o czym pani mówi. Nie wiem, co zrobiłam, żeby doprowadzić panią do takiego stanu. Choć muszę przyznać, że bardzo mnie martwi, iż jakiegokolwiek działanie z mojej strony... świadome czy nie... mogło doprowadzić panią do łez. Cokolwiek by to było, pokornie błagam o wybaczenie. - Colly usiadła obok lady Raymond i ujęła jej dłoń. - Może jeżeli powie mi pani, o co chodzi, będę mogła naprawić swój błąd. Albo w każdym bądź razie wytłumaczyć się.

Lady Raymond spojrzała dziewczynie w oczy. Na jej rzęsach błyszczały łzy.

- Czy możesz mi wyjaśnić, dlaczego zламаłaś serce mojemu synowi? Dziewczynę przebiegł dreszcz. To był jakiś obłąd. Jeżeli ktokolwiek

miął złamane serce, to ona. Ethan dostał to, czego chciał. To ona nie miała już nic - nic oprócz kilku smutnych wspomnień i samotności. Życia bez Ethana. Dławiła się od powstrzymywanych łez.

Nie dostawszy odpowiedzi na swe pytanie, lady Raymond wyrwała dłoń z jej ręki.

- Jak mogłaś być tak okrutna i odrzucić jego miłość?

Odrzucić?

- Lady Raymond, obawiam się, że ktoś wprowadził panią w błąd. Ja nie odrzuciłam Ethana. Nie mogłabym go odrzucić z tego prostego powodu, że nigdy nie byliśmy zaręczeni.

Policzki starszej pani zaróżowiły się z gniewu.

- Nawet nie próbuj mnie zwodzić. Ethan już próbował i też mu się nie powiodło. Matka zawsze wie, co w trawie piszczy. Wystarczy tylko przyjrzeć się, jak mój syn na ciebie patrzy, by domyślić się ogromu jego uczucia.

Colly poczuła, że także się rumieni.

- Zapewniam, że się pani pomyliła.

- Czyżbyś uważała mnie za idiotkę? Widać to jasno na waszych twarzach. On cię kocha. Ty kochasz jego. Nie ma co do tego wątpliwości.

Zdawało się, że serce dziewczyny przestało bić na chwilę. Z całą pewnością matka Ethana była w błędzie. On jej nie kochał. Prawda, że ona kochała jego, ale... Nie. Z całą pewnością lady Raymond była w błędzie.

- Jeżeli w tej właśnie chwili usiłujesz wymyślić kolejne kłamstwo - odezwała się dama - to zapewniam cię, panienko, że i tak ci nie uwierzę. - To powiedziawszy, jej lordowska mość przycisnęła dłoń do piersi i zaczęła gwałtownie poruszać palcami. - Widzisz, moja droga, mam tu dowód.

Zdezorientowanej Colly dłuższą chwilę zajęło zrozumienie, że ruch palców starszej damy ma coś sugerować. Dopiero wtedy zauważyła brylant Bradfordów na jej serdecznym palcu. Wzdrygnęła się, zupełnie jakby matka Ethana popełniła świętokradztwo.

- Aha! Tu cię mam, panno Sommes. Zaprzecz, jeżeli się ośmielisz!

- Skąd pani...?

- Ethana nie ma w domu - odpowiedziała. - To ja przyjąłem twoją przesyłkę.

Colly nie wierzyła własnym uszom.

- Chyba nie chce mi pani powiedzieć, że ją otworzyła!

- I przeczytałem twój list. - W głosie lady Raymond zabrzmiał gniew.

- Ależ... ten list był tylko do Ethana. Nie mogę uwierzyć, że pani go przeczytała!

Dama prychnęła.

- Zaoszczędź mi tych wymówek, gdyż możesz mi wierzyć, że uczynię wszystko dla szczęścia moich dzieci. Bogu dzięki, że ta paczka przyszła, gdy Ethana nie było w domu. Dzięki temu mogę ci uświadomić, jaki popełniasz błąd. Nie możesz zerwać tych zaręczyn, nie możesz oddać pierścienia.

Colly ze wszystkich sił próbowała zapanować nad sobą. Gdyby nie była tak zrozpaczona, roześmiałyby się matce Ethana prosto w twarz. Wszystko się poplątało! Raz jeszcze ktoś się pomylił i pomyślał, że to ona powinna dostać pierścień zaręczynowy. I raz jeszcze nie mogła się obronić nie zdradzając siostry. Jediną różnicą tym razem było to, że ktoś złościł się na nią za oddanie pierścienia.

- Czy nie uważa pani, że najlepiej będzie zostawić tę sprawę do rozstrzygnięcia mnie i Ethanowi - rzekła tak łagodnie, jak tylko potrafiła.

Pod wpływem jej łagodnego tonu cała wściekłość uszła z lady Raymond.

- Ależ nie zostawiłaś mi wyboru postępując tak tchórzliwie i listownie zrywając zaręczyny. Jak mogłaś to zrobić! Uważałam cię za mądrą i dobrą dziewczynę! I tak doskonałą dla mego syna.

Colly tak bardzo zgadzała się z tym ostatnim zdaniem, że kiwnęła głową, zanim zdała sobie z tego sprawę.

- Wiedziałałam! - zawołała lady Raymond. - Kochasz go! I nie masz

co zaprzeczać, młoda damo, bo to jasne jak słońce!

Colly nie miała zamiaru zaprzeczać. Doszła do wniosku, że najrozsądniej będzie nic już więcej nie mówić. Cokolwiek teraz by powiedziała, i tak nic to nie da. Więcej - mogłaby zdradzić Gilly albo swą miłość do Ethana. Miłość, której on nie odwzajemniał...

Lady Raymond zsunęła pierścień z palca i obracała go teraz w dłoni tak, by odbijały się w nim promienie słoneczne. Zdawało się, że z kamienia bije błękitny ogień.

- Bardzo piękny, nieprawdaż?

- Tak, proszę pani - odpowiedziała cicho Colly. - Bardzo.

- Nosłam go, kiedy byłam zaręczona z ojcem Ethana. Czy on kiedykolwiek mówił pani, że wyszłam za mąż z miłości? - zapytała nagle.

Colly potrząsnęła głową, nie chcąc zdradzać, że Ethan właściwie nic jej nie opowiadał o swojej rodzinie.

- Kochałam męża całą duszą - kontynuowała starsza pani. - I zawsze nalegałam, by moi synowie nie zadowalali się niczym innym. Małżeństwo bez miłości jest niczym. Zgadzasz się?

- Tak, proszę pani - rzekła Colly z głębi serca.

Ze łzami w oczach lady Raymond sięgnęła po dłoń dziewczyny.

Myśląc, że starsza pani szuka pocieszenia, Colly pozwoliła ująć się za rękę, lecz zanim się zorientowała, o co chodzi, ta wsunęła jej pierścień na serdeczny palec lewej dłoni.

- Ależ, proszę pani!

Instynktownie dziewczyna usiłowała zdjąć pierścień. Niestety, nie była w stanie przecisnąć go z powrotem przez kostkę palca. Okręciła go, pociągnęła, szarpnęła. Nawet nie drgnął.

- Nie chce zejść!

- I dobrze. Teraz będziesz musiała ponosić go trochę dłużej. Mam nadzieję, że mądrze ten czas spożytkujesz i przemyślisz raz jeszcze całą tę idiotyczną aferę. A jest ona doprawdy idiotyczna. Mogę cię zapewnić, że Ethan nie chciałby takiego końca tych zaręczyn. - Wyciągnęła dłoń i

poklepała dziewczynę po policzku. - Będiesz dla niego wspaniałą żoną.

Cała w uśmiechach, lady Raymond wzięła swą torebkę, parasolkę i przemoczoną chusteczkę, po czym skierowała się ku drzwiom.

- A teraz muszę już iść - rzekła radośnie. - Jestem umówiona na przyjęcie i karty u lady Wessingham. - Otworzyła drzwi, lecz jeszcze na progu zatrzymała się i przesłała Colly pocałunek. - Do widzenia, moja kochana.

Zadowolony z wyniku spotkania z premierem, Ethan wrócił do Raymond House z jedną tylko myślą w głowie - natychmiast pojechać do Colly i podzielić się z nią nowinami. Oczywiście o tej porze nie spodziewała się jego wizyty, ale do rana było tak daleko, że Ethan nie był pewien, czy to wytrzyma. Chciał się z nią zobaczyć już teraz.

Niedawno złapał się na tym, że chce dzielić z Colly każdą myśl, jaka przyjdzie mu do głowy, każde uczucie, jakie zagości w jego sercu, każde, najmniejsze nawet, wydarzenie. Uśmiechnął się na wspomnienie ciętości jej języka i zdolności wnikliwego patrzenia na świat. Zawsze mógł liczyć na to, że dostrzeże humor czy powagę sytuacji. I, pomyślał uśmiechając się z rezygnacją pomieszaną z uwielbieniem, zawsze mógł liczyć na pochwałę z jej strony, gdy była taka potrzeba, i naganę, jeżeli sytuacja tego wymagała.

Taak, muszę zobaczyć moją małą sawantkę.

Pomyślawszy, że rozsądniej będzie wysłać najpierw krótki liścik, Ethan wszedł do biblioteki, by napisać do Colly z zapytaniem, czy nie wyświadczyłaby mu zaszczytu i nie poszła z nim na kolację. Dopiero gdy usiadł przy biurku, zauważył małe pudełeczko i rozerwany papier porozrzucany dokoła. Odsuwając śmieci na bok zobaczył liścik i przeczytawszy go pobieżnie, rozejrzał się za pierścieniem. Nic nie znalazłszy, zadzwonił na kamerdynera.

- Yardley - powiedział, gdy służący, uprzednio zapukawszy, wszedł do pokoju. - Po południu przyszła do mnie paczka. Co ci o tym wiadomo?

- Tak, dostarczono ją zaraz potem, jak pan pojechał do lorda Liverpool, sir.

- I ty położyłeś ją na moim biurku?

- Nie, milordzie. Jej lordowska mość odebrała przesyłkę. - Nawet uniesieniem brwi kamerdyner nie dał do zrozumienia, że zauważył panujący na biurku bałagan. - Czy mam posłać pokojówkę do pokoju jaśnie pani, by zapytała o paczkę?

Ethan potrząsnął głową.

- Dziękuję ci, ale sam się tym zajmę.

Nie dbając o to, co myśli służący, Ethan zapukał do drzwi pokoju matki. Otworzyła mu pokojówka. Gwałtownie kiwnął głową dając dziewczynie do zrozumienia, że chce zostać z matką sam na sam. Pokojówka wyszła pośpiesznie.

- Ethan! Już wróciłeś. Właśnie miałam... - Widząc nachmurzoną minę syna podniosła dłoń do szyi, a falbanki na jej rękawie zaszeleściły przy szybkim ruchu. - Cóż się stało, drogi chłopcze?

- Ty mi to powiedz - odparł podchodząc do pokrytego pluszem fotela i opierając na nim dłoń. - Czy znalazłaś to, czego szukałaś w mojej bibliotece?

- W twojej bibliotece? A niby dlaczego miałabym... - Nagle lady Raymond zaczerwieniła się. - Aaa... mówisz o tej paczce, którą pozwoliłam sobie otworzyć? Jak wróciłam, byłam tak szczęśliwa, że zupełnie o tym zapomniałam.

- Ależ mam, powinnaś pamiętać o tak fundamentalnych sprawach, jeżeli postanowiłaś zostać szpiegiem... a to właśnie sugerują twoje poczynania. - Lady Raymond usiłowała coś powiedzieć, lecz Ethan nie dał jej dojść do słowa. - Zawsze, podkreślam raz jeszcze, zawsze pozostawiaj rzeczy tak, jak je zastałaś. Dobry szpieg nie oczekuje, że służba po nim posprząta. Może chciałabyś także dowiedzieć się...

- Ethanie, przestań! Natychmiast. Jesteś zły i masz po temu wszelkie powody, ale...

- Jak zwykle masz rację w obu kwestiach, mamó.

- Cóż, bardzo cię przepraszam. Uważałam jednak, że uczyniłam to dla twego dobra. I jak się okazało, miałam rację. Matka zawsze ma instynkt w takich sprawach.

- A tak. Instynkt matki. Czy mogę zapytać, do jakich to czynów tym razem popchnęły cię instynkty?

- Zapewniam, że do niczego, co by ci się nie spodobało. Pojechałam jedynie do hotelu Grillon, by rozmówić się z panną Sommes.

Tylko mocno zaciśnięte na oparciu fotela dłonie zdradzały wściekłość Ethana.

- I co, udało ci się? To znaczy, rozmówić się z nią?

Na twarzy jego matki zagościł radosny uśmiech.

- Tak, kochanie, i wszystko znowu jest na dobrej drodze. Panna Sommes zgodziła się uszanować wasze zaręczyny i z pewnością ucieszy cię wiadomość, że podczas naszej rozmowy miała na palcu twój pierścień.

Wściekłość Ethana stopniała.

- Panna Sommes nosi mój pierścionek zaręczynowy? Mam nadzieję, że mówisz o panie Colly Sommes, a nie o jej młodszej siostrze. Już raz je ze sobą pomyłono.

Lady Raymond prychnęła z pogardą.

- Nie bądź śmieszny. Ty miałbyś interesować się młodą panienką, która nie ma nic do zaoferowania oprócz ładnej buzi? Znam cię lepiej, niż ci się wydaje. Taką dziewczynę mógłby wybrać twój brat. Poza tym wystarczy popatrzeć na ciebie i pannę Colly Sommes, gdy jesteście razem. Zawsze wpatrzeni w siebie... Jest dla mnie jasne jak słońce...

- Daruj sobie te wzruszające opowieści, mamó. Co zrobiłaś?

- Powiedziałam, że będzie dla ciebie wspaniałą żoną, i włożyłam jej na palec zaręczynowy pierścień Bradfordów.

Ethan nie potrafił już powstrzymać się od śmiechu.

- To takie do ciebie podobne! A skoro już oświadczyłaś się w moim imieniu i nawet dałaś dziewczynie pierścionek, czy wolno mi zapytać, jaka

była odpowiedź panny Sommes?

Matka nie spojrzała mu w oczy.

- Jeżeli o to chodzi, to obawiam się, że kilka spraw będziecie musieli omówić w cztery oczy. W końcu nie mogę robić za ciebie wszystkiego!

- Oczywiście, że nie, droga pani. Jakiż ja jestem niewdzięczny. Powiedziałaś jednak, że nosi mój pierścień. Czyli nie zerwała go z ręki i nie rzuciła ci go w twarz?

- Oczywiście, że nie! Panna Sommes jest damą; nigdy nie zrobiłaby czegoś tak prostackiego. Poza tym - dodała z uśmiechem - pierścionek pasuje na nią jak ulał. Nie mogła go zdjąć z palca.

Niedługo potem, gdy Ethan był w drodze do hotelu Grillon, Colly i jej ciotka czekały, aż pokojówka przyniesie im tacę z herbatą. Panna Montrose właśnie zauważyła, że Colly ma na palcu pierścionek, i poprosiła ją o wyjaśnienie, dlaczego nosi brylant Bradfordów.

- Tym bardziej że nalegałam, byś oddała go lordowi Raymond jak najszybciej.

- Oddałam go, ciociu.

W kilku słowach Colly opisała, co zaszło między nią a lady Raymond.

- I teraz okazało się, że jeszcze trudniej jest mi się go pozbyć, niż było go odnaleźć.

- Nie rozumiem, dziecko.

Colly uniosła dłoń, rozstawiła palce i usiłując zdjąć pierścionek udowodniła ciotce, że nie może tego zrobić.

- Żebym nie wiem co robiła, i tak nie chce przejść mi przez kostkę. Już moczyłam palec, przecierałam sokiem z ogórka, i nawet za namową Nory zanurzyłam palec w maśle. I wszystko na nic.

- No, oczywiście, że na nic. Tak bardzo męczyłaś ten biedny palec, że pewnie ci spuchł. Daj mu spokój, nie staraj się na siłę ściągnąć pierścienia. Zapewniam cię, że do jutra kostki wrócą do normalnych

rozmiarów i bez trudu zdejmiesz pierścionelek.

- Mam nadzieję, że masz rację, ciociu, bo jutro rano chciałam wracać do Sommes Grange. To znaczy, jeśli już ci się znudziło obserwowanie księżęcych zalotów.

- Przykro jest mi się przyznać, ale więcej wyczytałam z gazet, niż zobaczyłam na własne oczy. A gazety mogą równie dobrze czytać w domu. Muszę ci też powiedzieć, że nie bardzo chce mi się nadal dzielić łóżko z twoją matką, nie będę więc zbytnio protestowała przeciwko szybkiemu powrotowi do domu.

- Obawiam się jednak, że nasz wyjazd będzie uzależniony od tego, czy uda mi się ściągnąć ten nieszczęsny pierścionelek - rzekła niespokojnie dziewczyna. - Chcę go wreszcie oddać Ethanowi i zapomnieć o całej sprawie.

- A mogłabyś zapomnieć? - zapytała cicho panna Montrose. - To znaczy zapomnieć o wszystkim? Zdawało mi się, że lord Raymond darzy cię szczególnym zainteresowaniem, i miałam nadzieję, że...

- Że co, ciociu? - zapytała Colly tak cicho, że starsza pani ledwie ją usłyszała. - Przyjedzie po mnie na białym rumaku? Porwie mnie w ramiona? Zawiezie do swego zamku, w którym będziemy żyć długo i szczęśliwie? Ciociu, zawsze byłaś niepoprawną romantyczką.

- Nie, nie... Chyba nie uważasz, że mogłabym myśleć o czymś tak banalnym? Wyobrażałam sobie coś o wiele realniejszego, kochanie. Chciałam dla ciebie mężczyzny, który doceniłby twoją urodę i inteligencję. Dżentelmena, który dzieliłby z tobą życie i uczynił cię szczęśliwą. Który kochałby cię i z bożą pomocą dał ci dzieci. Chciałam dla ciebie dżentelmena takiego jak lord Raymond.

- Ciociu Pet, proszę, przestań.

- Myślałam, że i tobie marzą się podobne rzeczy - dodała cicho panna Montrose.

- Być może tak. Ale to było dawno temu. - Colly spojrzała na brylant błyszczący na palcu, po czym schowała rękę w fałdy spódnicy. - Proszę,

ciociu, nie rozmawiajmy już o tym więcej, bo doprawdy bardzo łatwo można przestać odróżniać marzenia od rzeczywistości. W tym przypadku sen nie ma szans na spełnienie.

Panna Montrose nie zgadzała się z tym, ale widząc, że siostrzenica jest bliska łez, nie odezwała się już na ten temat ani słowem, co przyszło jej tym łatwiej, że właśnie weszła Nora z herbata.

- Aaa, Nora... przyszłaś w samą porę. - Dała znak, by przyniosła tacę, i powiedziała: - Ja naleję, dobrze, kochanie?

Wytrącona z zamyślenia Colly zamrugła i kiwnęła głową.

- A co leży pod talerzem z ciasteczkami, ciociu?

Panna Montrose wzięła do rąk kartkę i rozwinęła ją.

- To rysunek. I to dość wulgarny - rzekła z wyrazem niesmaku wyraźnie wypisanym na twarzy. Oglądała karykaturę przez chwilę, po czym podała dziewczynie. - Tylko popatrz na to. Ktoś śmie stroić sobie żarty z księcia Kentu i księcia Clarence'a.

Colly zdusiła śmiech na widok karykatury przedstawiającej książąt i ich przyszłe żony. Niemieckie księżniczki z twarzyczkami przesłoniętymi welonami szły ramię w ramię wzdłuż nawy kościelnej, a książęta z kołyskami pod pachą biegli, ile sił w nogach do ołtarza, ścigając się ze sobą. Rysunek był podpisany: „Królewski wyścig trwa - kto pierwszy spłodzi dziedzica?”

- To jest wyjątkowo wulgarnie - powtórzyła z oburzeniem panna Montrose. - Jak można tak kpić z książęcych ślubów?

- Autor jest nie mniej ostry w sądach w stosunku do innych zaręczonych par, które będą się pobierać wkrótce. - Colly z uśmiechem przeczytała: - „Jak te pary, które niczym stado pospolitych gęsi podążają śladem książęcych pawów”.

Jej ciotka nie zauważyła w tym nic śmiesznego.

- Nigdy nie myślałam, że powiem coś takiego, ale jestem zadowolona, że żadna z moich siostrzenic nie jest obecnie zaręczona - oświadczyła cierpko. - Jakie to poniżające być porównanym do pospolitych

gęsi.

- Masz rację - wymamrotała dziewczyna, dziękując Bogu, że ciotka nie posiada daru czytania myśli. Gdyż w tym właśnie momencie Colly miała ogromną chęć do przyłączenia się do stada gęsi.

Jakieś dwadzieścia minut później Ethan zapukał do drzwi pokoju pań Sommes. I choć opuścił Raymond House w dobrym nastroju, nadal śmiejąc się z machinacji matki i „narzeczeństwa”, które wynikło w ich efekcie, znał Colly za dobrze, by przypuszczać, że ta sytuacja i ją ubawiła. Już sobie wyobrażał cierpkie uwagi, jakimi obdarzy go jego mała sawantka, gdy tylko pojawi się w progu.

Jednak został przyjęty nie tak, jak się spodziewał. Kiedy pokojówka wpuściła go do saloniku, Colly spojrzała na niego przelotnie, po czym spuściła oczy. Jej jasna cera była zaróżowiona ze wstydu. Lewą rękę schowała w fałdach lawendowej sukni.

Coś mi się zdaje, że pierścień bardzo ją uwiera - pomyślał Ethan.

- Dobry wieczór, panno Montrose. Witam, panno Sommes.

- Witamy, lordzie Raymond - odpowiedziała mu starsza pani uprzejmie. - To dość niezwykła pora jak na odwiedziny, nieprawdaż?

- Jak najbardziej niezwykła, szanowna pani, ale niezwykle akcje powodują niezwykle reakcje.

Spojrzał na Colly. Nie odezwała się ani słowem, tylko jeszcze bardziej poczerwieniała.

Ethana opuściły resztki dobrego humoru, lecz postanowił potraktować całą sprawę lekko.

- Zamierzałem przysłać ci list, prosząc, byś pozwoliła mi zaprosić się na kolację. Chciałem opowiedzieć o moim spotkaniu z premierem, jednak później dowiedziałem się, że odwiedziła cię moja matka. Nie chciało mi się bawić w konwenanse.

Słyszając o premierze, Colly uniosła wzrok. Ale tylko na chwilę. Ethan wolałby, żeby się na niego złościła. Żeby krzyczała. Żeby rzuciła w

niego wazonem. Wolałby wszystko od tej ciszy.

- Widzę, że jesteś zmartwiona, moja droga, i mam nadzieję, że uwierzysz mi, iż dzielam twe uczucia. Uważam, że dla naszego dobra najlepiej będzie, jeżeli porozmawiamy o wizycie mojej matki. Czy zgodzisz się ze mną?

Nadal nie patrząc na niego Colly kiwnęła głową.

Jak zwykle wyrozumiała, panna Montrose opuściła salon wraz z pokojówką pod pretekstem przygotowań do jutrzejszej podróży.

- Colly! - Starsza pani odwróciła się na progu. - Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, zostawię te drzwi tylko lekko uchylone. Jeżeli jednak będziesz czegoś ode mnie potrzebować, usłyszę cię na pewno.

Wdzięczny starszej pani, że pozwoliła mu na chwilę rozmowy w cztery oczy z siostrzenicą, Ethan nie marnował czasu i szybko przysunął krzesło do kanapy, na której siedziała dziewczyna.

- Bardzo mi przykro - powiedział cicho. - Raz jeszcze muszę przeproszać za kogoś z mojej rodziny. Zdaje się, że głupieją z dnia na dzień.

Z uśmiechem pochylił się i wy dostał z fałd spódnicy lewą rękę dziewczyny. Na serdecznym palcu lśnił ogromny brylant.

- Czyżby spotkanie z moją matką było aż takie okropne?

Zirytowana jego uśmiechem, gdyż sama nie dostrzegała nic śmiesznego w tej sytuacji, Colly usiłowała wyrwać rękę. To, że Ethan jej na to nie pozwolił, tylko bardziej ją zdenerwowało. Nie chcąc robić sceny, przestała się szarpać, lecz wreszcie gniew zwyciężył w niej zmieszanie i dała wyraz swej frustracji.

- Pytasz, czy było okropne? Ależ skąd, mój drogi. Oczywiście pomijając fakt, że nie miałam pojęcia, jak się zachować. Być może uznasz to za głupie z mojej strony, lecz zapewniam cię, że nigdy do tej pory nie znałam żadnej rodziny, która miałaby przedziwny zwyczaj ciągłego oskarżania mnie o to, że jestem zaręczona z tym czy innym jej członkiem.

To już bardziej do niej podobne - pomyślał Ethan. To właśnie była

reakcja, jakiej się spodziewał. Jednak uważał, by nie zdradzić się ze swą ulgą.

- Moja biedna dziewczynka - mruknął pod nosem.

Colly udała, że nie słyszy.

- Ooo, ale to jeszcze nie koniec. Podczas gdy ty, mój łaskawco, byłeś tak miły, że oskarżyłeś mnie o uwodzenie nieletniego chłopca, po czym groziłeś sądem, żeby zagwarantować sobie zwrot pierścienia zaręczynowego, twoja matka była tak uprzejma, że oskarżyła mnie o zrywanie zaręczyn. Na dodatek tchórzliwe, bo za pośrednictwem poczty. A potem przemocą wsunęła mi na palec ten pierścień.

- Istotnie, karygodne zachowanie - zgodził się potulnie Ethan. - Zostałaś sponiewierana przez całą moją rodzinę, moja biedna dziewczyno.

- Zapewniam cię, że ani nie jestem biedna, ani nie jestem już dziewczyną.

- Tak, wiem. Masz już dwadzieścia pięć lat, jeśli dobrze sobie przypominam. Jeżeli mnie pamięć i w tym przypadku nie zawodzi, mówiłaś, że nie poszukujesz rozpaczliwie męża.

Colly niemal się roześmiała, lecz mimo wszystko zdołała zachować powagę.

- To nieuprzejme z pańskiej strony ciągle wypominać mi moje słowa. Tym bardziej że nie jestem teraz w nastroju na stosowną ripostę.

- Rzeczywiście bardzo to brzydko z mojej strony. A czy wolno mi zapytać, moja wspaniała istoto, na co masz teraz ochotę? Może na to, czego ja pragnąłem, od pierwszego dnia, kiedy cię zobaczyłem?

W jego oczach była radość i coś jeszcze - coś, czego Colly nie potrafiła, nie chciała nazywać. Nie ośmieliła się nazywać. Nigdy już nie będzie się oszukiwać, że błazenady Ethana Bradforda mają jakieś znaczenie.

- Nic pana nie powinny obchodzić moje nastroje. I proszę puścić moją dłoń.

Nie mając zamiaru jej posłuchać, Ethan uniósł rękę dziewczyny do

ust i zaczął powoli całować.

- Widzę, że nadal nosisz mój pierścień - powiedział cicho z ustami tuż przy jej drżącej ręce.

- Nie potrafię go zdjąć - szepnęła. Własny głos zabrzmiał w jej uszach obco, tak bardzo była pochłonięta stłumieniem pragnienia, by podnieść drugą dłoń i pogładzić go po twarzy.

- I dobrze - odszepnął. Jego wargi zawędrowały już do nadgarstka dziewczyny.

Colly zmusiła się do zignorowania gwałtownych uczuć, jakie budziły w niej jego pieszczoty. Reagowało na nie całe jej ciało... i dusza. Musiała zachować zdrowe zmysły. Powiedział „i dobrze”. Co miał na myśli? Nadal starała się rozwiązać tę zagadkę, gdy Ethan zadał jej dziwaczne pytanie.

- Czy w twojej rodzinie istnieje lista nazw kwiatów, według której nadaje się dziewczętom imiona?

Z pewnością się przesłyszała.

- Lista?

- Tak. Czy jakaś istnieje?

Czy to on oszalał, czy też ona?

Nie wiadomo, kiedy, Ethan przeniósł się z krzesła na kanapę, otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie. Jak gdyby bardzo zależało mu na odpowiedzi, zapytał:

- Czy jest jakiś porządek? Jeżeli tak, to proszę, powiedz mi, jakie będzie następne imię?

Dziewczyna nie potrafiła skupić uwagi na niemądrych pytaniach, tak dobrze było jej opierać głowę na jego szerokim ramieniu. Tak prosto było lekko przekręcić głowę i oprzeć policzek na piersi. Słyszała, jak bije mu serce - galopowało prawie tak, jak jej puls. Nawet zdawało się jej, że wyczuwa niezwykle, męski zapach jego skóry.

Z ciekawości odsunęła kołnierzyk jego koszuli zaledwie o kilka centymetrów, tak by mogła przytulić policzek do szyi; skóra była tak ciepła, a mięśnie tak twarde, że dziewczynę przeszedł dreszcz. Colly

usłyszała, jak Ethan gwałtownie łapie powietrze. Ośmielona tym, zwilżyła wargi i dotknęła nimi jego ciała.

Chyba właściwie odczytał jej reakcję, bo przyciągnął ją jeszcze bliżej. Dotknął ustami jej skroni, a niesforny loczek, muśnięty jego oddechem zatańczył na policzku dziewczyny.

- Imię. - przypomniał jej.

- Dlaczego pytasz?

- Właśnie wyobrażałem sobie śliczną małą dziewczynkę z twoją cudowną karnacją. - Bardzo powoli przesunął dłonią w górę ramienia Colly, jakby chciał potwierdzić własne słowa. - Myślę, że Lilia byłoby odpowiednim imieniem dla tego dziecka. Albo - dodał podniecony - gdyby odziedziczyła twoje piękne szarozielone oczy, mogłaby się nazywać Stokrotka.

Colly ledwo mogła się opanować słysząc te cudowne komplementy. Nie chcąc się oszukiwać, odrzekła złośliwie:

- Następna na liście jest Gloxinia.

Po chwili zaskoczenia Ethan odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

- Gloxinia, o mój Boże! Czy myślisz moja droga, że zdobyłabyś się na zerwanie z rodzinną tradycją? Miejże litość nad biednym dzieckiem. Błagam, nazwij ją Róża.

Colly potrząsnęła głową.

- Obawiam się, że nie mogę - odparła, z trudem powstrzymując się od śmiechu. - Albo Gloxinia, albo nic.

Ethan westchnął ciężko.

- Nie jestem tak głupi, by starać się panią odwieść od raz powziętej decyzji. Aż znanadto znam pani oddanie rodzinie. Jeżeli musi być Gloxinia, niech i tak będzie. - Patrząc gdzieś daleko w przestrzeń, kilkakrotnie wymówił imię, jakby próbując jego brzmienie. - Gloxinia. Gloxinia. Hmm... Panna Gloxinia Bradford. Trzeba przyznać, że brzmi to dystyngowanie.

Colly ledwo mogła oddychać. Ethan właśnie się oświadczał. Tym razem nie były to tylko marzenia. Ale czy ją kochał? Musiała to wiedzieć. Bo choć kochała go z całego serca, nie miała zamiaru zgadzać się na życie spędzone w samotności i ze złamanym sercem.

- Wiem, że twoja matka uważa, że już najwyższy czas, byś się ożenił, ale...

- Colly! - Potrząsnął głową z niedowierzaniem. - Po raz pierwszy słyszę, jak mówisz coś równie idiotycznego. Potem, ujmując jej twarz w dłonie, odwrócił ją ku sobie. - Chcę byś mnie wysłuchała, Columbino Sommes, córko Violet i przyszła matko, hm... Gloxinii... Chcę, by w tej kwestii nie było żadnych nieporozumień. Ja, Ethan Delacourt Bradford, szósty baron Raymond, jestem zakochany.

Colly uniosła dłoń i pogładziła go po twarzy, jak to miała ochotę zrobić wcześniej

- Zakochany? We mnie?

Kiwnął głową, kątem oka zauważając brylant błyszczący na dłoni, którą gładziła jego twarz.

- Wiem, że jest okropnie wielki i nieporęczny, ale chciałbym, abyś go zatrzymała, Colly. Bo poznawszy ciebie, nie mógłbym podarować go żadnej innej kobiecie. - Pocałował jej dłoń. - Bo każda kobieta przy tobie wydaje się tylko cieniem.

To był komplement, który się jej spodobał. Ujawszy jego głowę, odwróciła ją tak, by móc spojrzeć mu w oczy. To, co w nich zobaczyła, sprawiło, że obdarzyła go uśmiechem, który ośmieliłby każdego mężczyznę.

- Od pierwszej chwili, gdy cię ujrzałam, Ethanie Bradford, każdy inny mężczyzna był tylko cieniem.

Usłyszawszy wszystko, czego mu było trzeba, Ethan przyciągnął ją do siebie i mocno przytulił, jak tego pragnął od pierwszej chwili, kiedy zobaczył ją w Sommes Grange, z tymi wspaniałymi włosami rozpuszczonymi na ramiona.

- Muszę ci coś wyznać - powiedział, gdy na moment przerwał całowanie jej policzków, powiek, a na koniec wspaniałych warg. - Mam coś, co należy do ciebie.

Colly patrzyła zafascynowana, jak Ethan sięga do kieszonki na piersi i wyjmuje stamtąd jedwabną chusteczkę. Gdy ją rozwinął, ujrzała jasnokasztanowy lok. Patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Skąd to masz, Ethanie? Z pewnością nie jest mój.

- Właściwie jest mój. Trzymałem go z nadzieją, że kiedyś będę cię mógł prosić, żebyś rozpuściła włosy i pozwoliła mi się w nich zatracić. - Spojrzał głęboko w jej szarozielone oczy. - Czy zrobisz to dla mnie, Colly? Tak bardzo pragnę trzymać cię w ramionach i uczynić moją. Czy poślubisz mnie, moja ukochana? Niedługo. Bardzo niedługo?

- Poślubić? - Serce biło jej jak oszalałe, a myśli gdzieś uciekły. Zastanawiała się, co robić.

- Nawet nie mam się w co ubrać - powiedziała wreszcie. - Będę musiała pożyczyć suknię od matki.

- Możesz nawet pożyczyć spodnie od ojca, jeżeli o mnie chodzi - odparł ze śmiechem. - Ośmielę się zauważyć, że to pewnie ty będziesz je nosiła w naszym małżeństwie.

- Nigdy!

- Kłamczucha - rzekł, po czym całował ją długo i słodko.

Kiedy wreszcie oderwał się od jej ust, znowu powrócił do tematu ślubu.

- Choć bardzo mi spieszno, byś wreszcie była moja, możemy poczekać, aż dasz sobie uszyć własną suknię, moja kochana. Tym bardziej, że nie chciałbym zenić się z tobą w tym samym dniu, w którym mają to zrobić księżęta.

- O, nie - poparła go Colly przypominając sobie, jak to ktoś porównał młode pary przyjmujące sakrament wraz z księżętami do stada pospolitych gęsi. - Może i jestem gąską - dodała ze śmiechem - ale nie chcę, by ktokolwiek mówił, że jestem pospolita. Niech księżęce pary mają ten dzień

tylko dla siebie.

Zaraz potem porzucili rozmowę o ślubie na rzecz o wiele ciekawszej - o sobie i o łączącej ich miłości.

- Ethanie - rzekła Colly zarzucając mu ramiona na szyję i spoglądając na niego w taki sposób, że nie chciał czekać z weselem ani chwili dłużej. - Pokaż mi wszelkie sposoby, na które można całować.

- Wszystkie sposoby, mój piękny kwiatuszku? - zapytał niskim, nieco ochrypłym głosem.

- O, tak... Kochałam cię od tak dawna, że gdy teraz mogę cię tulić i całować, żałuję wszystkich chwil, które straciłam. *Hiatus valde deflendus*, można by powiedzieć.

- Wątpię, czy coś podobnego kiedykolwiek przyszłoby mi do głowy, moja śliczna sawantko. Ale jeżeli chcesz pocałunków, zaraz je otrzymasz. - Bez dalszej zwłoki Ethan przytulił ją i zajął się radośnie nadrabianiem straconego czasu.

Koniec